

Andre Norton

Żelazna klatka

**Przełożyła Ewa Jasińska
Tytuł oryginału Iron Cage**

Prolog

— Co masz zamiar zrobić z tą kotką?
— Oddać ją do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. My oczywiście nie możemy jej zabrać ze sobą. A ona znów będzie miała małe.
— Ale co na to Cathy?
— Powiedzieliśmy jej, że oddajemy Bitsy w dobre ręce. W końcu oni tam czasami znajdują jakieś domy dla niektórych zwierząt, prawda?
— Dla kotki, i to ciężarnej?
— No cóż, nic więcej nie da się zrobić. Chłopiec Hawkinsów obiecał ją tam podrzucić. Właśnie podjeżdża i zaraz zawiezie ją do schroniska. Cathy nie może się o tym dowiedzieć. Słowo daję, nie wiem, co mam zrobić z tym dzieckiem. Postanowiłam jedno: nigdy więcej żadnych zwierząt w domu! Szczęśliwie się składa, że w nowym mieszkaniu nie wolno ich trzymać.

Czarno-biała kotka kuliła się w pudle, do którego została bezceremonialnie wepchnięta godzinę wcześniej. Wrzaski protestu nie przyniosły ratunku, podobnie jak szaleńcze drapanie, które doprowadziło tylko do tego, że karton zaczął podskakiwać na stopniu ganka. I mimo że nie rozumiała dobiegających zza drzwi, tłumionych przez karton słów — opanował ją teraz strach. Już od samego rana była niespokojna, czas jej kocenia się był bardzo bliski. Musi stąd wyjść, znaleźć bezpieczne miejsce. Cały jej instynkt pchał ją do tego; jednak żadne, nawet największe wysiłki, nie przyniosły wolności.

Na dźwięk samochodu wjeżdżającego na podjazd wręcz się rozpląszczyła. Teraz pudło zostało poderwane w górę i zakolysało się tak gwałtownie, że rzuciło ją z boku na bok. Znalazła się wewnątrz samochodu. Jeszcze raz wydała z siebie rozpaczliwy, pełen przerażenia wrzask, chcąc znaleźć te ręce i głos, które zawsze oznaczały poczucie bezpieczeństwa. Lecz żadna odpowiedź nie nadeszła. W zdenerwowaniu zasikała pudło, co jeszcze zwiększyło pragnienie uwolnienia się.

Samochód stawał.

— Co z tobą, chłopie? Czemu tak późno przyjechałeś?
— Mam coś do załatwienia dla Stansonów; oni się jutro przeprowadzają i chcą się pozbyć swojej starej kotki. Mam ją zawieźć do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.
— Do schroniska? Ty wiesz, gdzie to jest? Jakies pięć mil stąd. A my jesteśmy już spóźnieni! Jechać taki kawał drogi tylko po to, żeby się pozbyć kota; chłopie, chyba zwariowałeś!

— To co mam zrobić, mądralo?

— Ona jest w tym pudle? Fiu-fiu — gwizdnął — zasmrodzi cały samochód. Lepiej szybko się jej pozbądź, jeżeli chcesz gdzieś zabrać wieczorem tę małą Henslow. Taki koci smród jest cholernie trwały. Powiem ci, co robić, głupku. Pojedziesz kawałek szosą; tam jest taki las za drugim zakrętem, normalne śmietnisko. Słuchaj no, będzie padać, musisz się spieszyć, jeżeli chcesz jeszcze wziąć udział w naszej zabawie.

— Chyba masz rację.

Na pewno. Wywal tę starą śmierdzącą kocicę i wracaj tu, ale szybko. Musimy się spotkać z tymi laluniami, a one nie są z takich, które by długo czekały.

Kotka zamiauczała z przerażeniem. Te szorstkie, nieprzyjemne głosy były tylko przykrym hałasem, nie znaczyły nic. Ciężko dyszała; panujący w pudle odór przyprawiał ją o mdłości — żeby tylko móc się wydostać!

Samochód zatrzymał się jeszcze raz, pudło znów zostało ostro szarpnięte.

Gwałtownie wypchnięte przez otwarte okno, uderzyło twardo o ziemię, potoczyło się po pochyłości, by lec wśród innych nielegalnie wyrzuconych odpadków. Kot, wstrząśnięty i obolały, wrzasnął znowu.

Dobiegł go głos odjeżdżającego samochodu, a potem nie było już nic słychać, z wyjątkiem deszczu uderzającego o pudło. Kotka jeszcze raz spróbowała wydostać się na wolność. Dlaczego się tutaj znalazła? Gdzie jest dom?

Całe to gwałtowne szarpanie i miotanie przyspieszyło poród. Wiła się w bólach, wrzeszcząc. Nie było miejsca! Pudło drżało pod ciosami narastającej burzy. Pojawił się pierwszy kociak. Kotka obwąchała go krótko, ale nie zadała sobie trudu, żeby liżąc, tchnąć w niego życie. Kocię było martwe. Z nowym przypiływem furii teraz szarpała bok pudła. Karton, rozmiękczony przez deszcz, zaczął się poddawać. Szansa wydostania się na wolność wprawiła ją w szaleństwo, więc kotka drapała tak długo, dopóki nie wydarła dostatecznie dużego otworu, by się wydostać. Uderzył w nią deszcz, przemoczył sierść sprawiając, że znowu głośno wrzasnęła.

Kierował nią instynkt. Musiała znaleźć schronienie, jakieś miejsce, zanim... zanim...

Wywlekła się z pudła, rozejrzała dookoła. Był tam ogromny stos wyrzuconych śmieci, porzuconych rzeczy. Niedaleko leżała przewrócona na bok lodówka z oderwanymi drzwiami. Znalazła się w środku, kiedy pojawił się drugi kociak, ledwo żywy. Później zjawiły się dwa następne. Miała schronienie, ale jedzenie, picie... Była zbyt zmęczona, pokonana przez strach i szok, żeby czegoś szukać. Położyła się na boku, pisnęła cicho, żałośnie i zasnęła.

I

— To jest samica Maunów? Co z nią zrobisz? Jest kotna.

— Bezwartościowa dla naszych celów. Poza tym jest szalona. Kiedy zabraliśmy jej ostatnie młode do doświadczeń, stała się niebezpieczna. Połączyliśmy ją z młodszym samcem, ale mocno go pobiła. Szczęśliwie on ma umysł podatny na sterowanie, co jest pomocne w takich przypadkach.

Dziwne, że sterowanie umysłem nie zawsze jednakowo działa. Są takie sprawozdania...

— Nie mów mi o sprawozdaniach. Spiętrzają się w czytniku i kiedy ma się czas, żeby je posegregować? Teraz, kiedy Llayron zarządził wczesny start, część doświadczeń nie zostanie w ogóle przeprowadzona. Tej samicy nie możemy zabrać ze sobą w kosmos: nigdy nie dostarczyłaby nam żywych młodych. Nie ma to zresztą większego znaczenia, gdyż jest to po prostu bezwartościowy, wybrakowany obiekt. Najlepiej będzie pozbyć się jej.

Rutee skuliła się w klatce, zgarbiła, chroniąc splecionymi ramionami swój nabrzmiały brzuch. Dziecko, kolejne dziecko w tym potwornym miejscu! Chciałaby zabić i siebie, i to dziecko, zanim się urodzi! Nie było jednak sposobu. Jeżeli nie jadłeś, przywiązywali cię i karmili pod przymusem swoimi zastrzykami. Tak jak przymusili ją. Rutee starała się skupić na wspomnieniach.

Nie była mentalnie sterowana tak jak reszta obiektów doświadczalnych. Bron też nie był. To właśnie dlatego zabili go zaraz na początku. Tamto, tamta rzecz, której użyli, zakładając ją ojcu dziecka, które teraz nosiła... Nie, tego nie wolno wspominać.

Obcy prawdopodobnie dyskutowali o niej. Lecz nikt z jej gatunku nie słyszał, jak mówią obcy. Albo porozumiewali się ze sobą telepatycznie, albo też zakres ich porozumiewania się był dla ludzkiego ucha powyżej lub poniżej możliwości odbioru. Mogła jednak wyczuć, że zajmowali się nią. Była też dość sprytna, by się zorientować, że nadchodziło jakieś wydarzenie wykraczające poza normalny tok pracy laboratorium. Trwało wielkie pakowanie: ładowali rzeczy do specjalnie szczelnie zamykanych pojemników. Czy to, co podejrzewała, było prawdą? Czy przygotowywali się znowu do wyruszenia w kosmos? Jeżeli tak, to co z dzieckiem?

Zwinęła się w ciaśniejszy kłębek, przypominając sobie, co się stało z Luci, z którą przebywała przez jakiś czas razem w klatce, po tym, kiedy ich wszystkich wzięli do niewoli. Luci była w ciąży. A w kosmosie zmarła. Rutee starała się jasno myśleć.

Od jak dawna tu była? Od miesięcy? Nie było sposobu, by mierzyć czas. Trwało to jednak wystarczająco długo, by mogła się zorientować, że w jakiś sposób różni się od innych. Kiedy przykręcili jej to sterujące urządzenie, poczuła tylko kłucie, a nie doznała uczucia przymusu, najwidoczniej wywieranego na jej współtowarzyszy niedoli. Jony też tego nie odczuwał!

Odwrócił lekko głowę, starając się dostrzec rząd klatek.

— Jony! — zawołała z cicha. — Jesteś tam, Jony? Odkryła kiedyś, że obcy nie lepiej słyszą jej głos niż ona ich. Dawało jej to cień nadziei.

Może teraz nadszedł czas, żeby zdobyć się na ostateczny wysiłek.

— Jony?! — zawołała znowu.

— Rutee — odpowiedział jej. A więc nadal tam był! Zawsze, po każdym przebudzeniu, bała się, że go nie będzie.

— Jony — starannie dobierała słowa — myślę, że coś się wydarzy. Pamiętasz, co ci mówiłam o zamku klatki?

— Już to zrobiłem, Rutee. Przed chwilą, kiedy przynieśli miskę z jedzeniem,

zrobiłem to! — W jego odpowiedzi brzmiało pełne triumfu podniecenie.

Rutee wzięła głęboki oddech. Jony był czasem wręcz niepokojąco bystry; szybko wszystko wyczuwał. Jak na siedmiolatka był niezwykle. Był przecież rodzonym synem Brona. Brona i jej, zrodzonym z ich miłości i wiary w siebie nawzajem i w przyszłość, którą widzieli przed sobą jako koloniści na tamtej planecie, nazwanej przez nich Ishtar. Nie, to nie był czas na rozpamiętywania, to był czas działania.

Badawczo przyglądała się obcym.

Ich dziwna fizyczna postać tak bardzo odbiegała od normy uznawanej przez jej lud za „ludzką”, że nie umiała myśleć o nich inaczej, jak tylko o koszmarnych potworach — niezależnie od traktowania, jakie zgotowali swoim nieszczęsnym „okazom”. Wznosili się na swych wrzecionowatych nogach znacznie wyżej niż najwyżsi mężczyźni, jakich kiedykolwiek widziała, mieli okrągłe workowate ciała i głowy, które, pozbawione szyi, spoczywały wprost na wąskich ramionach. Ich usta były ziejącymi szparami, ich oczy sterczały jak wytrzeszczone gałki. Całe ich zielonkawożółte ciała były zupełnie pozbawione włosów.

A ich umysły — Rutee wzdrygnęła się. Nie mogła odmówić im wyższości procesów myślowych. Górowali pod tym względem nad jej własnym gatunkiem. Dla tych potworów jej rodzaj ludzki to były tylko zwierzęta, których pozbywano się po wykorzystaniu.

Jeden nadchodził teraz, żeby odpiąć klamry utrzymujące jej klatkę w rzędzie pozostałych. Oni... oni ją stąd zabierają? Jony! Nie, nie!

Rutee chciała walić w prety klatki, szarpać je. Lepiej jednak było zachować się tak, jakby była zastraszona. Nie chciała, żeby przynieśli to swoje narzędzie do wywierania przymusu, nie chciała, by zadawali jej bolesne wstrząsy.

— Jony, wyciągają moją klatkę. Nie wiem, co chcą ze mną zrobić. — Starła się, żeby ta wiadomość zabrzmiała rzeczowo.

— Chcą cię zanieść do zbiornika na odpadki. — Słowa Jony’ego przeraziły ją. — Ale nie zrobią tego!

Śmietnisko, tam gdzie znikają martwi i beużyteczni! I choć nie mogłoby to w niczym pomóc. Rutee chciała głośno wykrzyknąć swój strach.

— Nie zrobią tego! — powtórzył Jony. Odbierał chyba wszystko, co czuła w tej chwili. Miewał dziwne przebłyski empatii.

— Czekaj na mnie, Rutee!

— Jony! — Teraz bardziej bała się o niego, niż o siebie. — Nie próbuj niczego, nie daj się skrzywdzić!

— Nic mi nie zrobią. Po prostu czekaj, Rutee.

Obcy oswobodził jej klatkę i przyciskając ją do swego ogromnego cielska, taszczył wzdłuż przejścia. Rutee przywarła do pretów, by uniknąć rzucania na boki. Byli już teraz blisko drzwi prowadzących do składowiska odpadów. Rutee miała nadzieję, że tam, po drugiej stronie drzwi, śmierć przyjdzie szybko.

Jednak, ku jej zdumieniu, minęli drzwi. Po słowach Jony’ego była już tak pewna swego losu, że teraz, kiedy wyszli z laboratorium i posuwali wzdłuż korytarza, oszołomiona, potrafiła pojąć tylko tyle, że śmierć najwidoczniej się trochę opóźnia.

Zdumienie nie opuściło jej, kiedy wyszli na zewnątrz, idąc w dół po pochylni statku przewyższającego swą wysokością najwyższe budynki, jakie kiedykolwiek widziała.

Właśnie wtedy, kiedy szli w dół pochylni, spostrzegła Jony’ego. Zobaczyła go nie w klatce, lecz przemykającego się po podłodze szybkimi ruchami, po kilka stóp za każdym razem, i zastygającego w bezruchu przed każdym następnym skokiem. Jony naprawdę otworzył zamek swojej klatki; był wolny. Zaskoczenie i nadzieja przepełniały ją na dłuższą chwilę bliskim uczuciem radości.

Jony nie rozumiał, w jaki sposób wszystko wiedział. Było to tak, jak gdyby odpowiedzi same przychodziły mu do głowy. Rutee jedynie wyczuwała nadejście zmiany, on wiedział o niej na pewno. Miejsce, w którym się znajdowali (Rutee powiedziała, że to statek kosmiczny) odlatywało gdzieś w niebo. A Rutee? Wielcy zamierzali się jej pozbyć. Może udałoby mu się ją uwolnić, dostać się do jej klatki i otworzyć ją z zewnątrz. Musiał to zrobić! Kiedy — wcześniej niż sama Rutee — był już pewien tego, co miało się wydarzyć, zwinął się w kłębek, kładąc brodę na podciągniętych kolanach oplecionych ramionami. Jakiś czas temu dokonał swego wielkiego odkrycia. Już wcześniej Rutee powiedziała mu, że różni się od innych, którzy robili dokładnie to, co kazali im robić Wielcy. Czasami, kiedy bardzo się starał, sam mógł zmusić Wielkiego, żeby postąpił zgodnie z jego myślą!

Teraz musiał tak zrobić z tym Wielkim, który stał przed klatką Rutee. Był to tylko pojedynczy wróg. Jony miał więc szansę. Skupił całą swoją zdolność koncentracji (a była ona tak wielka, że gdyby Rutee mogła ją poznać, zdumiałaby się) na jednej myśli. Rutee — nie — może — zostać — wyrzucona — na — śmietnisko. Rutee NIE — może —

Wołanie Rutee wyrwało go z tej koncentracji. Gdy już jej odpowiedział, jego myśli znów skupiły się na Wielkim i na klatce Rutee.

Klatkę, już uwolnioną, pochwyliła ręka bez palców, lecz z sześcioma mackami, pozbawionymi wprawdzie kości, lecz obdarzonymi potężną siłą uchwytu — siłą, jakiej jego własnych pięć palców nigdy nie miało. Jony myślał...

Drzwi do śmietnika — Wielki je ominął! Jony błyskawicznie rozprostował się i wydostał się z klatki. Opuszczał się po prętach drugiej, pustej, znajdującej się niżej i już po chwili zeskakiwał na podłogę. Tam zaczął się poruszać krótkimi skokami od jednej upatrzonej zawczasu kryjówki do drugiej. Osiągając pochylnię, zobaczył Wielkiego, jak kroczy przed nim, niosąc klatkę Rutee. Wziął głęboki oddech i pobiegł z pełną szybkością. Przemknął obok Wielkiego, kierując się ku otwartemu światu poza nim. W każdej chwili spodziewał się, że jedna z tych wielkich rąk pochwyci go, owinie swymi mackami i uwięzi z powrotem.

Przepełniał go strach. Gdy tylko poczuł coś nad sobą, rozpląszczył się i potoczył w głęboki cień padający od wznoszącego się wysoko statku. Znalazłszy się tam w końcu, Jony dyszał przez chwilę nie wierząc, że nadal jest wolny. Potem zdecydowanym ruchem wywinął się do tyłu, wpatrując się w miejsce będące jedynym znanym mu dotąd schronieniem: w luk, z którego wychodziła pochylnia. Wielki zatrzymał się u stóp wejścia. Jony wyczuł jego dezorientację.

Raz jeszcze Jony się skoncentrował. Klatka — postaw ją tam, dalej.

Z całą mocą skierował tę myśl ku wrogowi. W odpowiedzi odebrał zamęt myśli obcego. A jednak oddalał się on wciąż od pochylni, trzymając klatkę w ręku. Później Wielki zastygł w bezruchu, spoglądając w tył, jak gdyby wzywał go jakiś głos. Jony zadrżał. Nie było teraz sposobu, żeby się z obcym skontaktować; wróci na statek z Rutee i...

Tylko że obcy nie zrobił tego. Nie zabrał klatki. Odrzucił ją od siebie i ciężko tupiąc, zawrócił na pochylnię. Gdy tylko znalazł się wewnątrz, luk wejściowy zaczął się zasuwac. Wielki był w środku, gdy statek zamknął się szczelnie.

Rutee, klatka. Jony wygramolił się ze swojej kryjówki, torując sobie drogę przez kłujące zarośla znaczące jego nagą skórę krwawymi śladami zadrapań.

— Rutee! — krzyknął głośno. Lecz jego głos został wchłonięty przez grzmiący, dudniący odgłos, tak straszliwy, że Jony przycupnął za olbrzymim drzewem, osłaniając rękami uszy przed ogłuszającym hałasem. Polem rozszedł się zwalający z nóg podmuch. Jony skulił się jeszcze bardziej. Gdyby tylko mógł, wkopałby się w pokrytą gęstwiną korzeni ziemię, na której stał.

Przez chwilę po prostu trwał; strach wypełniał jego doprowadziło ciało do konwulsyjnego drżenia, sprawił, że Jony zakwilił.

Podmuchał zamarł, dźwięk zamilkł. Jony odjął ręce od uszu, zaczerpnął powietrza. Łzy popłynęły strugami po jego podrapanej twarzy. Ciągle drżał. Było zimno. I ciemno. Tak gęstego mroku jak ten w zaroślach, nigdy nie widział w pomieszczeniu z klatkami, jedynym miejscu, jakie mógł pamiętać.

— Rutee? Jej imię zabrzmiało jak syczący szept. Nie mógł jakoś zmusić zaschniętych warg do wydania głośniejszego dźwięku. Chciał, musiał znaleźć Rutee!

Posuwając się po omacku, na ślepo przekopywał się przez zarośla, dwukrotnie napotykał nieprzebytą gęstwinę. Chwiejnym krokiem brnął wzdłuż przeszkody, dopóki nie znalazł jakiegoś przejścia. Kręciło mu się w głowie i nie mógł myśleć; wiedział tylko, że musi znaleźć Rutee.

Klatka zatoczyła w powietrzu szeroki łuk, gdy obcy ją cisnął. Rutee przeżyła parę chwil paniki. Rzuciła ją, gdy więżąca ją klatka lądowała gwałtownie na gęstej pokrywie roślinności tłumiącej upadek. Miażdżące uderzenie, którego się spodziewała, zostało znacznie złagodzone. Być może to uratowało jej życie; na razie.

Leżała na podłodze. Połamane gałęzie, które przebiły się przez grubą drucianą siatkę, były w nią wymierzone. Obie ręce przycisnęła do brzucha. Ból... dziecko... już niedługo. Była w pułapce.

Na kilka chwil ośwładał ją strach, gdy wokół rozległ się szalony hałas. Później uderzył podmuch wiatru. Tylko dzięki temu, że leżała na boku, na krótko zobaczyła statek, który był jej więzieniem. Statek obcych zniknął z niezwykłą wprost szybkością.

Jony. Widziała go, jak biegł w dół schodów, jak wydostał się na zewnątrz statku.

— Jony — słabym głosem wyszeptała jego imię, jęcząc, gdy znów zaatakował ją nieubłagany ból.

Gdy parcie ustało, Rutee poruszyła się, usiadła. Doczołgała się do drzwi, starając się poprzez siatkę dosięgnąć rękami zatrzasku, choć od dawna wiedziała, że to bezowocne usiłowania. Nadal, tak jak poprzednio w laboratorium, tkwiła w pułapce. I tylko ta uparta chęć życia, która opanowała ją od czasu uwięzienia, sprawiała, że Rutee nie przestawała manipulować przy zamku.

W końcu bóle znów ją pochwyciły. Przywarła do podłogi i zapłakała, nienawidząc się za swoją własną słabość. Jony, gdzie był Jony? Robiło się coraz ciemniej, zbierały się chmury. Zaczęło padać i grad padających kropli przejął ją dreszczem.

Ból znowu osłabł, więc zbierając wszystkie siły, Rutee krzyknęła wprost w zawieruchę:

— Jony!

Jedyną odpowiedzią było kolejne, lodowate uderzenie ulewy. Było tak zimno, tak zimno... Nie pamiętała, by kiedykolwiek była tak zmarznięta. Powinno być jakieś ubranie, by się okryć, coś, co chroniłoby przed chłodem. Było kiedyś coś takiego, lecz kiedy, gdzie? Rutee zapłakała. Poczuli ból głowy, gdy usiłowała sobie przypomnieć. Była przemarznięta i obolała. Musiała dostać się tam, gdzie jest ciepło, musiała, gdyż... gdyż... Nie mogła przypomnieć sobie tej przyczyny, ponieważ ból powrócił i pogrążył ją w mękach.

Jony jednak usłyszał tamten krzyk, usłyszał go mimo szaleństwa wichury. Zaczął znów myśleć, zaprzestał chaotycznego biegania, poszukiwań pozbawionych planu. Z rozmysłem zawrócił, torując sobie drogę na prawo, ignorując zapórę, jaką stanowiła przemoczona gęstwiną roślinności.

Rutee była gdzieś przed nim. Musiał ją odnaleźć. Skoncentrował się na tej jednej myśli i z taką intensywnością, jaka poprzednio zmusiła Wielkiego, by postąpił zgodnie z jego, Jony'ego, wolą, by nie wyrzucał Rutee na śmietnisko. Błoto oblepiało

go prawie po kolana, nie przestawał drżeć. Pierwszy raz w życiu był na zewnątrz, na dworze. Nie rozglądał się wcale wokół z jakimś większym zaciekawieniem. Cała jego wola skierowana była na jedno: znaleźć Rutee. Potrzebowała go. Fale jej wezwania osiągały siłę bólu; nie umiałby jednak ująć tego w słowa, mógł tylko odczuwać.

Dwa razy zatrzymywał się, kładąc ręce na uszy, jak poprzednio, kiedy instynktownie chronił je przed grzmiotem startującego statku. Były tam myśli, uczucia... Ale nie miały one nic wspólnego z Rutee. Były tak dziwne jak te, które czasami miewał, gdy Wielcy się gromadzili. W pierwszej chwili pełzył z powrotem w zarośla, pewien, że jeden z wrogów go tropi. Wyczuł jednak różnicę. Nie, żaden Wielki nie podążał za nim; statek szczęśliwie odleciał.

Raz i drugi Jony miał uczucie jakiegoś kontaktu, uczucie, którego nie umiał wytłumaczyć i uparcie starał się nie dopuścić go do siebie. Musiał się trzymać myśli o Rutee, inaczej nigdy jej w tym dzikim miejscu nie odnajdzie.

Jony zachwiał się, a jego posiniaczona ręka znalazła oparcie na pniu drzewa. Rutee! Była blisko i cierpiała! Cierpiała taki ból, że Jony sam chciał zgiać się wpół. Tak błyskawiczna i pełna współodczuwania była reakcja jego nerwów! Musiał przeczekać chwilę, która wydawała się trwać bez końca. Popłakując, głośno i chrapliwie łapał oddech. Jej ból zelżał; mógł iść dalej.

Doszedł do miejsca, skąd nawet w ciemnościach burzy mógł dostrzec wielki kształt klatki. Nie znajdowała się na ziemi, lecz tkwiła zawieszona wśród połamanych gałęzi i listowia. Rutee była tylko małym, bladym kłębkim wewnątrz klatki. Jony wiedział, że potrafi otworzyć zamek, jeżeli zdoła go osiągnąć. Kiedy się zbliżył, zdał sobie sprawę, że samo dno klatki było wysoko ponad nim.

Musiał się jakoś wspinać po zaroślach i drucianej siatce. Dwa razy skakał, chwytając się gałęzi, ślizgając się na mokrym podłożu i tracąc oparcie. I dwa razy odpadał, raniąc się boleśnie, gdy gałęzie uginały się pod jego ciężarem. Na nodze miał głęboką, krwawiącą bruzdę wyoraną przez złamany konar. Jego ręce i ramiona były obolałe od ogromnego wysiłku, by podciągnąć się wyżej.

Tak długo ponawiał swe usiłowania, aż w końcu dotarł do siatki. Tam przywarł, niezdolny wyrzec słowo, gdyż chwycił go skurcz bólu promieniujący od Rutee. Zwisając tak rozpaczliwie, musiał trzymać się kurczowo, zanim odważył się znowu poruszyć.

Gdy wspinał się po klatce, by dostać się do mechanizmu zamka, ta drgnęła i pochyliła się do przodu pod wpływem jego ciężaru. To, że klatka mogła runąć i zmiażdżyć go, nie przyszło mu do głowy; było tam teraz miejsce tylko na jedną myśl, że musi osiągnąć zamka i wypuścić Rutee.

Słyszał jej krzyki, a później jego ręka zacisnęła się na zamku, którego ona nie mogła osiągnąć. Jony przywarł na płask do siatki, podczas gdy klatka drżała. Tak... teraz... w ten sposób!

Poprzez odgłosy sztormu usłyszał ciche szczękniecie uwolnionego mechanizmu. Drzwi pod jego ciężarem otworzyły się i zakołysały. Przez chwilę Jony wisiał na jednej ręce, a serce mu łomotało. Wreszcie palce jego nóg uczepliły się drucianej siatki, rękami zaś objął drzwi. Klatka jednak przechylała się coraz bardziej.

Pod wpływem strachu zamarł w bezruchu, świadomy teraz, że wszystko może runąć w dół. Rutee poruszała się na czworakach ku krawędzi otworu.

Tylko na wpół uświadomiła sobie nadejście Jony'ego. Gdy ostatnie bóle osłabły, rozumiała, w jakim się znalazła niebezpieczeństwie. Jony nie zwracał uwagi na jej rozkazy, by zejść na dół i odsunąć się na bok; możliwe, że wcale ich nie słyszał.

Przywarł teraz do drzwi i trwał tam przyklejony, wisząc nad ciemną otchłanią, o której rozmiarach Rutee nie miała pojęcia. Musiała teraz myśleć nie tylko o swoim uwolnieniu, lecz także i o tym, by uratować Jony'ego.

Ostrożnie przerzuciła połowę ociążałego ciała poprzez krawędź przechylonej klatki, szukając po omacku jakiegoś punktu oparcia. Dwa razy natrafiła stopami na gałęzie, lecz zbyt łatwo się ugiwały, by mogła zawierzyć im swój ciężar. Za trzecim razem jej stopa zatrzymała się na powierzchni, która nie ślizgała się i nie kiwała, toteż Rutee odważyła się mocniej oprzeć.

Trzeba było działać. Wyglądało na to, że pochylona do przodu klatka ześlizgnie się i jeżeli oboje pozostaną tam gdzie teraz, może to znaczyć, że i ona, i Jony zostaną zgnieceni.

Wiatr na chwilę zelżał, deszcz jednak nie ustawał. Za pierwszym razem, kiedy usiłowała przemówić, wydobyła z siebie tylko chrapliwe krakanie, spróbowała jednak znowu.

— Jony, przesuwaj się w lewo.

Jak trudno było myśleć. Jej umysł wydawał się zmacony jak wtedy, gdy obcy zaczęli z nią robić doświadczenia. Nie odważała się pozostawać dłużej tam, gdzie była, aby przekonać się, czy Jony usłyszał i posłuchał. Ciężar ich obojga wywierany na przód klatki pochylał ją i pociągał w dół.

Teraz, kiedy obie jej stopy miały mocne oparcie, zdecydowała się zwolnić uchwyt i puścić klatkę, opuszczając jedną i drugą rękę w poszukiwaniu mocnego oparcia. Kiedy je znalazła, rozejrzała się wokół.

Jony ruszył z miejsca. Opuścił się już do dolnej krawędzi klatki i macał poniżej, poszukując oparcia dla stóp. Rutee była ciekawa, czy udałoby jej się go dosięgnąć, ale w tej chwili było to z pewnością niemożliwe. Teraz, gdy bóle znów ją pochwytyły, mogła tylko trzymać się kurczowo i trwać w swojej pozycji, zaciskając chwyt z całej siły.

Jony wiedział, że klatka się przewraca. Puścił jej krawędź i osuwając się, łapał się rozpaczliwie wszystkiego po drodze. Maź z rozgniecionych liści sprawiła, że jego ręce stały się śliskie, a uchwyt niepewny. W końcu uderzył w zbitą masę gąszczy, która zachwiała się, ale utrzymała go. Klatka upadła, a Jony drżał teraz mocno, nie tylko z zimna i siekącego deszczu, ale i z wrażenia wywołanego uniknięciem niebezpieczeństwa. Nie odważył się poruszyć. Krzyknął jednak, gdy coś chwyciło go mocno za kostkę.

Miał właśnie zacząć wściekle kopać, kiedy usłyszał głos Rutee:

— Jony!

Z okrzykiem opuścił się w dół i kiedy przycisnęła go mocno do siebie, poczuł jej chłodne ciało przy swoim. Od dawna już nie byli tak blisko siebie jak teraz. Blisko siebie i bezpieczni! W koło powtarzał jej imię, wtulając głowę pod jej ramię i moszcząc się tam jak w gniazdku.

Ale Rutee nie była ta sama, cierpiała. Nawet teraz, gdy przywarł do niej, jej ciałem szarpnął nagły skurcz i krzyknęła. Znowu mógł wyczuć jej ból.

— Rutee! — Strach był tak silny, że Jony niemal czuł jego gorzki smak w ustach.

— Rutee, ty jesteś ranna!

— Ja... ja muszę znaleźć jakieś miejsce, Jony, bezpieczne miejsce — dobiegały jej urywane słowa. — Prędko, Jony... proszę... prędko...

Było jednak ciemno. Gdzie znajdowały się jakieś bezpieczne miejsca tu, na zewnątrz? O zewnętrznym świetle Jony wiedział tylko dzięki temu, że Rutee zdążyła mu o nim opowiedzieć, zanim, dawno temu, Wielcy nie oderwali go od niej i nie umieścili samego w klatce. Teraz zewnętrzny świat zaczął wywierać na nim wrażenie, zadziwiać swą innością, na którą nie zwracał uwagi przedtem, skupiony na poszukiwaniu Rutee.

— Jony. — Ręka Rutee zaciskała się wokół jego ramion mocno, aż do bólu, ale nie sprzeciwiał się temu uściskowi.

— Ty... ty będziesz musiał pomóc... pomóc mi...

— Tak, musimy przedostać się na dół, Rutee. To trudne...

Jony nie pamiętał potem żadnych szczegółów tego zejścia. Fakt, że tego w ogóle dokonali (Jony zrozumiał to dużo później) graniczył z cudem. Nawet stojąc już na błotnistej ziemi, nie byli bezpieczni. Było tak ciemno, że gdzie by nie spojrzeć, widać było tylko głęboki cień. Musieli też posuwać się powoli, ponieważ Rutee bardzo cierpiała. Kiedy nadchodziły bóle, zmuszona była stawać, by je przeczekać. Jony wziął jej rękę w swoje dłonie.

— Rutee, pozwól, że sam tam pójde. Ty tu zaczekaj. Może uda mi się znaleźć bezpieczne miejsce...

— Nie...

Jony jednak wyrwał się jej i przebiegł przez niewielką otwartą przestrzeń do cienia, który sobie upatrzył. Nie wiedział, dlaczego wybrał ten właśnie kierunek, ale wybór ten wydawał się sprawą najwyższej wagi.

W panującym mroku posuwał się po omacku po suchym zagłębieniu. Kiedyś, w odległej przeszłości, upadło tu drzewo będące istnym olbrzymem wśród drzew. Stercząca w górę masa korzeni wznosiła się ku niebu, a pod nimi była głęboka jama, ponad którą wiły i splatały się pnącza. Obejmowały niby siecią rosnące w pobliżu młode drzewka i tworzyły dach, który, choć nie całkiem wodoszczelny, osłaniał trochę przed wiatrem i deszczem. Naniesione liście tworzyły rodzaj grubego materaca. Nogi Jony'ego zapadały się po kostki w miękkich liściach, gdy badał wybrane miejsce.

— Chodź, Rutee, chodź... — Z całą siłą swego niewielkiego, lecz umięśnionego ciała na poły ją wspierał, na poły prowadził ku tej prymitywnej kryjówce.

II

Rutee leżała na liściach, jęcząc. Jony starał się obsypać ją nimi, żeby ją trochę ogrzać. Straciła je; jej obrzmiałe ciało wiło się w nowych bólach. Jony kucnął przy niej. Rutee, Rutee cierpiała! Powinien jej pomóc, ale nie wiedział jak.

Dwukrotnie doczołgał się do krawędzi ich nędznego schronienia i wpatrywał się w mrok i deszcz. Nie było widoków na żadną pomoc. Rutee była ranna, i to poważnie! Wyczuwał jej ból.

Świat cierpienia zamknął się wokół Rutee. Nie zdawała już sobie sprawy z obecności Jony'ego, z tego gdzie leżała, z niczego oprócz bólu wypełniającego jej udęczone ciało.

Jony zaczął popłakiwać. Miał ochotę uderzyć, zranić kogoś lub coś, tak jak zraniono Rutee. Wielcy — to oni zrobili!

W chwili rozpaczony coś na kształt małego ziarenka nienawiści zagnieździło się w nim i zakiełkowało. Niech tylko Wielcy zaczną ich szukać, niech zaczną! Dłoń Jony'ego zamknęła się na wielkim kamieniu; zaciskając palce, szarpnął mocno i wyrwał go spod ziemi i liści. Kurczowo przyciskał tę toporną broń do siebie, wyobrażając sobie, jak kamień trafia w szpetną twarz Wielkiego: trach... trach... trach!

Lecz ta gra wyobraźni, która odróżniała go od innych rówieśników o sterowanych umysłach, uświadamiała mu równocześnie, że jego próby skończyłyby się fiaskiem. Wielki mógł go zgnieść między swymi wijącymi się palcami, tak że nic by z niego nie pozostało.

— Rutee! pochylił się nad nią niżej, wołając błagalnie. — Proszę, Rutee...

Jęk był jedyną odpowiedzią. Musiał coś zrobić, musiał! Jony wyczołgał się na zewnątrz, niezdolny by dłużej słuchać, zgiętym ramieniem zakrył oczy, jak gdyby chciał wymazać widok Rutee, który zdawał się płonąć w jego głowie.

Wystawił twarz na wiatr i deszcz i choć wiedział, że nie było tam nikogo, kto by go usłyszał i pomógł, mimo wszystko zawołał:

— Proszę... pomóżcie Rutee... proszę!

Czyjaś świadomość, Jony odwrócił się. W ciemnościach nie mógł zobaczyć, ale wiedział. Wiedział, że ktoś, coś, było tam w głębi, w cieniu, obserwując, nasłuchując. Umysł, którego obecność chłopiec wyczuwał, nie należał do żadnego z Wielkich. Jony zmarszczył się zakłopotany, że nie może zrozumieć myśli, którą napotkał. Było to tak, jakby coś błyskawicznie przemknęło i w mgnieniu oka zniknęło z pola widzenia. Tylko jednego był pewien: to, co było świadkiem jego niedoli, czymkolwiek było, nie miało zamiaru go skrzywdzić.

Biorąc głęboki oddech, Jony zmusił się do zrobienia najpierw jednego, potem dwóch kroków w kierunku, gdzie cień był głębszy.

— Ty... proszę, czy możesz pomóc? — powiedział błagalnie. Przez chwilę przestał odbierać uczucie obecności i myślał, że obserwator odszedł, rozplynął się w nieznanym.

Wówczas kształt drgnął i ruszył do przodu, powłócząc nogami. Mimo słabego światła Jony dostrzegł, że był on duży (nie tak duży jak Wielcy, ale chyba ze dwa razy większy od niego). Chłopiec przygryzł zębami dolną wargę. Wiedział, że to, najpierw zaciekawione, teraz podeszło, bo chciało... Chciało pomóc!

Jony był tego tak pewien, jak pewien był własnej niedoli czy bólu Rutee.

— Proszę — rzekł niepewnie. Może nie mogło ani usłyszeć, ani, jeśli słyszało, zrozumieć jego słów. Kiedy ruszyło, by stanąć czy też przykucnąć naprzeciw niego,

poczuł otaczającą go zewsząd dobrą wolę.

Nie, to nie był Wielki. Stworzenie to w żaden sposób nie przypominało znienawidzonych wrogów. Miało okrągławe ciało, pokryte futrem nakrapianym w jasne i ciemne łatki. Jony musiał się weń starannie wpatrywać, gdyż wyglądało jak cześć gąszczy. Jego cztery nogi były grube i mocne. Przybysz przykucnął na dwóch tylnych łapach, podczas gdy przednie zwisały mu nad okrągłym brzuchem. Stopy przednich łap kończyły się pazurami, dziwnie przypominając kształtem ludzkie dłonie, chociaż ich naga skóra była bardzo ciemna. Szerokie ramiona zwieńczone były okrągłą głową osadzoną na krótkiej, grubej szyi. Ponad pyskiem zakończonym guzikowatym nosem jaśniały ogromne, świecące w ciemnościach oczy, zwrócone teraz na Jony'ego, przyglądające mu się.

Jony odważył się ruszyć, wyciągając rękę w stronę ręki przybysza. Futro pod jego palcami było wilgotne, lecz bardzo miękkie. Jony nie czuł już strachu, miał raczej uczucie, że nadeszła pomoc. Zacieśnił uścisk na łapie, choć jego mała dłoń nie mogła jej objąć. Czuł silne i twarde mięśnie pod pokrytą futrem skórą.

— Rutee? — powiedział.

Od strony przybysza dobiegł dziwny odgłos przypominający skomlenie, a dźwięk ten niósł przesłanie odbierane przez umysł Jony'ego. Tak, to była pomoc! Jony odwrócił się w stronę jamy. Stwór podniósł się, wyraźnie górując nad chłopcem i powłócząc nogami ruszył naprzód. Jedna z ciemnoskórych rąk spoczęła na ramieniu Jony'ego. Ten ciężki uścisk był ogromnie krzepiący.

Jakże ciasna była ich licha kryjówka. Jony musiał się głęboko wsunąć w masę zmurszałych korzeni, by przybysz mógł się wcisnąć do wnętrza. Okrągła głowa zwisała nisko, a pysk prawie dotykał Rutee, gdy stwór wolno wodził nosem po ciele wijącej się w bólach kobiety.

— Jony? — Rutee leżała teraz z szeroko otwartymi oczyma, ale nawet nie próbowała zobaczyć chłopca. Nie okazała też żadnego zdziwienia, kiedy jej wzrok napotkał wężącego przybysza. Zaczęła gwałtownie, miarowo tłuc ręką. Jony złapał ją za przegub i ścisnął mocno. Zadrżał, kiedy jej ból wypełnił jego ciało.

Stwór robił coś teraz, manipulując swymi czarnymi łapami. Jony nie był pewien co, lecz jego wiara w pomoc była ślepa i nieugięta. Rutee wydała z siebie krzyk, a ten rozdzierający dźwięk rozległ się w jego głowie, niemal ją rozsadzając. Zamknął oczy i najchętniej zatkałby sobie uszy rękami, ale Rutee ścisnęła teraz jego rękę z całej siły.

Wtedy nadbiegł inny dźwięk — słaby, żaloszny płacz! Jony, zdziwiony, odważył się spojrzeć jeszcze raz. Czarne łapy trzymały coś, co wrywało się, wydając z siebie ten głos. Stwór pochylił okrągły łeb, obwąchując dokładnie to, co trzymał w łapach. Uznał najwidoczniej tę czynność za ważniejszą od oględzin. Potem podał Jony'emu coś wijącego się. Rutee opuściła rękę i leżała dysząc ciężko, powoli. Jony wbrew swojej woli wziął dziecko. Przybysz odwrócił się szybko do Rutee, znowu wężąc. Rutee ponownie słabo krzyknęła, a jej ciało gwałtownie drgnęło.

Po raz drugi łapy trzymały dziecko, a nos je obwąchiwał. Lecz teraz spomiędzy mocnych zębów pokazał się długi język. Jony był wstrząśnięty — miał zamiar jeść! Zanim zdążył zaprotestować, zobaczył, że język myje dziecko — dokładnie, od stóp do głów. Po kolejnym badawczym obwąchaniu przybysz delikatnie ułożył niemowlę obok Rutee, na liściach.

Jony ledwie sobie uświadamiał, że trzyma już jedno dziecko w rękach, choć płakało i skręcając się, ocierało o jego podrapaną przez kolczaste zarośla skórę. Łapy wyciągnęły się i Jony podał dziecko, które też zostało wylizane i położone.

Ciemności gęstniały w jamie, nie na tyle jednak, by Rutee była Jony nie mógł dostrzec zamkniętych oczu Rutee. Jej głowa opadła na bok. Jony zwrócił swą myśl tam gdzie zawsze, tak jak to instynktownie robił, odkąd sięgał pamięcią. Nie, nie było

tam pustki. Rutee żyła!

Dzieci leżały po obu jej bokach, tam gdzie troskliwie ułożył je przybysz Teraz łapy zagrabiwały liście, nanosząc całe ich narecza na Rutee i bliźnięta. Jony pojał. Było zimno i deszcz stale sączył się do środka. Trzeba było okryć, osłonić Rutee i niemowlęta. Zabrał się do roboty.

Wyczuł pochwałę obcego. Tak było dobrze. Kiedy Rutee i dzieci były już okryte, kudłaty zaczął się wycofywać.

— Nie! — Jony nie mógł zostać sam. Co zrobiłby, gdyby Rutee była znów chora i ranna? A dzieci — nie wiedział, co z nimi począć! Musi koniecznie zatrzymać obcego.

Łapy opadły na ramiona Jony'ego, przytrzymując go bardzo mocno, podczas gdy wielkie, świecące oczy wpatrywały się w chłopca. Jony chciał odwrócić głowę, by uniknąć tego uporczywego spojrzenia, gdyż mgliście czuł, że nie może pochwycić jakiegś bardzo ważnej myśli, że przelotnie dotknięta, umyka mu.

Uspokoił się. Odejście tego stworzenia miało swój cel: trzeba było załatwić coś ważnego. Jony szybko przytaknął, jak gdyby upewniając się co do znaczenia znanego sobie usuwano słowa. Nie pozostanie sam na długo. Prosił o pomoc i pomoc nadejdzie.

Jony rozważał myśl o pomocy. Nigdy, od czasu kiedy przemocą odłączono go od Rutee i umieszczono samego w klatce, nie prosił o nią. Wiedział, bo Rutee wyjaśniła mu to dokładnie, że nie można ufać nawet sobie podobnym przedstawicielom własnego gatunku. Myślą oni jedynie w taki sposób, na jaki pozwalają im Wielcy. Rutee była niepodatna na rozkazy myślowe obcych; on tak samo. Nigdy nie był tym, kogo mogliby użyć Wielcy — to była główna nauka, którą dzięki Rutee wyniósł ze swego dzieciństwa.

Jego świat stanowiły klatki i ta część laboratorium, którą mógł dostrzec poza ich ścianami. Rutee jednak opowiadała mu o zewnętrznym świecie. Mieszkała tam kiedyś, zanim przybyli Wielcy i zamknęli ją wraz z pozostałymi w klatkach. Jony, jak wiele razy przedtem, zaczął się cofać myślą, powracać ku temu, czego uczyła go Rutee. Kiedy umieścili go w klatce samego, stale przypominał sobie jej pouczenia.

Byli mali i słabi, a Wielcy mieli sposoby, by ranić i zmuszać ich do posłuszeństwa. Lecz z Rutee i z Bronem było inaczej. Nie mógł oczywiście pamiętać Brona, choć Rutee tak dużo o nim opowiadała, że Jony czasami wierzył że pamięta.

— Rutee i Bron, i wielu ludzi (znacznie więcej niż ta garstka, która przetrwała w klatkach) żyło kiedyś na zewnątrz. Potem nadeszli Wielcy, wypuścili na nich ten śmierdzący gaz, uśpili i zabrali tych, których chcieli.

Później Wielcy zaczęli zakładać swym więźniom to, co Rutee nazywała urządzeniem sterującym. Niektórzy — Bron był jednym z nich — sprzeciwiali się, więc usuwano ich na śmietnisko. Lecz większość po założeniu urządzeń reagowała tak, jak oczekiwali tego Wielcy.

Niektórych zabierano z klatek i Wielcy robili z nimi straszne rzeczy, a skończywszy, wrzucali ich do śmietnika. Lecz dzieci takie jak Jony i niektórych dorosłych takich jak Rutee — zatrzymywano. Dla Wielkich nie byli ludźmi, byli tylko przedmiotami służącymi do użytku.

Rutee stale mu powtarzała, że nie wolno mu pozwolić na to, by go wykorzystano, że nie był rzeczą. Był Jonym i nie istniała druga taka sama osoba, tak jak nie było nikogo podobnego do Rutee. Jony, przypominając sobie to wszystko, poruszył się i przyjrzał bliżej bliźniętom.

Ich małe, wilgotne, pomarszczone twarzyczki nie przypominały Rutee. I była ich dwójka. Czy to znaczyło, że są takie same? Głowa Rutee poruszyła się niespokojnie i Jony natychmiast stał się czujny.

— Wody — powiedziała słabym głosem, nie otwierając jednak oczu.

Woda? Na zewnątrz jamy padało i było dosyć wody, ale Jony nie miał pojęcia, jak ją przynieść. Wyczołgał się z dołu; zdawało mu się przy tym, że błyska, choć mogło to być tylko złudzenie wywołane kontrastem z panującymi w jamie ciemnościami.

Woda?

Rozejrzał się dookoła. Niedaleko było miejsce, gdzie wyrastały wielkie liście, każdy co najmniej szerokości dłoni Jony'ego. Zwinął jeden z nich i trzymał w ręku za zagięte krawędzie, a deszcz strumyczkiem spływał do środka po ogonku. Zebrał tyle wody, ile mógł donieść nie wylewając. Lekko uniośł głowę Rutee, przykładając koniuszek zwinie tego liścia do jej warg, tak że wilgoć po trochu spływała do ust. Przelknęła zachłannie, a on powtarzał bez końca swe wypady po wodę. Za ostatnim razem kiedy wrócił miała otwarte oczy i patrzyła przytomnie.

— Jony?

— Pij. — Podsunął jej liść. Kiedy próbowała wyżej podnieść głowę, jedno z dzieci zakwiliło. Zaskoczona spojrzała w dół na czerwoną twarzyczkę.

— Dziecko! — Powoli uniosła rękę, dotykając małego policzka czubkiem palca.

Jony szarpnął się do tyłu, upuszczając liść. Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale poczuł się opuszczony, kiedy zobaczył, w jaki sposób Rutee spogląda na małego przybysza. Rutee zawsze stanowiła większą część życia Jony'ego, zawsze była. Teraz pojawiło się tych dwoje dzieci...

— Masz dwoje — powiedział szorstko — dwoje dzieci.

Rutee wyglądała na zdziwioną, kiedy podążając za ruchem jego ręki spojrzała w drugą stronę.

— Dwoje? — powtórzyła pytająco. — Ale, Jony, jak...?

Był tu taki pocziwina — wyrzucał z siebie słowa zadowolony, że Rutee znów patrzy wprost na niego, a nie na któregoś z intruzów. — Przyszedł i pomógł...

Nie był pewien, co właściwie zrobił przybysz, wiedział tylko, że był tu, wylizał dzieci i ułożył je obok Rutee.

— Pocziwina? — znów powtórzyła jego słowa. — Co masz na myśli, Jony?

Użył wszelkich możliwych słów, starając się opisać pokryte futrem stworzenie, które odpowiedziało na jego wołanie o pomoc.

— Nie rozumiem powiedziała Rutee, kiedy skończył. — Jesteś pewien, że nie było to jedynie coś, o czym pomyślałeś? Och, Jony, cóż to, któż to mógł być?... Jony! — Jej oczy były wielkie, przerażone. Nie patrzyła już wcale na Jony'ego, lecz na coś za nim. W odpowiedzi poczuł narastający skurcz strachu przed nieznanym. Wykręcił głowę na tyle, by widzieć wejście do jamy.

Obcy powrócił i, przykucnięty, przypatrywał się im.

— To on, Rutee, ten, który przyszedł z pomocą. Strach opuścił Jony'ego w chwili, kiedy dostrzegł te świecące oczy.

Kobieta jednak obserwowała przybysza z niepokojem. Powoli zaczęła wyczuwać pociechę i pomoc, które przynosił obcy. I ona, która w pełnym grozy przerażeniu, w nieustannym strachu, nauczyła się patrzeć na świat jak na potencjalnego wroga — teraz odetchnęła z ulgą. Rutee nie wiedziała, czym lub kim była ta istota, lecz miała wewnętrzną pewność, że nie uczyni ona krzywdy ani jej, ani dzieciom, lecz przeciwnie — pomoże. Osłabiona, ułożyła się z powrotem na swym legowisku z liści, pozwalając przybyszowi działać.

Chociaż, pewnie z powodu swej masywnej postury wydawał się niezręczny, jego wielkie ciało poruszało się zwawo. Tym razem nie próbował wpełznąć do ich kryjówek; zamiast tego upuścił jakiś kłęb, który niósł zwinie i przyciśnięty łapą do piersi, i pchnął w stronę Jony'ego.

Posłuszny temu oczywistemu znakowi, chłopiec przyciągnął to do siebie. Gałązki

były połamane, miały ostre odarte z kory końce, lecz wciąż jeszcze tkwiło na nich sporo jasnozielonych kulek. Stwór oderwał jedną i wpakował sobie do rozdziawionego pyska. Znaczenie tego gestu był oczywiste: to jest jedzenie.

Dla Jony'ego jedzeniem zawsze były kostki mdłej brązowej masy, którą Wielcy, w regularnych odstępach czasu, wrzucali przez specjalny otwór do jego klatki. Teraz widok jedzącego stwora uprzytomnił mu nagle, że jest głodny. W rzeczywistości jego głód graniczył z bólem. Rzucił się rwać najbliższe kulki dla siebie.

— Nie, Jony! — zaprotestowała Rutee. Jak mógł mu wytłumaczyć, że to, co było dobre dla obcych w ich własnym świecie, mogło stać się śmiertelną trucizną dla kogoś z innej planety? Powinna, musiała go ostrzec.

Kulka była już w ustach Jony'ego. Rozgryzł ją. Odrobina soku trysnęła, zwilżając jego brudną brodę. Połknął, zanim zdążyła mu ją wyrwać.

— Rutee — popatrzył na nią rozpromieniony. — Dobrze, lepsze niż pokarm w klatkach. Dobrze!

Odrywał teraz kulki z gałązek szybko, niedbale, a te które zebrał, zaczął w nią wmuszać.

— Jedz, Rutee.

Kobieta pożądliwie spojrzała na owoce. Od dawna już nie próbowała niczego z wyjątkiem pozbawionych smaku racji, które wprawdzie utrzymywały ją przy życiu, ale nie miały żadnego aromatu. Podała się wreszcie. Skończyły się już kostki podawane do klatek; statek odleciał, a oni byli tutaj. Albo przeżyją, żywiąc się miejscowym jedzeniem, albo będą głodowali. Jej wola życia była tak silna, że wzięła jeden z owoców od Jony'ego i wgryzła się weń powoli.

Słodki i wilgotny, był nawet lepszy dla jej wyschniętych ust niż woda deszczowa, którą przynosił jej Jony. Był jak... jak co? Jej umysł przywoływał niejasne wspomnienia z dawnego życia. Nie, nie mogła znaleźć nic dla porównania. Owoc pozbawiony pestek, cały nadawał się do zjedzenia. Przełknęła i czując jeszcze głód sięgnęła po więcej.

Wspólnie z Jonym obrali gałązki z owoców. Dopiero kiedy ostatnia kulka zniknęła, Rutee przypomniała sobie o ofiarodawcy. Dziwne stworzenie o ociężałym wyglądzie nadal siedziało przykucnięte obserwując ich. Deszcz przestał padać, na dworze wyraźnie pojaśniało.

Jony wyprostował nogę i syknął. Rutee spostrzegła otwartą ranę na jego skórze; kiedy się poruszył, widać było wyraźnie świeże krople krwi.

— Jony — usiłowała dźwignąć się na ramieniu. Kiedy się poruszyła, jedno z niemowląt głośno zapłakało. Oszołomiona, Rutee poczuła, że świat wokół niej zawirował.

Zobaczyła wielką rękę (lub może raczej łapę?) sięgającą do wnętrza ich niewielkiego schronienia. Ręka zacisnęła się mocno wokół kostki Jony'ego i odciągnęła go.

Chłopiec nie bronił się. Nawet wówczas, kiedy leżał na wyciągniętych ramionach stwora, Jony nie bał się. Nie poczuł też przyływu odrazy, która zawsze w nim wzbierała, ilekroć dotykały go śliskie ręce Wielkich. Nie szamotał się, gdy przybysz prostował jego nogę i obwąchiwał rozdarte ciało, tak jak przedtem obwąchiwał ciało Rutee.

Był jednak zdziwiony, kiedy długi, szorstki język dotknął rozdartej skóry i zaczął się posuwać wzdłuż rany. Jony wzdrygnął się, ale trzymany mocno nie ruszył się i nie odsunął z zasięgu języka, który zagłębił się w ranie. Stwór, tak jak przedtem wylizywał niemowlęta od stóp do głów, tak teraz przemywał krwawą bruzdę na jego nodze. Przybysz podniósł głowę, schował język, ale nie uwolnił Jony'ego. Przycisnął go do swej szerokiej, kudłatej piersi; jego potężne ramię trzymało Jony'ego jak w

kołysce. Ciężko krocząc, oddalił się od kryjówki pod zwałonym drzewem. Jony wywijał się, starając się uwolnić, by wrócić do Rutee. Ale nie było sposobu, by rozewrzeć kłępujący uścisk.

Nie uszli daleko, kiedy przybysz przystanął, sięgając ku ziemi, by zerwać jakąś roślinę o długich liściach. Pysk ponad głową Jony'ego otworzył się, zęby obdarły szczytowe liście z pędu i schrupały je. Jony poczuł dziwny zapach, zobaczył krople soku w kącikach pełnych ust. Potem stworzenie wypluło na rękę przeżutą papkę. Dotknęło miazgi końcem języka i, chyba zadowolone, szybko nałożyło ją na rozdartą skórę Jony'ego. Chłopiec próbował pozbyć się tego okładu, dopóki cała rana nie została pokryta grubą warstwą. Teraz palenie ustało, a razem z nim znikł piekący ból, którego Jony, zaprzątnięty myślą o Rutee, był tylko na wpół świadomy.

— Jony, Jony, co on ci zrobił? — Rutee dowlokła się jakoś do krawędzi jamy i wyglądała na zewnątrz. — Jony!

— Wszystko w porządku — porwał się ją uspokajać. — Ten pocziwiec właśnie obłożył moją nogę jakimiś przeżutymi liśćmi. Zobacz. — Przekreślił się trochę, tak że mógł pokazać okład na nodze. — Na samym początku trochę bolało, ale teraz już nie.

Przybysz postawił Jony'ego łagodnie na ziemi. Owszem, chłopiec trochę kulał, ale rana przestała krwawić. Odwrócił się teraz, oszczędzając chorą nogę i podniósł wzrok ku przypominającej pysk twarzy ponad sobą.

— Dziękuję... — Słowa prawdopodobnie nic dla obcego nie znaczyły, więc Jony skoncentrował się tak mocno jak wówczas, kiedy chciał ocalić Rutee od śmietniska, na wyrażeniu swej wdzięczności.

Zaraz też poczuł, że ich myśli na mgnienie zetknęły się i przybysz zrozumiał. Wtedy jedno z dzieci zapłakało głośno. Rutee cofnęła się do jamy, podniosła dzieci i przytuliła do siebie, nucąc cicho, dopóki płacz nie przeszedł w ciche kwilenie. Jony przyglądał się temu. Znów powrócił cień żalu dręczącego go z powodu zaabsorbowania Rutee malcami. I choć nie wiedział dlaczego, życzył sobie, by ta dwójka natrętów zniknęła.

Poczuł na ramieniu ciepły dotyk. Wydało mu się, że widzi uśmiech na pysku, jeżeli te grube wargi mogły w ogóle ułożyć się w coś na kształt uśmiechu. Jony uśmiechnął się również i ścisnął łapę, która mocnym, opiekuńczym gestem objęła jego mniejszą i słabszą dłoń.

III

Jasne światło słońca padało na pieniaący się strumień, który wypływał spod małych wodospadów i toczył się dalej przez wąską dolinę. Te same silne promienie ogrzewały skały, szybko wysuszając wszelkie dolatujące tu bryzgi piany. Jony leżał na brzuchu, z głową opartą na splecionych przed sobą ramionach, dzięki czemu mógł obserwować Mabę i Geogee'a, którzy nurkowali pod spadającą wodą i piskliwie pokrzykując na siebie, robili więcej hałasu niż para ptaków vor.

Nie byli sami. Dwoje młodych z Ludu pluskało się koło nich. Lecz Hunf i Uga bardziej byli zajęci połowem, próbując wydobyć smakowite kaski gniezdzące się pod kamieniami w korycie potoku.

W blasku słońca ich łaciate futro nakrapiane w jasne i ciemne plamy bez żadnego wyraźnego wzoru wyglądało nieporządnie. Wszystkie plamy były zielonożółtego koloru, lecz różnorodność odcieni była tak wielka, że zarysy postaci, nawet na otwartej przestrzeni, były prawie niedostrzegalne. Tylko na głowach kolor był równo rozłożony — jaśniejszy na pysku, a ciemniejszy wokół wielkich oczu. Jony i bliźnięta nie byli — ku swemu rozgoryczeniu! — wyposażeni w tak doskonałe okrycie ciała. Jony miał! na sobie krótką spódniczkę z burego, szorstkiego materiału wysmarowanego sokiem z jagód i pńczy, po to by przypominał cieniowaniem futro Ludu. W porównaniu z miękkim futrem jego towarzyszy był to strój wysoce niedoskonały i tak też oceniał go Jony.

Leżał spokojnie, lecz jego czujny umysł pracował nieustannie. Od dłuższego czasu dzielili życie Ludu, lecz Jony nie potrafiłby powiedzieć od jak dawna. Członkowie klanu, potężnie zbudowani i siejący postrach (nawet liczące dopiero dwa sezony młode mogło pokonać Jony'ego w przyjacielskich zapasach), mieli też swoich wrogów. Jony wcześniej odkrył, że jego wewnętrzny zmysł ostrzegawczy przewyższa na swój sposób zdolności Ludu pod tym względem.

Próbował teraz obliczyć, ile pór minęło od czasu, gdy Rutee zmarła od kaszlu. Jony zdawał sobie teraz sprawę, że po urodzeniu bliźnięt nigdy już nie odzyskała sił. Lecz trzymała się życia, dopóki bliźnięta nie dorosły do wieku, w jakim był Jony, kiedy oboje uciekali od Wielkich. W tym czasie on sam bardzo wyrósł i był wyższy niż Rutee, a prawie tak wysoki jak Voak przewodzący temu klanowi. To właśnie towarzyszka Voaka, Yaa, odnalazła ich wtedy, ocaliła Rutee i przywiodła ich do klanu. Kiedy Rutee odeszła, Yaa przejęła wychowanie Maby i Geogee'a, jak gdyby były to jej własne młode.

Jony wysłał swe myśli „na zwiady”. Nie wykrył niczego poza normalnymi przejawami toczącego się wokół życia. Pozwolił swemu umysłowi zagłębić się w nurtujące go teraz pragnienie dalszych odkryć.

Klan miał swoje ustalone tereny łowieckie. Jego członkowie byli na ogół wegetarianami, od czasu do czasu przejawiali jednak upodobanie do stworzeń wodnych czy też do grubych jak palec larw znajdujących w zmurszałym drewnie niektórych zwalonych drzew. W czasie ostatniej pory na obszarze odwiedzanym przez ród Voaka i Yai panowała susza. Wysuszona ziemia zmusiła ich do przeniesienia się na wzgórze, ponad którym wznosiły się dalekie, podtrzymujące czaszę nieba góry.

Szli, gderając i prychając. Lud bowiem był raczej osiadłym plemieniem, nie ufającym zmianom i nie lubiącym ich. Lecz Jony z zadowoleniem powitał zmianę miejsca. Było w nim coś, co gnało go naprzód, jakaś ciekawość charakteryzująca go nie mniej niż zbity warkocz ciemnych włosów czy spalona słońcem na brąz skóra. Zawsze pragnął poznać to, co leży trochę dalej.

Podczas przeprawy natknęli się na coś, co zdumiało Jony'ego. Przypominało to strumień, lecz wodę zastępował tu kamień (lub coś równie twardego jak skały wokół). Najdziwniejsze, że biegło to z nizin ku wzgórzom. Wierzch tego tworu był jednolicie gładki, lecz miejscami nawiana ziemia piętrzyła się na powierzchni podobnie jak zwały piasku nanoszone przez wodę przy brzegach strumienia.

Jony biegł po tej powierzchni przez jakiś czas; podniecał go szybki ruch, nie krępowany gąszczem czy kamieniami. W mowie znaków używanej przez Lud (Jony, podobnie jak rodzaj, z którego się wywodził, nie mógł odtworzyć dźwięków tej chrząkającej mowy) próbował zadawać pytania o tę dziwną skalistą rzekę. Tego dnia towarzyszył Trushowi. Był on młodym Yai w tamtym odległym czasie, kiedy przyszła ona z pomocą Rutee.

Ku ogromnemu zdumieniu Jony'ego, Trush odwrócił głowę i zdecydowanie zaczął oddalać się od skalistej rzeki, odmawiając jakiegokolwiek odpowiedzi na pytania Jony'ego. Zachowywał się tak, jak gdyby nikomu nie wolno było patrzeć na coś takiego ani rozmawiać o tym. Jego niezadowolenie zmusiło chłopca do posłuchu; musiał się cofnąć. Od tamtego czasu prześladowało go wspomnienie tej dziwnej rzeki i chęć, by się o niej czegoś bliższego dowiedzieć.

Dzięki zdolności określania położenia, której wyuczył go Lud, Jony był pewien, że rzeka skał rzeczywiście wnika głęboko we wzgórze i nie może leżeć daleko od ich obecnego miejsca postoju. Gdyby udało mu się namówić Mabę i Geogee'a, by porzucili wodę i przyłączyli się do innych młodych w obozowisku, rozpoczęłyby penetrację terenu na własną rękę.

Jednakże nie chcąc wzniecać dokuczliwej ciekawości bliźniąt, nie mógł robić nic, co mogłoby obudzić ich podejrzenia. Jony westchnął. On sam uważał się za równie ostrożnego i rozważnego jak Voak, lecz co do bliźniąt, to ruszały one do akcji jak szalone, nie myśląc ani przez chwilę. Oboje też pozbawieni byli jego zdolności wyczuwania niebezpieczeństwa i możliwości wpływania na niektóre inne umysły, którą on sam osiągał przez koncentrację.

Nie oznaczało to, że potrafił wywierać wpływ na Lud, umysły jego członków były zbyt odmienne. Jony nigdy nie mógł w nie wnikać tak jak to robił z umysłem Wielkiego w krytycznych chwilach ucieczki. Może (często omawiał to z Rutee), może stosując urządzenia sterujące mózgami innych, Wielcy w pewien sposób stawali się sami podatni na podobne naciski. Jednak żadne z bliźniąt nie miało takiej zdolności. Gdy Jony podrosł, Rutee wyjaśniła mu (było to tuż przed śmiercią,— kiedy obiecał jej opiekować się dziećmi), że ich ojciec był całkowicie sterowany mentalnie. Sądziła, że z tego powodu bliźnięta mogły być bardziej podatne na wpływy.

Wymogła na Jonym obietnicę, że on sam nigdy nie będzie próbował użyć swojej mocy, by wpływać na umysły Maby czy Geogee'a. Takie postępowanie było złem. Była tak zmartwiona, mówiąc o tym, że Jony przyrzekł bez wahania. Jednak wiele razy, rozdrażniony ich lekceważeniem własnego i cudzego bezpieczeństwa, wolałby, by nie wymogła na nim takiej obietnicy. Chcąc nimi kierować, musiał stosować metody perswazji, a im były starsze, tym bardziej oburzały się na jego rozkazy. Jony poruszył się niecierpliwie; skała stała się zbyt gorąca, by można było na niej dłużej wytrzymać. Usiadł więc i zawołał:

— Hej, wy dwoje, wyłaźcie już!

Maba zaśmiała się i skoczyła do tyłu, a jej szczupłe ciało skryło się za zasłoną wody. Geogee kołysał się w wodzie w górę i w dół i robił miny.

— Chodź i złap nas! — zawył.

Ale choć lekceważyli rozkazy Jony'ego, liczyli się jednak z Huufem i Ugą. Huuf stanął za Geogee'em i za mknął go w swoich ramionach. Nie zważając na wściekłość i kopanie, spokojnie zaniósł go na brzeg i rzucił na trawę opodal

miejsca, gdzie leżała zwinięta spódniczka chłopca. Uga zniknęła za pianistą zasłoną i błyskawicznie wynurzyła się z powrotem. Nie niosła wrzeszczącej Maby, lecz prowadziła, trzymając ją mocno za długie sploty włosów.

— Jony! — Maba wrzasnęła, jak tylko wydostała się spoza ściany wody. — Każ jej przestać! To mnie boli!

— Rób, co ci każą — odpowiedział z zadowoleniem — a nie będzie cię bolało. Czas już wracać i ty o tym wiesz,

A może i nie wiedziała. Żadne z nich trojga nie posiadało właściwego Ludowi poczucia czasu, które pozwalało mu spokojnie i pogodnie przemieszczać się przez dni, pory jedzenia, pory drzemki, plecenia sieci, przygotowywania legowisk na noc.

Lud używał wielu narzędzi. Wiązali siatki, w których nosili owoce i jadalne korzenie. Każdy też cenił sobie bardzo kij taki jak ten, po który teraz sięgnął Jony. Były one starannie wykonane ze specjalnie wybranych grubych gałęzi lub pni młodych drzewek. Jeden z końców był zakrzywiony, a hak ten służył do przyciągania gałęzi z owocami. Drugi, zaostrowany przez cierpliwe pocieranie między kamieniami, służył do wykopywania korzeni i wydobywania larw. Mógł też służyć jako broń. Voak uśmiercił takim kijem ptaka vor. Musiał jednak ten kij potem wyrzucić, gdyż rzecz, która zabija, nie może być po raz drugi użyta.

Lud posiadał też swe własne, naturalne uzbrojenie.

Niezwykła siła ich mocno umięśnionych ramion, a także ich kły wystarczały, by uczynić z nich straszliwych przeciwników. Tylko ptaki vor, które mogły atakować w locie, i smaa, szybkonogie, poruszające się z prędkością błyskawicy płazy, przedstawiały jakieś realne zagrożenie. Były też, oczywiście, Czerwone Głowy. Jony widział je tylko raz, ale nawet teraz drżał na samo wspomnienie. Wyglądały one (dla nie wtajemniczonych) jak wysokie rośliny z ogromnymi, płonącymi szkarłatem kulami kwiatów, po jednej na każdym pędzie. W ciągu dnia były zakorzenione w ziemi — rosły. O zmroku ich życie ulegało zmianie. Stopy, będące również korzeniami, wijąc się, wydobywały się i ze swych dołków w darni, a rośliny przygotowywały się, by schwytać i pożreć każdą żyjącą istotę, którą udało im się spotkać. Z dolnych części ich kulistych głów wydobywał się lekki, żółtawy proszek, a jego szybkie falowanie przypominało powiewające w powietrzu liście. Wdychanie tego pyłu powodowało u ofiar utratę czucia. Czerwone Głowy brały zwiotczałe ciało i owijały w kolczaste liście, za pomocą których wysysały z niego soki. Skoro tylko ten przerażający posiłek został skończony, resztki były wrzucane do pustych teraz dołków korzeniowych, jakby na znak, że odpadki po straszliwym posiłku straciły już wartość odżywczą.

Lud nie znał sposobu obrony przed Czerwonymi Głowami. Najlepsze co można było zrobić, to po prostu unikać ich. Na szczęście miały takie ubarwienie, że dawały się łatwo dostrzec. Były one pierwszym wrogiem, którego wypatrywano podczas zwiadów na nieznanym terenie.

Jony obserwował, jak Maba i Geogee wycierają się do sucha pękami trawy i opasują spódniczkami. Rutee nauczyła ich wyplatać je z rozdzielonego na cienkie pasm włókna stosowanego przez Lud także do robienia sieci. Dodatkowo cała trójka miała okrycia z kwadratowych kawałków ciaśniej splecionego materiału, z dodatkiem piór ptaka vor, które wciągali na siebie w okresach chłodu.

Jony zeskoczył ze skalnej półki i w kilku susach przeciął strumień. Uga i Huuf zmierzali do kępy drzew, która znaczyła ich obecne obozowisko. Oboje nieśli pełne siatki; widać było, że poranek poświęcili pożyteczniejszym celom niż zwykła zabawa w wodzie.

— Pozwoliłeś im, żeby nas wyciągnęli — Maba patrzyła na Jony'ego spode łba, z wysuniętą dolną wargą. — Myślisz, że oni są od nas mądrzejsi.

Geogee, z równie nachmurzoną miną, przytaknął zgodnie.

Bliźnięta były do siebie podobne z jasnych włosów prawie białych tam gdzie wyblakły od słońca, i z rysów twarzy. Jony nigdy nie mógł w nich dopatrzeć się niczego z Rutee.

Ale Rutee zawsze mówiła, że on sam przypomina swojego ojca. Często marzyło mu się, że Maba mogłaby mieć ciemne włosy Rutee, jej twarz. Zdarzało się, że mimo koncentracji nie mógł sobie w ogóle przypomnieć Rutee; został tylko mglisty kształt, do którego tęsknił bezustannie czując tępy ból.

— Oni wiedzą więcej od was odparł krótko. — Byłoby lepiej, gdybyście ich choć trochę naśladowali.

— Dlaczego? — spytał Geogee. — My to nie oni. Dlaczego musimy się zachowywać tak jak oni?

Jony zmarszczył się w odpowiedzi. Wiele już razy przez to przechodził podczas minionych pór. Im starsze stawały się bliźnięta, tym bardziej były skłonne do pytań, wątpliwości i kłótni. Czasami musiał nawet dać im klapsa, podobnie jak dawniej Voak jemu, kiedy raz czy dwa zachował się głupio i bezmyślnie.

— Zachowujemy się tak jak oni, ponieważ oni wiedzą, jak tu żyć. To jest ich świat i oni najlepiej go znają.

— Gdzie jest w takim razie nasz świat? I czemu nie możemy tam pójść? — Maba zadała pytanie, na które wielokrotnie już musiał odpowiadać.

— Nie wiem, gdzie jest nasz świat. Wiecie, jak tu przybyliśmy. Wielcy trzymali nas, Rutee i mnie, w swoim latającym statku. Wydostaliśmy się stamtąd. Rutee widziała, jak ich statek odleciał z powrotem w niebo. My zostaliśmy tutaj, co jest o wiele lepsze od przebywania w klatkach Wielkich. A teraz zbierajcie się, Yaa czeka.

— Yaa zawsze czeka — Maba nie dała się uciszyć tym ostrzeżeniem. — Ona chce, żebym znowu plotła siatkę. Nie rozumiem, dlaczego muszę to robić. A ty tymczasem wybierzesz się tam. — Zatoczyła ręką szeroki krąg, wskazując wzgórze widniejące przed nimi. Ja też chcę tam pójść.

— Tak — przytaknął Geogee. — Huuf idzie, więc i my też możemy...

— Huuf — Jony starał się teraz mówić z całym naciskiem — jest czujny przez cały czas. Nie ucieka i nie chowa się ani nie udaje zaginionego, by cały klan go potem poszukiwał.

Maba zaśmiała się i przerwała mu.

To było śmieszne, mimo że Yaa przyłożyła nań parę klapsów, jak wróciliśmy. My chcemy wszędzie chodzić i wszystko widzieć, Jony, a nie zawsze tylko sterczeć tam gdzie Lud. Oni naprawdę nie lubią robić nic innego.

Miała oczywiście rację. Oboje musieli się uczyć ostrożności, a nie potrafili, czy nie chcieli, w żaden sposób zrozumieć, że nieznanie niesie ze sobą niebezpieczeństwo. Jon był w innej sytuacji. Był o wiele starszy i miał swój wrodzony zmysł ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Gdyby bliźnięta też go miały, nie musiałby się tak martwić o nie. Ale nie było w nich najmniejszego nawet śladu tego daru.

— Poczekajcie, aż będziecie starsi — zaczął, kiedy wtrącił się Geogee.

— Za każdym razem to mówisz. Rośniemy, a ty to w kółko powtarzasz. Ty nas po prostu nigdy nie puścisz, Ale posłuchaj, Jony, jestem prawie tak duży jak ty. Któregoś dnia po prostu odejdę, żeby wszystko zobaczyć samemu. Ani Voak, ani Yaa, ani tym bardziej ty, nie zatrzymacie mnie wtedy. Zobaczysz!

Maba uśmiechnęła się, a Jony nie dowierzał termu uśmiechowi. Widział nieraz ten jej wyraz twarzy i na ogół oznaczał on nadchodzące kłopoty. Mógł jednak polegać na Yai; jak tylko bliźniaki znajdą się w obozie, nie spuści już z nich oka.

Dziwna rzecz oboje, Maba i Geogee, przeszli resztę drogi spokojnie, nie narzekając i nie zadając dalszych pytań. Jony zostawiając ich pod dobrym,

wszystkowidzący okiem Yai, przeszedł sam na przeciwległy kraniec obozowiska, gdzie gromadził się krąg samców nie mających jeszcze swych samic. Klan był niewielki, ściśle połączony więzami krwi. Jeżeli któryś z młodszych samców zapragnął partnerki, musiał czekać na zgromadzenie klanów, które odbywało się przed nadejściem chłodów i wtedy starać się oderwać samicę od innej rodzinnej grupki i nakłonić ją, by przyłączyła się do niego. Trzech najstarszych właśnie niecierpliwie oczekiwało tej przyjemnej odmiany w swym życiu. Lecz była też czwórka młodszych samców, które podobnie jak Jony nie interesowały się jeszcze takimi życiowymi komplikacjami.

Jony chrupał kostkę z orzeszków ziemnych zmieszanych z sokiem z roślin będącą ich głównym, jadany w południe, posiłkiem. Było to dość smakowite jedzenie, ale z niecierpliwością oczekiwał na wieczorny posiłek i podział dodatkowych przysmaków z rannego połowu.

Trush miał nieszczęście złamać dwa dni temu swój kij i spędził cały ranek na poszukiwaniach odpowiedniego surowca na nowy. Udało mu się znaleźć młode drzewko ze stosownym haczykowatym zagięciem i teraz zajęty był cierpliwym pocieraniem grubszego końca o kamienie, by uzyskać ostry szpic.

Otik przydźwigał cały stos kamieni; przebierał teraz swój zbiór, starannie wypróbując przydatność poszczególnych sztuk do ścierania. Gylfi pracował nad muszlą olbrzymiego pełzacza; najpierw wydłubywał całe mięso (przysmak wielce ceniony przez cały klan), a później układał konchę w gnieździe zat. Owady w ciągu nocy obierały usłudze wnętrze muszli z najdrobniejszych szczątków organicznych. Gylfi otrzymywał twardą jak kamień misę, nad którą rozciągał kawałek wysuszonej i uwędzonej skóry ptaka vor, przechowywanej jak skarb w tym właśnie celu.

Rozsmarowywał teraz sok z pnączy (nieprzyjemny w użyciu z powodu swej ogromnej kleistości) po krawędziach muszli i naciągał na nią naprężoną skórę, obwiązując ją powrosem z trawy. Chodziło o to, by zapobiec ześlizgnięciu się skóry, zanim roślinny sok całkiem nie zaschnie. Była to wymagająca cierpliwości i staranności praca i Jony wiedział, jak dumny był z niej Gylfi. Kiedy już sok wyschnie, będzie mógł grać na swym pięknym bębnie.

Lud nie śpiewał, chyba że wydawane przez nich pohukujące, gardłowe nawoływania wziąć za śpiew. Miał jednak zadziwiające upodobanie do tańca. Każda pełnia księżyca przywodziła ich do tego — i podskakiwali, tupali, tupali i podskakiwali bez końca. Jony zazwyczaj uważał te zebrania za nudne. Przez chwilę przypatrywał się, a potem rozglądał się za swoim legowiskiem. Częściej zdarzało się, że proponował trzymanie straży za któregoś z członków klanu, który dzięki temu mógł cieszyć się zabawą.

Czuł się bezpieczny z trójką swych towarzyszy zaprzątniętych własnymi sprawami, ale też i trochę winny z powodu tego, co zamierzał zrobić. Kończąc swoją garść okruchów, dał znak Trushowi, że idzie na rekonesans. Ten, kompletnie pochłonięty swym zajęciem, zgarbił się tylko.

Rzut oka na obozowisko upewnił Jony'ego, że Maba i Geogee pletli siatki, siedząc po bokach Yai. Wymknął się więc spieszenie, mając nadzieję, że żadne z nich go nie widziało.

Jony znajdował czasem pewną przyjemność w przebywaniu w samotności. Dzięki zdolności określania swego położenia, gdy znalazł się na obcym terenie, potrafił wyznaczyć swój szlak i nigdy nie obawiał się zgubienia. Świat wokół niego był niewyczerpanym źródłem rzeczy cudownych i ciekawych. Przeróżne formy życia przyciągały uwagę: od latających czy pełzających owadów po rośliny o liściach i kwiatach bądź zadziwiających oko, bądź też cieszących je swym pięknem. Pod wpływem impulsu zerwał teraz grono pomarańczowoczerwonych kwiatów nie

większych niż paznokiec małego palca, o lśniących płatkach i mocnym, słodkim zapachu i wetknął tę gałązkę we włosy nad uchem, tylko dlatego, że kolor na chwilę zachwyił jego oczy.

Lud raczej nie przejawiał większego zainteresowania roślinnością, chyba że dostarczała pokarmu lub materiału na jakieś narzędzie czy też stanowiła przeszkodę i sprawiała kłopoty. Lecz Jony i bliźnięta często zrywali i nosili kwiaty. Kolory i zapachy zaspokajały jakąś ich tęsknotę, której nie rozumieli.

Jony odwrócił się i zaczął wspinać się w górę, kierując się stale na południe. Gdyby któregoś dnia udało mu się znaleźć kamienną rzekę, mógłby może nawet prześledzić jej bieg do samego źródła. Nigdzie indziej nie widział tak wygładzonych kamieni, ułożonych na ziemi w dziwnych linach. Sprawiały wrażenie, że nie ułożyły się tam w sposób naturalny, lecz raczej zostały umieszczone w jakimś celu. Przez kogo, po co?

Osiągnął szczyt wzgórza. Stąd mógł wytyczyć swój szlak. Gdy uniósł zaostrowany koniec kija, aby oskrobać pień drzewa, spojrział w dół, a to, co zobaczył, zaparło mu dech i wprawiło w zdumienie.

Było tam... co? Jony nie znalazł określenia. W pierwszej chwili odczuł dreszcz przerażenia, niejasne wspomnienie statku Wielkich. W sekundę później wiedział już, że to nie jest statek Wielkich stojący cicho niby skała. Stosy skał jednak nie mogły przypadkiem wznosić się na kształt wieżyc. Wyniosłe palce z kamienia były zbyt doskonałe, ułożone według pewnego wzoru. Nie, to ktoś użył skał i kładąc jedną na drugiej, wznosił budowle o prostych krawędziach, kopce, wieże.

Kamienna rzeka dochodziła do krawędzi tej budowli, prosta i równa, płytko pokryta naniesionymi smugami ziemi. Dla Jony'ego stało się oczywiste, że było to z całą pewnością źródło tamtej rzeki. Tak więc i ona także została przez kogoś zrobiona, lecz jak i dlaczego?

Trzymał się w ukryciu, a posuwając się naprzód, wykorzystywał każdy skrawek gąszczy, każdą grupkę drzew. Równocześnie jego dodatkowy zmysł był w pogotowiu; sondując, poszukując jakiegoś śladu myśli — myśli pokrewnej myślom Wielkich. Tylko ludzie podobni do jego dawnych wrogów mogliby wymyśleć to, co leżało przed nim. Tworzenie z kamienia nie leżało w naturze Ludu.

Żadne poszukiwania czynione przez jego umysł nie przyniosły rezultatu. Nie wykrył śladów życia innych niż te, które zawsze były wokół: owadów, drobnych latających stworzeń. Nawet niepewny sposób myślenia Ludu czy z groźenie obecnością smaa były niewyczuwalne. Nie, nie było żadnego życia w tych piętrzących się przed nim stosach kamieni. Jony zaczynał być tego pewny. Ruszył więc z większą ufnością i z rozbudzonym zaciekawieniem, które musiał zaspokoić.

IV

Na koniec Jony wkroczył śmiało na kamienną rzekę i szedł pewnie w kierunku widniejących przed nim skalnych budowli. Były one różnych rozmiarów: niektóre równe jego wzrostowi, inne tak wysokie, że musiał odchyłać głowę do tyłu, żeby zobaczyć ich dotykające nieba wierzchołki. Kamienna rzeka wiodła go teraz pomiędzy skrajnymi budynkami.

Jony zawahał się. Bardzo chciał prowadzić poszukiwania, ciągle jednak był ostrożny. Jeszcze raz wsłuchał się bacznie, czy nie nadbiega jakiś dający się wyczuć znak sygnalizujący niebezpieczeństwo. Czy Lud wiedział o tym miejscu? Dziwna reakcja Trusha, kiedy pierwszy raz natknęli się na kamienną rzekę, pozostawała żywo w pamięci Jony'ego. Nie odciągał on chłopca stamtąd, po prostu zignorował dziwne znalezisko. Dlaczego?

W kamiennych stosach zauważył liczne dziury. Były one tak regularne, jak gdyby zostały celowo wydrążone, a nie dlatego, że jakiś kamień sam z biegiem czasu odpadł ze swego miejsca. Trzymając kij w pogotowiu, jak gdyby się skradał po terenach myśliwskich smaa, Jony posuwał się ostrożnie krok po kroku, rzucając spojrzenia na boki i utrzymując swój dodatkowy zmysł ostrzegawczy w pełnej gotowości.

Większe dziury przypominały mu nieco wejścia do jaskiń; zbyt regularne były jednak i ich kształty, i odstępy, w jakich się powtarzały, by można je było uznać za pieczary, w których Lud chronił się w okresach chłodu. Odruchowo Jony wszedł do najbliższej i rozejrzał się po wnętrzu.

Pewna ilość światła dochodząca z innych, mniejszych od wejściowego, otworów była wystarczająca, by dostrzec ;Otwartą przestrzeń i dalsze wejścia. Zmysł Jony'ego pochwycił wrażenie pustki. Poczul się ośmielony i poszedł dalej. Sterty jakiejś nieokreślonej masy leżały na podłodze. Dźgnął ostrożnie jedną z nich zaostrzonym końcem kija. Cały stos zapadł się i rozsypał w tumanach kurzu.

Jony kichnął i szybko się cofnął. Nie zwracał uwagi na lekko kwaskowaty odór nie przypominający żadnego ze znanych zapachów. Jego ciekawość nie ustępowała; A te większe kamienne stosy rozmieszczone wzdłuż, rzeki, czy wszystkie wyglądały podobnie?

Spostrzegł kilka odnóg pnączy i parę kęp szorstkiej trawy, której udało się zakorzenić w skalnych szczelinach. Sześć małych ptaków, widocznie pchanych nagłą potrzebą ucieczki, poderwało się do lotu z występu skalnego w górze. Był to przecież ich zwykły sposób zachowania, więc Jony, zawstydzony swoją gwałtowną reakcją na ich krzyk skargi, ruszył śmielszym krokiem.

Napotkał inne, mniejsze rzeki z kamienia, odnogi tej, wzdłuż której podążał, i podobnie jak ona obstawione kamiennymi budowlami; miały one otwory wejściowe, lecz stały ciche i opuszczone. Jedyne znaki życia, to ślady jakichś drobnych stworzeń na nawianej ziemi. Najwyraźniej uważały to miejsce za bezpieczną kryjówkę.

Wreszcie rzeka wydostawała się na otwartą przestrzeń, kończąc swój bieg u stóp największego ze wszystkich stosów. Bryły wygładzonego kamienia były tu ułożone jak występy skalne u wodospadu, tak że człowiek mógł się nich z łatwością wspinać. Jony rozpoczął wspinaczkę, kierując się ku otworowi na szczycie, który był cztery, może pięć razy większy od dotychczas spotykanych. Gdy był; blisko, nagle przystanął, bo oto w cieniu wejścia widniejącego nad jego głową ktoś stał, ktoś czekał.

Jony przysiadł, trzymając kij w pogotowiu i przyglądał się stojącemu. Był on od niego wyższy, ale... to nie był Wielki, jak w pierwszej chwili wydawało się Jony'emu pod wpływem dawnych wspomnień. Nie, ta twarz...

Jej twarz! Jony szybko doszedł do tego wniosł przyjrząwszy się jej dokładnie. Choć wielka, przypominała Rutee. Była jednak... kamieniem!

Jony odgadł prawdę. Ci, którzy ułożyli ten stos, zmienili jednego spośród siebie w kamień. Albo też potrafili kształtować kamień, tak jak Lud osiągał żądany kształt, modelując młode drzewka. Myśl o tak cudownej umiejętności zaparła mu dech.

Musiał podejść wprost do postaci i odważyć się dotknąć jej chłodnej powierzchni, zanim upewnił się, że jego domysły były prawdziwe. W dotyku kamień nie był szorstki, lecz gładki. Wodząc ręką po krzywiznach, tak wysoko, jak mógł sięgnąć, doznawał przyjemnego uczucia. Nawet jednak stojąc na palcach, nie mógł sięgnąć wyżej niż do brody figury.

Patrząc z bliska, mógł spostrzec, że kiedyś na szaro-biały materiał, z którego była wykonana statua, nałożone były inne kolory. W fałdach jej ubrania pozostały niewyraźne ślady błękitu. A wokół szyi widniały wyrzeźbione liczne ogniwa, ciągle jeszcze żółte.

Jej włosy nie opadały swobodnie jak u Rutee czy Maby, lecz upięte wysoko w kok przedłużały głowę. Jedna z rąk była wygięta w nadgarstku pod dziwnym kątem — czubki palców skierowane w niebo, wyprostowaną dłońią ku patrzącemu. Pod wpływem impulsu Jony przyłożył rękę do tamtej, dłoń do dłoni.

— Nie!

Potyając się, odsunął się od kobiety z kamienia. Zmieszał się. Cóż to mogło oznaczać? Spodziewał się napotkać chłodny kamień tak jak dotychczas. Lecz gdy położył swoją rękę właśnie tam, na tej drugiej ręce, ovladnęło nim uczucie, którego nie mógł ani zrozumieć, ani wytłumaczyć.

Jony ostrożnie badał figurę w najdrobniejszych szczegółach. Druga ręka leżała na piersi dłońią do wewnątrz. Spokojna, nieruchoma twarz, która w jego myślach nakładała się na twarz Rutee, była tak odwrócona, że oczy mogły spoglądać w dół kamiennej rzeki, jak gdyby wypatrywały kogoś, kto dotychczas nie nadszedł.

Nie było w niej oczywiście życia. Jony zdecydował się delikatnie dotknąć wyciągniętej dłoni samym czubkiem swojego kija. Nic się nie stało. Musiało mu się wcześniej coś przewidzieć. Uznał jednak, że nie pragnie powtórzyć tego doświadczenia.

Zamiast tego zaczął łukiem okrążyć kobietę, na ile pozwalała szerokość wejścia. Cokolwiek by było w miejscu leżącym za kobietą postacią — kierował się tam właśnie, do wnętrza największego ze wszystkich kamiennych stosów. Najpierw szedł bardzo wolno, bo mrok wewnątrz wy dawał się jego nieprzyzwyczajonym do mroku oczom ciemnością. Potem zobaczył, że wkracza na rozległą przestrzeń, wzdłuż której ciągną się wysokie rzędy okrągłych kamieni ułożonych jedno na drugich. Przypominały one pnie wielkich drzew. Ich górne partie znikały w mroku, gdzieś wysoko nad jego głowę.

Jony zadrżał. Miejsce to przynosiło wspomnienia dawnych lęków. Sądząc po rozmiarach, wydawało się ono stworzone dla Wielkich, a nie dla istot jego wzrostu, A jednak kamienna kobieta, choć wysoka, wyglądała jak Rutee i nie miała w sobie przerażającej obcości dawnego wroga. Ta właśnie myśl, jak również jego nieustająca ciekawość, ośmieliły go.

Tak jak rzeka kamieni wiodła prosto do tego kamiennego stosu, tak linie kolumn również tworzyły rodzaj przewodnika. Widział już teraz przed sobą w oddali więcej światła. Jony przyspieszył kroku, a jego bosc stopy posuwały się, szurając w miękkim dywanie kurzu.

Tu, wysoko w górze, zobaczył otwór innego rodzaju — o wiele większy, wychodzący na niebo. Tuż przed nim liczne występy skalne podtrzymywały pojedynczy, szeroki kamienny blok. Nie był on jednak szarobiały tak jak cała reszta,

lecz pokryty różnokolorowymi plamkami położonymi na ciemnym, prawie czarnym tle. Jony przyglądał się mu z bliska, nie mogąc odróżnić żadnego wzoru, podobnie jak na plamiastym futrze Ludu. Jednak te żywe kolory (w najmniejszym stopniu nie zblakłe jak tamte na posągu kobiety) musiały mieć swoje znaczenie. Były to drobne cętki, jedne szeroko rozrzucone, inne luźno zgrupowane tu i tam. Wiele z nich lśniło, jakby padało na nie światło słoneczne, choć żaden promień słońca nie dochodził z otworu na górze.

Obchodząc kamień dookoła, Jony stwierdził, że w ten sposób pomalowane były wszystkie jego cztery strony. A jednak ani razu położenie, ani ilość plamek czy też ich, z pozoru chaotyczne, rozrzucenie nie powtarzały się. Nie mógł zobaczyć wierzchołka kamienia, gdyż gzymsy wznosiły się wysoko ponad jego głowę. Czy tak samo było na szczycie? I co to miało za znaczenie?

Jony odważył się wreszcie wspiąć. Ostatni występ, na którym spoczywał kamień, był na tyle szeroki, że pozwolił na obejście go dookoła bez konieczności bezpośredniego stykania się z powierzchnią. Od czasu dziwnego doznania przy kontakcie z kamienną kobietą był ostrożny. Mógł teraz wyraźnie zobaczyć, że nie było tu żadnego wzoru ze lśniących cętek. Był tam...

Szarpnął się do tyłu, prawie stracił równowagę i osunął się po występach w dół. Czyżby, bardzo mgliście, widział twarz?

Jeżeli tak, to była to druga kamienna postać, upewniał sam siebie. Nie wyrządzi mu przecież żadnej krzywdy, jeżeli jej nie dotknie. Zdecydowanie odsunął od siebie niepokój i z powrotem zbliżył się do kamienia.

Kurz leżał na powierzchni, kurz, który nie przysłaniał nakrapianych boków. Zmiotł go kijem najdokładniej jak mógł. Drewno ślizgało się gładko.

Zbliżył się do bloku na odległość wyciągniętej ręki, Tam! Wewnątrz kamienia! Blok — z góry przezrysty jak wody strumienia, tak że można było patrzeć w dół na to, co leżało wewnątrz — był pusty, niczym martwy pień drzewa z dziuplą w środku.

Zdobywszy się na odwagę, Jony wyciągnął rękę, lekko puknął w pokrywą palcami i odskoczył. Tym razem nie doznał żadnego dziwnego odczucia, ale dotknięcie upewniło go, że, choć przezroczysta, okrywa była z litego materiału.

Jego ostrożność na tyle osłabła, że przycisnął się bliżej, by zobaczyć, co leży wewnątrz. Z pewnością tam, w głębi kamienia, była jakaś postać. Jony pochylił się nisko i przyglądał się. Ciało — z wyjątkiem rąk i twarzy — owinięte było pasami materiału, który słabo fosforyzował, trochę tak jak świeciły oczy Ludu w ciemności.

Nie był to jednak nikt z Ludu. Ręce były z kształtu bardziej podobne do jego rąk, tylko większe, bo i cała postać była większa. Spoczywały wysoko na piersiach z palcami luźno obejmującymi kij, nieco przypominający jego własny, tyle że nie miał on haczykowatego zakrzywienia na końcu i był przyćmionego, czerwonego koloru. Jony nie mógł odróżnić rysów twarzy śpiącego (jeśli był to ktoś śpiący), gdyż przykrywała ją maska, na której nie odznaczały się ani oczy, ani nos czy usta.

Czy był to martwy człowiek zostawiony tak przez swój lud? Jony rozejrzał się po wielkiej, zakurzonej sali. Jeżeli tak, to ten obcy musiał tu leżeć przez długi, długi czas. Lud chował swoich zmarłych w jaskiniach, zostawiając im jedzenie na Nocną Podróż i mocny, nowy kij na drogę. Rutee była tak samo pochowana.

Jony nie wiedział, co czeka ludzi po śmierci. Rutee zawsze mówiła, że umrzeć to tak, jak obudzić się w innym, lepszym miejscu. Tam każdy spotka tych, których kochał. Nawet umierając, zawołała raz: Bron! a w jej głosie zabrzmiało powitanie.

Nie wiedział, czy Lud wierzy w to samo, ale pogrzeby odprawiano tam starannie. Także oni mogli uważać śmierć za bramę do innego miejsca i czasu. Ktoś musiał dołożyć niemałych starań, by tego obcego umieścić w takim miejscu. Nie wolno go niepokoić!

Jony opuścił się na podłogę wielkiej sali. Jak długo tu spał ten zamaskowany mężczyzna (czy kobieta)? Stojąc tam, obserwując te jasne punkty na kamieniu, Jony z lekka się skulił. Wydało mu się nagle, że długie, długie odcinki czasu kłębią się nad nim wszystkie naraz, a jest ich tyle i wiszą tak gęsto, że nie można oddychać.

Wziął głęboki oddech i pobiegł do wyjścia, a prześlizgując się obok kamiennej kobiety nie obdarzył jej nawet spojrzeniem. Na dworze poczuł ulgę, lecz to uczucie usidlenia przez czas wciąż go nie opuszczało. Chciał teraz znaleźć się z dala od tego miejsca, z powrotem w otwartym świetle Ludu.

Tupocząc pędził w dół rzeki z kamienia, jak gdyby ścigany przez jednego z Wielkich we własnej osobie. Czuł kłucie w boku, kiedy wydostał się na otwartą przestrzeń, z dala od tamtych martwych kopców spiętrzonych kamieni; przemknąwszy przez rzekę, wpadł na znaną, przyjazną ziemię.

Nie zatrzymywał się w biegu, dopóki osiągnął grzbietu, skąd po raz pierwszy dostrzegł kamienne budowle. Potem dysząc odwrócił się, by spojrzeć za siebie. Zbliżał się zachód. Cienie wypęłzały, tak jakby w godzinach jasnego dnia czekały ukryte w kamiennych kopcach. Jony zadrżał. Nie był pewien, co mu się właściwie przydarzyło, czuł tylko przygniatający ciężar. Trush miał zupełną rację: rzeka, kamienne stopy — należało je omijać.

Gdy jego oddech się uspokoił, Jony skierował się do obozowiska, przez cały czas mając przed oczyma zamkniętą w kamieniu śpiącą postać w czerwonej masce. Nadal dręczyła go ciekawość. Kto to był? Dlaczego tam leżą? Jak gdyby czekał... Na co czekał?

Jony energicznie poruszył głową, otrząsając się w ten sposób z niepokojących myśli. Zobaczył przed sobą pnąca ciężkie od bladozielonych owoców i przysposobił hak swojego kija, by ściągnąć je na dół. Nie wracał przynajmniej z pustymi rękami. Postanowił nikomu nie opowiadać o swojej popołudniowej przygodzie.

Nie był pewien, czy kiedykolwiek powróci do tego kamiennego świata. Może wystarczyło zobaczyć go raz, może tak było lepiej? Ostatecznie stwierdził, że nie ma zamiar szybko powtórzyć tej wyprawy.

W chwili kiedy właśnie sięgał po owoce, z zamyśleń wyrwał go jego dodatkowy zmysł ostrzegawczy. Coś się stało, był pilnie potrzebny!

Jony zaczął biec najszybciej, jak mu na to pozwalał nierówny grunt. Przeczynał, że kłopot jest gdzieś niedaleko, przed nim i z pewnością go dotyczy. Atak smaa na obozowisko? Pomyślał o największym ze znanych sobie niebezpieczeństw, chociaż wróg ten rzadko pojawiał się w tej części kraju. Była i inna, na swój sposób gorsza możliwość, że powrócił statek Wielkich!

Opanował go dawny strach. Ani on, ani Rutee nigdy się nie dowiedzieli, co doprowadziło do szybkiego odlotu statku obcych, tuż po ich własnej ucieczce. Czyżby statek wrócił, by ich pochwytać? Żadna broń będąca w posiadaniu Ludu nie byłaby dość skuteczna, by im się przeciwstawić. Zbyt wiele razy słyszał opowieść Rutee o tym, jak łatwo opanowali kolonię, która była jej domem.

Jony nie doszedł jeszcze do obozu, kiedy Trush pojawił się przed nim, w ten dziwny sposób, w jaki Lud potrafi to zrobić dzięki swemu ubarwieniu, które upodobało go do otaczającej roślinności, idealnie maskując zarysy ciała. Trush trzymał w pogotowiu kij, a gestykulując drugą ręką, sygnalizował wiadomość, której Jony się nie spodziewał.

— Mały... jasny... futro... pójść!

Geogee, Maba lub oboje! Jony nadmiernie ufał, że Yaa ich dopilnuje. Podniósł dwa palce, aby zasygnalizować pytanie o bliźnięta. Trush przytaknął na to szybkim pochyleniem pyska, będącym u Ludu gestem potwierdzenia.

Jony, ciężko dysząc, stał naprzeciwko Trusha jak wryty. Pierwszą myślą, która

wpadła mu do głowy, było przypuszczenie, że dzieci musiały się wymknąć, by iść za nim, i być może zgubiły się w okolicach górskiego grzbietu. W przeciwieństwie do Ludu, który doskonale widział w ciemnościach, on widział w nocy o wiele gorzej.

— Którędy? — zapytał w języku gestów.

Końcem kija Trush wskazał ponad ramieniem Jony'ego w kierunku grzbietu, z którego chłopiec właśnie przyszedł. A więc bliźnięta poszły jego śladem! Czy doszły do miejsca, gdzie piętrzyły się kamienne stopy? Jony myślał o licznych tam kryjówkach, ale też i o innych niebezpieczeństwach czających się w szybko zapadających ciemnościach. Pamiętając niechęć Trusha do kamiennej rzeki, Jony bał się, że Lud nie będzie chętny do pomocy, może mu jej nawet zupełnie odmówić.

Trush, zarzucając kij na ramię, ruszył przodem z opuszczonymi oczyma, jak gdyby odczytywał jakiś ślad! Jony nie był tak sprawnym tropicielem, trzymał się więc z tyłu. Bardzo chciał dowiedzieć się, od jak dawna dzieci nie było, ale Lud nigdy nie mierzył czasu.

Podążając za ciężką sylwetką Trusha, Jony raz jeszcze wspinał się na grzbiet. Kiedy osiągnął szczyt, Trush stał tam już zupełnie bez ruchu.

— Gdzie? — spytał Jony, gestykując. Okrągły łeb odwrócił się lekko, a wielkie oczy wpatrywały się bez zmużenia. Jony, nie pierwszy już raz, rozpaczliwie pragnął czytać w umyśle kryjącym się za tymi oczami, poznać myśli tego drugiego.

Wyczuł jedynie silne zaniepokojenie, tak jakby Trush zmuszony wbrew swojej woli stawić czoło niebezpieczeństwu, walczył teraz ze sobą, starając się znaleźć wyjście z tej pułapki.

Powoli, z na wpół odwróconą twarzą, uniesionym kijem wskazał na odległe kamienne budowle. Nie wykonał nawet żadnego gestu ręką, żeby potwierdzić swoją odpowiedź.

Jony wziął głęboki oddech. W coraz bledszym świetle kamienne stopy miały odstręczający wygląd, czego nie zauważył wcześniej, gdy były rozjaśnione słońcem. Jak gdy z nadejściem ciemności budziło się dawne zło. Jony zdecydowanie odepchnął od siebie takie fantazje i skupił myśli na poszukiwaniach.

Tak! Był tam umysł — to Geogee, gdzieś z przodu. Jony wsparł się na kiju. Gdybyż tylko nie obiecał Rutee nie zniewalać umysłów żadnego z bliźnięt, mógłby je stamtąd wyprowadzić! Z niepokojem szukał dalej — gdzie jest Maba? Model jej myślenia był dla niego zazwyczaj tak jasny jak wypisany na twarzy, dlategoż więc nie mógł go teraz umiejscowić!

Strach odżył. Tylko brak świadomości mógł uniemożliwić kontakt z umysłem. Czy Maba była ranna, czy może nie żyła?

Zanim zdążył się zorientować, co robi, gorączkowo zbiegał już z góry. Nie spodziewał się, że Trush podąży za nim. Jeżeli bliźnięta były w kamiennych stosach, on sam musi je znaleźć i przyprowadzić z powrotem w bezpieczne miejsce.

Jego stopy dudniły głucho po kamiennej rzece, a kij trzymał przed sobą, w pogotowiu. Choć wcześniej ciekawość przywiodła go do tego miejsca, teraz wstydził się tego, zły był na siebie. Bliźnięta musiały go widzieć, jak wychodził i, jak zwykle, długo nie myśląc, poszły za nim. ;Któż odgadnie, co mogły napotkać w tych kamiennych jaskiniach, tak teraz pełnych cieni?

W pośpiechu Jony minął pierwsze, mniejsze kamienne jaskinie. Zmusił się, by zwolnić. Był to czas poszukiwań za pomocą myśli, a nie bezowocnego biegania na ślepo w mroku.

Naraz udało mu się nawiązać kontakt z Geogee'em. Dobiegło go uczucie nagłego, silnego strachu; Geogee się bał. Skoro nie wolno było jemu, Jony'emu, rozkazywać umysłowi malca, mógł wszakże przywołać go tą drogą; Kontakt między umysłami byłby przewodnikiem przez nieznanne niebezpieczeństwa.

— Gegee! — przywołał w myślach możliwie najwyraźniejszy obraz chłopca. — Gegee, gdzie jesteś?

Strach stworzył barierę. Gegee był tak targany przerażeniem, że nie myślał w uporządkowany sposób, które Jony mógłby pochwyć i zanalizować. Zniekształcone połączenie przybrało postać miotających się dziko, skierowanych na wszystkie strony szarpnięć.

Jony nie mógł utrzymać normalnego kontaktu, ale mógł użyć ośrodka niepokoju jako przewodnika. Sondował więc zawzięcie, a droga, którą odkrywał, nie wiodła go do olbrzymiego stosu, gdzie trwali w oczekiwaniu kamienna kobieta i śpiący mężczyzna, lecz w dół, ku jednemu z mniejszych i o wiele węższych kamiennych strumieni. Tu budowle leżące na drugim brzegu wydawały się nachylać nad nim, jak gdyby gotowe w każdej chwili uwolnić się, rozpaść na pojedyncze bryły skalne, a waląc się w dół, zmieść go z powierzchni.

Jony musiał przewyciężyć rosnący niepokój, by nie stracić kontaktu z tym ośrodkiem niespokojnych myśli który oznaczał Gegee'a. Zbliżał się doń z każdym krokiem, w każdym razie był o tym mocno przekonany. Nagle głowa odwróciła się, jakby szarpnięta, w prawo. Tam!

Jak wszystkie inne otwory i ten był nie ogrodzony; było tam też żadnej kamiennej postaci, która stojąc u wejścia, witałaby lub żegnała przybysza. Wewnątrz było pełnie ciemno. Pierwszy raz Jony zawołał, podnosząc głos:

— Gegee!

Imię chłopca odbiło się głuchym echem, aż Jony pożałował, że krzyknął. Jednakże w odpowiedzi coś poderwało się z głębi, dopadło go, objęło w pół ramionami, więziąc w szaleńczym uścisku i z całej siły przyciskając doń głowę.

Gegee tak się przy tym trząsał, że ten jego nagły atak o mało nie powalił Jony'ego. Starszy chłopiec w odpowiedzi objął ramiona młodszego ciasnym uściskiem. Kiedy drżenie małego trochę zelżało, Jony znów się odezwał:

— Gegee — powtórzył imię chłopca spokojnie i zdecydowanie, mając nadzieję, że przełamie przerażenie przepełniające Gegee'a i wydobędzie od niego potrzebną wiadomość. — Gegee, gdzie jest Maba?

Gegee zapłakał z cicha. Nie spojrział nawet w górę na Jony'ego, przycisnął tylko mocniej twarz do jego piersi. Jony starał się zachować spokój. Musiał pokonać opór, dowiedzieć się, co się stało, by móc odnaleźć dziewczynkę.

— Gdzie... jest... Maba? — Mówił, oddzielając wyrazy, powoli, z naciskiem.

Gegee jęknął, odpowiedział jednak.

— Zabrała ją ściana. Połknęła ją!

V

Jony nie miał wątpliwości, że Geogee wierzy w to, co wiedział. Ale ściana, która połyka? Jony próbował przełamać strach. Niczego bardziej nie gnał, jak uciec teraz z Geogee'em, uwolnić się od tego, które w mroku przyoblekało się w złe wspomnienie klatek i bardziej niepokoiło niż jakakolwiek pułapka. Lecz była przecież Maba. Nie mógł jej tam zostawić. Najpierw musiał uspokoić Geogee'a, żeby uzyskać od niego rozsądniejsze wyjaśnienia. Złapał chłopca za warkocz, mocno i zdecydowanie odciągając go od siebie, tak by w panującym tu słabym świetle mógł zobaczyć jego wstrząśniętą przerażeniem twarz. Rutee zmusiła go do przysięgi, że nigdy nie użyje swego wpływ na umysły dzieci. Nie mogła jednak przewidzieć tej sytuacji. Jony musiał uwolnić Geogee'a od dostatecznie już długo dławiącego chłopca dzikiego lęku, by dowiedzieć się, co się stało. Bo inaczej... inaczej Maba będzie zgubiona.

Przewycięzając własne obawy, Jony wpatrywał s uporczywie w oczy chłopca utkwione gdzieś tępo, jak gdyby Geogee został uwięziony w tamtej chwili grozy. Jor użył swego mentalnego dotyku, kojąc umysł dziecka, starając się przełamać barierę strachu.

Młodszy zamrugnął, skrzywił usta. Jony skupiał się. On był tutaj, Geogee nie był sam, obaj muszą odnaleźć Mabę. Tak jak poprzednio przemawiał, kładąc nacisk na słowa, w podobny sposób teraz przekazywał swe myśli.

Szaleńczy uścisk Geogee'a powoli słabł. Jony wiedział, że zwycięży opór. Zmuszając się do spokoju, walczył z własną niecierpliwością. Czemu tracą tu czas, co może dziać się z Mabą? Zdecydowanie odsunął od siebie te myśli; najpilniejszym zadaniem było dowiedzieć się wszystkiego, co wiedział Geogee.

Po chwili zapytał krótko:

— Maba?

Geogee rozluźnił uścisk, odsunął się. Jego twarz by teraz spokojna, lecz przypominała Jony'emu twarze mentalnie sterowanych z czasu klatek. Przecież nie zniewolił Geogee'a całkowicie, a zrobił tylko to, co musiał: sięgnął w głąb, poza dręczący chłopca strach.

— Tam — Geogee wskazał na ciemniejszą część jaskini i drugie wejście. My byliśmy tam...

Jony zwilżył suche wargi końcem języka. Iść w tamtą ciemność... Ale tak być musi. Wyciągnął kij przed siebie, w końcu mógł nim sondować cienie, nie był tak całkiem bezbronny. Jego zmysł mówił mu, że nie było tam, w tych kamiennych stosach, żadnego żywego, dającego się rozpoznać wroga. A jednak to stamtąd właśnie nadchodziła jakaś dziwna świadomość, która była dla niego rodzajem nie znanego dotychczas ostrzeżenia.

— Chodźmy tam, z powrotem — Geogee już odchodził, tupiąc w ciemności. Jony pospieszył za nim.

Przeszli przez dwie kamienne sale, gdzie otwory w ścianach przepuszczały minimalną ilość światła. Potem Geogee zatrzymał się w trzeciej, stając naprzeciwko czegoś, co sprawiało wrażenie litej budowli z kamienia. A jednak młodszy chłopiec posuwał się naprzód w jej stronę, jak gdyby widział wejście dla Jony'ego niewidoczne.

— Maba Geogee wskazał miejsce — położyła swoją rękę dokładnie tu. Mówiąc to, płaską dłonią nacisnął na kamień.

Rozległ się tępy zgrzyt. Pchnięcie Geogee'a poruszyło nie tylko naciśnięty blok, poruszyły się też te powyżej i poniżej. Chłopiec, straciwszy równowagę, potknął się i

wpadł w wielką, czarną dziurę, która ziała tam teraz otworem. Jony wycelował kijem w to miejsce. Kamienie, które zakotły się z powrotem, by zamknąć Geogee'a, zatrzymały się, zostawiając sporą szczelinę.

Jony słyszał, jak Geogee krzyczy. Podważał kamienie kijem jak szalony. Odsunęły się trochę szerzej, lecz widział, że kij nie może im sprostać.

Jakikolwiek sekret ukrywała skała — nie było innej rady, musiał tam wejść.

Po omacku przekroczył wejście, usłyszał, jak kamienie skrzypiąc zamknęły się za nim. Ogarnęła go panika. To była klatka, gorsza niż tamte klatki Wielkich. Panowały ciemności, a ściana była lita, masywna. Stojąc na krawędzi swej nowej klatki, zrobił krok do przodu. Jego noga nie natknęła się na żadną powierzchnię, tam niczego nie było!

Z krzykiem Jony upadł w tę nicość. Nie był to wielki upadek. Ciężko lądując, znalazł się na pochyłości, po której nadal się zsuwał, choć waląc kijem, próbował znaleźć jakiś uchwyt, by powstrzymać ten ześlizg wciąż w dół i w dół. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie zsuwa się po chropowatej powierzchni kamienia, która musiałaby przecież zedrzeć mu skórę. Czuł pod sobą coś miękkiego co poddawało się pod badającym naciskiem palców, uginając się, a następnie unosząc z powrotem. Tak jakby obmyślając ten dziwny sposób podróżowania, zastosowano wszelki możliwe środki zabezpieczające przed uszkodzeniem ciała.

Wciąż w dół i w dół; Jony nie miał sposobu, by ocenić, jak daleko sięga ten ześlizg.

— Geogee! — krzyknął, nasłuchując odpowiedzi.

Nadeszła w końcu: cichy, słaby głos dobiegający gdzie z daleka. Natychmiast wysłał swą sondującą myśl.

Geogee znów był pogrążony w strachu i zamęcie, ale zdrow i cały. Jeżeli był gdzieś koniec tego kreciego tunelu, Jony odnajdzie tam Geogee'a, a najpewniej i Mabe.

Nie próbował nawet zgadywać, jakie było przeznaczenie tego zjazdu. Czy była to dawno temu założona pułapka na tych, którzy wtargnęli do kamiennych stosów? Czy w każdym z nich była taka sama? Jeżeli tak, to jacy wrogowie zagrażali tym ludziom?

W oddali Jony zobaczył szarawy blask światła. Ucieszył się. Samo wydobycie się z przytłaczających ciemności wystarczyło, by podnieść go na duchu. Poza tym nie zsuwał się już tak szybko, gdyż kąt nachylenia tunelu był łagodniejszy. Światło dochodzące z okrągłego otworu, który miał przed sobą, pojaśniało. Jony zaczynał mieć nadzieję, że zbliża się do końca tego koszmarnego zjazdu.

Widział teraz lepiej i mógł użyć kija jako hamulca, nie wypadł więc gwałtownie z otworu, a kucnął u wyjścia, rozglądając się ostrożnie.

— Jony! — Geogee, przykucnięty na podłodze ogromnego pomieszczenia, brudnymi rękami rozmazywał łzy na policzkach. Nie było tu wyjścia na zewnątrz. Jony był pewien, że znajdują się głęboko pod ziemią, w jakiejś pieczarze. Nie mógł zobaczyć ani też pojąć, skąd dochodzi światło, ale z wdzięcznością przyjmował jego istnienie.

Przed sobą usłyszał nagle cichy odgłos upadku na podłogę. Coś... odwrócił się od Geogee'a, stając twarzą do otwierającego się szeroko pomieszczenia. Maba! Tędy!

Pochylił się nad Geogee'em, poderwał go na nogi.

— Chodź!

Musiał znaleźć Mabe, a potem wyjście. Wspięcie się drogą, którą się tu zsunął, wydawało się niemożliwe. Zniecierpliwiony odrzucił ten pomysł. Niech tylko znajdzie Mabe, może wtedy dalsze poszukiwania wskażą mu drogę ucieczki.

— Jony, chcę stąd wyjść! — W głosie Geogee'a zadźwięczała piskliwa nuta.

Jony mógł użyć swego uspokajającego wpływu, ale musiał się teraz bez reszty

skupić na odnalezieniu Maby.

— Wydostaniemy się — uspokoił chłopca zapewnieniem, które mogło być kłamliwe, ale które musiało mu w tej chwili wystarczyć. — Najpierw znajdziemy Mabę.

— Gdzie ona jest? — Geogee domagał się odpowiedzi rozglądając się, jak gdyby Maba była w zasięgu wzroku.

— Tędy. — Przynajmniej tak się Jony'emu zdawało. Trzymał chłopca za ramię, ponaglając go. W końcu Geogee namyślił się i ruszył. Kiedy wydostali się na środek otwartej przestrzeni, Jony zauważył, że była ona znacznie większa niż z początku przypuszczał i ciągnęła się daleko, daleko w przód. Spostrzegł inne otwory w ścianach, podobne do tego, przez który się tu dostali. Wydawało się że był to centralny punkt, w którym zbiegały się liczne wejścia.

Panowała tam całkowita cisza, martwota nie spotykana w cienistych stosach na powierzchni, gdzie żyły drobi stworzonka, kryjąc się we własnych maleńkich jaskiniach. Jony niecierpliwie potrząsnął głową. Miał dziwne odczucie, że ta martwota tłumi też myśl, że coraz trudniej jest utrzymać nic wiedzącą go ku Mabie. Jak daleko odeszła? Przestraszył się, kiedy Geogee nagle krzyknął: — Maba!

Wołanie odbiło się wielokrotnym echem, tak że miało się wrażenie, że wielu chłopców głośno nawołuje. Geogee pisnął i przysunął się bliżej Jony'ego.

Proszę cię — powiedział — nie podoba mi się miejsce, Jony. Maba, gdzie ona jest?

Jony zastanawiał się, czy dziewczynka nie błąka przez cały czas, oddalając się coraz bardziej od nich. W: dział, że jest tu gdzieś, ale kiedy ją dogonią?

Tu, gdzie otwarta przestrzeń, przez którą biegli truchtem, zaczęła się zwężać, otwory w ścianach nie pojawiały się już. Posuwali się teraz między dwiema ścianami. Równocześnie szare światło pojaśniało, zmieniając odcień. Właśnie wtedy Jony zobaczył przed sobą barierę. Różniła się ścian po bokach, gdyż lekko lśniła, a w środku miała pionową szczelinę. Wyjście, które będą mogli sforsować? Miał nadzieję, że tak. Maba? — jego umysł wysłał zawołanie. Z ulgą poczuł, że nareszcie jest blisko, może tuż za barierą.

Kiedy tam dotarł, zobaczył, że szczelina rzeczywiście zaznacza wyjście. Nie było jednak sposobu, by je otworzyć. Spróbował znów użyć swego kija, wkładając jego rozłupany koniec w szczelinę, używając go jako dźwigni, na którą naciskał z całej siły.

Wolno, opornie szczelina poszerzała się, drzwi się otwierały. Z tego wysiłku ręce Jony'ego były mokre od potu. Geogee przyłączył swe węższe siły, pomagając Jony'emu. Centymetr po centymetrze rozsuwali ją, dopóki nie uzyskali otworu dość szerokiego, by obaj mogli się prześliznąć.

Jony zatrzymał się. Kontrast pomiędzy tym, co teraz zobaczył, a surowym korytarzem, który wiódł tutaj, był tak ogromny, że trzeba było chwili czasu, by wzrok mógł się przystosować. Obfitość kolorów biła w oczy, łudzając wzrok. Wstęgi jaskrawych kolorów biegły wzdłuż ścian, a pomiędzy kamiennymi kolumnami takimi, jakie Jony widział wtedy w największym stosie, piętrzyły się ciasno, od podłogi aż ponad głowy, kolorowe pudła, każde innego koloru. Niektóre z nich były przejrzyste, jak to mieszczące Śpiącego, tak że widać było wiele poukładanych wewnątrz przedmiotów.

Blask, lśnienie i jaskrawy przepych tego miejsca męczyły Jony'ego. Nie było śladu Maby, a przecież była tu; jego zmysł mu to mówił. Zgubiła się pewnie w tym zatłoczonym miejscu.

— Maba! — podniósł głos do najgłośniejszego krzyku, na jaki mógł się zdobyć.

— Jony? — Jej cicha odpowiedź skierowała go w lewo, wzdłuż malowanej ściany.

Teraz, kiedy mógł skupić wzrok na szczegółach, zauważył, że kolory tworzą obrazy; Niedaleko siedziała Maba, z nogami wyciągniętymi przed siebie, wpatrzona bacznie w coś tuż przed sobą.

— Maba! — Gegee oderwał się od boku Jony'ego i pobiegł do swej siostry bliźniaczki. — Co...?

Wskazała coś podniesioną ręką, nie patrząc wcale w kierunku brata. Jej głos był ożywiony, pełen entuzjazmu.

— Gegee, Jony, patrzcie! Ludzie jak my! Widzicie? Malowidła na ścianach miały dziwny wygląd. Nie tkwiły na płaskiej powierzchni, lecz w jakiś sposób z niej wystawały, stwarzając pozór, że część postaci znajduje się w kamiennej ścianie, a część poza nią.

Fragment wybrany przez Mabę ukazywał grupkę kobiet, które robiły coś dziwnego rękoma, coś, czego Jon nie mógł pojąć. Przed nimi znajdowały się różnego kształtu i rozmiaru pudełka usiane różnobarwnymi kropkami. Ręce kobiet wydawały się spoczywać na niektórych kropkach. Dookoła, na poziomie stóp kobiet, piętrzyły się różne przedmioty. Spośród nich z całą pewnością mógł rozpoznać tylko jedną: zwój tkanej materii, o wiele doskonalszej niż ich spódniczki czy sploty Ludu. Niektóre z przedmiotów kojarzyły mu się nieprzyjemnie z podobnymi, używanymi w laboratorium Wielkich; te jednak były żywszej koloru i miały przyjemniejszy dla oka kształt.

Spojrzał na następny obraz. Widnieli tam mężczyzn, a każdy z nich trzymał w ręku czerwony pręt, taki jaki Jony widział w rękach śpiącego. Jeden z mężczyzn kierował swój pręt ku widocznej na obrazie chropawej skale a z końca prętu wypływał promień światła, uderzając w niekształtną bryłę. Nieco dalej znajdowała się bliźniaczo podobna skała, mająca jednak jeden bok wygładzony, przycięty w kwadrat. Jony domyślił się, że ci z obozu używali swych świetlnych promieni do ciecienia kamienia, skoro nawet Lud używał ostrych kamieni do przycinania drewna do żądanych rozmiarów.

Wiedział o takim wykorzystaniu promienia, wiedział ze wspomnień z laboratorium statku. Była to jednak umiejętność posiadana przez Wielkich, a więc zła. Jony przyglądał się obrazowi. Mężczyźni ci z grymasem na twarzy przypominali tych mentalnie sterowanych, z klatek.

— Spójrz! — Maba podniosła kawałek tkaniny leżącej obok niej na podłodze i dumnie powiewała nim w kierunku Jony'ego.

Materia ta zwisała z jej rąk we wdzięcznych fałdach i Jony zauważył, że ten kawałek tkaniny nie był ordynarny, szorstki i ciężki jak ich własne topornie utkane spódniczki, lecz gładki, miękki, piękny. Kolor był czysto zielony jak liście pewnych roślin, a na tym tle układał się faliście wzór złożony z pęków drobnych kwiatków. Ręka Jony'ego powędrowała w górę, do ucha, lecz gałązka, którą tam zatknął wcześniej, nie uchowała się. Chciał ją porównać do tej namalowanej na materiale, wydawały mu się bowiem bardzo podobne.

— Włóżę to na siebie, tak jak ona... — Maba wstała. Zrzuciła swoją spódniczkę i szamotała się, usiłując udrapować na sobie zielony materiał na wzór kobiety z obrazu, którą pokazywała. Jony poczuł, jak gdzieś w głębi jego dodatkowy zmysł drgnął ostrzegawczo. Nie miał ochoty patrzeć, jak Maba owija swe szczupłe, brązowe ciało w ten materiał i paraduje dumnie, tam i z powrotem, przed tym obrazem. To było niestosowne.

Nie! Pod wpływem instynktu Jony rzucił się, chwytając materiał, zanim Maba zdolała go mocniej przytrzymać. Widząc, co zamierza Jony, krzyknęła i zaczęła uciągnąć do siebie. Rozległ się trzask. Materiał przerwał tak że większa jego część została w rękach Jony'ego, a trzymała tylko sam koniec.

Tkanina była tak miękka, że niemal przywierała do jego skóry. Gwałtownym ruchem zwinął ją i odrzucił od siebie.

Maba przyglądała się z niedowierzaniem trzymanemu skrawkowi. Potem upuściła go, rzuciła się na Jony'ego i zaczęła go okładać dłońmi zaciśniętymi w pięści.

— Ty, ty, zniszczyłeś to! — dyszała. — Porwałeś to! Jony upuścił materiał, wziął ją, wciąż mówiąc pieściami, za ramiona i odprowadził na bok. Dziewczynka krzyczała z czystej złości; potrzasał więc nią mocno, dopóki jej krzyk nie zamienił się w płacz.

Rozmazywała łzy po twarzy, jak gdyby zła na siebie za to, że płakała, i dalej patrzyła na Jony'ego wściekły wzrokiem.

— Zniszczyłeś to — powtórzyła z oczami płonącymi gniewem.

— Posłuchaj! — Jony znów nią potrzęsnał. — Słuchaj mnie teraz, Maba.

Pamiętasz, co się stało z Luho? Pamiętasz?

Uporczywie wpatrywał się w jej oczy.

— Zjadła coś żółtego, co ładnie pachniało.

— A potem?

— Była... była chora, bardzo chora. I umarła — głos Maby zamarł. Potem wściekłość znów pojawiła się na jej twarzy. — Ale ja nie jadłam nic żółtego, Jony. Ja miałam coś bardzo przyjemnego.

— A czy Luho nie myślała, że ma coś przyjemnego? — mówiąc dalej, miał nadzieję wyjaśnić sprawę, apelując do jej rozsądku.

— Tak, ale tamto rosło, Jony. To było coś żywego. Moje nie było żywe. Oni to zrobili. — Machnęła w kierunku kobiety na ścianie. To nie zrobiłoby mi krzywdy.

— Nie wiesz tego, Mabo. Luho nie słuchała, kiedy jej mówiono, że z dziwnymi rzeczami trzeba się ostrożnie obchodzić. To miejsce nie należy do Ludu, ani do takich jak my.

— Ale oni są tacy, Jony! Spójrz na nich, sam zobaczysz! Może Rutee myliła się, może statek przywiózł ją z powrotem na jej własną ziemię. — Maba mówiła coraz szybciej i szybciej.

Jony potrzęsnał głową.

— Nie, Rutee byłaby to wiedziała. Lud nie żył nigdy w jej własnym świecie. Pomyśl o skoczkach, Mabo. Pamiętasz, jak one łapią te małe cęgosze?

— One, one mogą się zmniejszać i chowają część swojego ciała tak, że wyglądają jak cęgosze — odpowiedziała. — Ty myślisz... — odwróciła głowę i raz jeszcze wpatrzyła się badawczo w ścianę — myślisz, że ci ludzie mogą być jak skoczki, mogą sprawić, że będą wyglądać jak my? Jony, skąd oni mogą wiedzieć o nas? To miejsce jest stare. Musiało już tu być, zanim Rutee i ty wyszliście ze statku, zanim my się urodziliśmy.

— Nie sądzę, by chcieli nas złapać, ale uważam, że choć bardziej przypominają nas niż Wielkich, to mogą być w rzeczywistości tak od nas różni jak skoczki od cęgoszy. Rozumiesz?

Spojrzała znowu na niego, a potem jeszcze raz na malowaną ścianę.

— Tak. A jeśli się mylisz? Jeśli oni naprawdę są naszego rodzaju? — Rozluźnił uchwyt i Maba odsunęła się od niego. Jony, te pudła, tam — z zapalem wskazywał szeregi kolorowych sześcianów. Można je otworzyć. W środku jest pełno różnych rzeczy. A inne? Chodź tylko i patrz, Jony! Złapała go za rękę i pociągnęła w kierunku najbliższego sześcianu. Zanim tam doszli, nadbiegł pędem Geogee.

— Patrzcie, co znalazłem! krzyknął. Wymachiwał czerwonym prętem ponad głową, kręcąc nim wokół tal ze światło lśniło i odbijało się od powierzchni.

Jony, znów wiedziony tylko instynktem, pochwycił go. Ich ręce spotkały się na powierzchni pręta. Z jego końca wystrzelił promień tak jasny, że Jony na chwilę

oślepl. Usłyszał piski bliźniąt. Coś upadło z metalicznym brzękiem, kiedy zatoczył się na ścianę, obronnym gestem przyciskając ręce do oczu.

— Geogee — udało mu się jakoś wydobyć głos — zostaw to, zostaw to!

— Nic nie widzę, Jony... — głos Geogee'a przeszedł we wrzask — Jony! Maba!

— Już dobrze — odpowiedziała mu Maba. — To ja, Geogee. Weź mnie za rękę. To ta rzecz. Ona, Jony... — jej głos zadrżał. — Tam, gdzie padło to światło... nie ma nic! Jony, co się stało?

Jony zamrugał, oczy łzawiły, ale widziały, tylko jakby przez mgłę. Czerwony pręt leżał na podłodze. Obszedł go ostrożnie dookoła, by zbliżyć się do dzieci. Maba objęła brata i trzymała go mocno w ramionach; patrzyła jednak gdzieś poza nim i Jony podążył za jej wzrokiem.

Tam, gdzie dwie warstwy sześcianów ułożone były jedna na drugiej, nie było już — jak powiedziała Maba nic. Moc tego tnącego światła była na pewno zagrożeniem, które wydało mu się teraz gorsze od wszelkich wynalazków stosowanych przez Wielkich.

Czy bliźnięta pojęły nauczkę? Niczego więcej nie można było dotykać. Nie wiadomo, co mogła wyzwolić jakaś ich nieostrożność. A gdyby Maba znalazła się na linii tego promienia? Jony wzdrygnął się i zrobiło mu się mdło na samą myśl podsuwaną przez wyobraźnię. Podniósł kij i zwrócił się do bliźniąt:

— Musimy się stąd wydostać — powiedział krótko. A ponieważ nie widział możliwości, żeby wydostać się przez tamten otwór, z którego droga prowadziła ześlizgiem w dół, musieli więc przeszukać do końca to miejsce wyglądające na magazyn. Nie będzie jednak żadnego otwierania pudeł, żadnego dotykania rzeczy należących do ludzi z kamiennych stosów. Nic dziwnego, że Trush okazywał tak wyraźną niechęć do śladów pozostawionych przez tych ludzi!

Bliźnięta wyraźnie już teraz pokonane przyłączyły się do niego ochoczo. Szli razem między szeregami pojemników, mijali te o przejrzystych bokach, z dziwnymi przedmiotami wewnątrz starającymi się ich usidlić, przyciągnąć ich zainteresowanie.

Obrazy na mijanych ścianach zmieniały się nieustannie. Tamte ukazywały ludzi uczestniczących w na wpół tylko zrozumiałych czynnościach, te tutaj przedstawiały sceny spoza tego miasta, ziemię znaną całej trójce z własnych wędrówek. Nagle Jony'ego zatrzymał widok żywej sceny.

— Statek z nieba! Wielcy byli tu już przedtem!

Jednak gdy przypatrzył się z bliska, nie był tak całkiem pewny... Statek wyglądał nieco inaczej i Jony nie mógłby na to przysiąc. On sam widział go tylko przez krótką chwilę. Wystarczał sam fakt, że ci ludzie także używali statków. W jego pojęciu to łączyło ich z Wielkimi i dziwiła go już niezwykła broń czy też narzędzie znalezione przez Geogee'a.

— Jony! — Maba tylko zerknęła na obraz, który tal go poruszył. Znowu ich wyprzedziła i pokazywała teraz na inny. — Patrzcie, tu jest Lud!

I rzeczywiście, byli tam i wydawali się jak żywi, gotowi wyjść ze ściany i przyłączyć się do nich, Trush lub Voak czy Yaa. Ale... — Jony zacisnął usta i mocniej ścisnął kij — oni chodzili na czworakach, czego Lud nie robił, chyba że oparcie dla stóp było marne albo trzeba było nagle przyspieszyć, pobiec. A wokół ich ciał były pasy, z których zwisały powrozy. Przedstawiony tu Lud, to więźniowie; niektórzy byli namalowani w klatkach!

Jony warknął z wściekłości. Dokładnie tak jak myślał, ci którzy tu zamieszkiwali, mieli taką samą złą naturę jak Wielcy, mimo że wyglądali tak jak on. Lud swego czasu im uciekł i, podobnie jak on i Rutee, zdobył wolność. Zło. Czuł teraz zapach zła, podobny do odoru wypełniającego powietrze w pobliżu Czerwonych Główn.

— Co oni robią? — spytała Maba wciąż pochłonięta obrazem. — Dlaczego Lud

ma te rzeczy na sobie?

— Ponieważ — wycedził Jony przez zęby — są więźniami, więźniami złych. Tak jak kiedyś my. Och, wydostańmy się stąd!

Popchnął ją. Musi być stąd jakieś wyjście i trzeba je znaleźć!

VI

Dotarli wreszcie do końca tej olbrzymiej przestrzeni. Była ona tak załadowana, że Jony'emu trudno było ocenić jej rzeczywiste rozmiary. Stały teraz przed nimi następne lśniące drzwi, bliźniaczo podobne do tych, które sforsowali na początku. Ku jego zdziwieniu, kiedy zastanawiał się właśnie, czy jego zmaltretowany kij wytrzyma kolejny silny napór, Maba ruszyła pewnie naprzód. Stojąc na palcach, wyciągnęła obie ręce najdalej jak mogła, dosięgając nimi lekkiego zagłębienia.

— Maba! — Jony chciał ją właśnie złapać i odciągnąć z powrotem, kiedy zobaczył, że drzwi powoli odsuwają się. Pochwycili dochodzący z wnętrza ściany zgrzyt, jedyny dźwięk, jaki w tych podziemiach słyszeli, z wyjątkiem hałasów, które sami robili.

Szczelina była już dość szeroka dla Maby i Geogee'a, Jony nie dowierzał. Odwrócił się, złapał za stos kolorowych pudeł, chwytając to, które udało się wyrwać, i zaklinał nim otwartą szczelinę drzwi.

Przeszli do kolejnego oświetlonego szarym światłem pomieszczenia o jasnych ścianach. Jednakże to wznosiło się i Jony miał nadzieję, że w końcu dotrą do powierzchni i wyjdą na wolność. Nie miał pojęcia, co to było za miejsce, wiedział tylko, że ci, którzy budowali te ściany przy użyciu swych prętów, zgromadzili tu przedmioty przez siebie zrobione, które przypuszczalnie cenili.

Z tyłu rozległ się trzask; Jony odwrócił się gwałtownie. Dostrzegł, że pudło, którym zakleszczył szczelinę, zostało zmiażdżone przez ciężar zamykającej się płyty i tylko resztki nie pozwoliły drzwiom na zupełne zamknięcie się.

Maba, skąd Maba znała tajemnicę drzwi? Stanowiło to dla niego niemałą zagadkę. Zapytał ją o to wprost.

— Widziałam tam taką linię — odparła zdecydowanie. — Pierwsza ściana otworzyła się, kiedy położyłam na tej linii ręce. — Uśmiechnęła się w ten swój szczególny sposób, jak zawsze wtedy, kiedy uważała, że jest sprytna. Maba była nazbyt skora do wiary w swe własne możliwości, a brak jej było ostrożności, którą Jony wyrobił sobie w klatkach.

— Jony — Geogee borykał się najwyraźniej z jakąś nie dającą mu spokoju myślą. — Ten Lud na ścianie; wiedziałeś, że to są więźniowie, jak ty i Rutee. Ale ci drudzy wyglądali jak my, a nie jak Wielcy. Jeżeli byli tacy jak my, to dlaczego zamykali Lud, trzymali w klatkach, kazali nosić te rzemienie na szyi?

— Słyszałeś, co mówiłem Mabile — Jony udzielił najlepszej odpowiedzi, na jaką mógł się zdobyć. — Sam fakt, że ci na obrazach wyglądają tak jak my, nie znaczy, że są tacy jak my w środku. Wiemy, że Wielcy są źli, a że wyglądają inaczej od nas, więc od początku nauczyliśmy się tego, że trzeba się ich bać. Ale ludzie mentalnie sterowani są zupełnie tacy sami jak my, a jednak postępują tak, jak każą im Wielcy. Nie możemy im nigdy ufać.

— To ci na obrazach są mentalnie sterowani? — napierał się Geogee.

— Nie wiem.

Jony nie mógł jakoś uwierzyć, że to właśnie obcy Wielcy byli twórcami tych budowli. W pierwszej chwili zaniepokoił go wprawdzie obraz statku, ale później przypomniał sobie, co mówiła mu Rutee — otóż ludzie, z których się wywodził, też mieli takie statki. Właśnie przez przestworza ona i Bron przybyli kiedyś na planetę, skąd potem porwali ich Wielcy. Mogły być różne rodzaje statków. Na ściennych obrazach nie było najmniejszego śladu Wielkich.

Jedynego czego był w tym momencie pewny, to zagrożenie, jakie niesło to miejsce.

Im szybciej wyjdą stąd na otwartą, znajomą przestrzeń, tym lepiej.

— Jestem zmęczona powiedziała nagle Maba — i nie mogę już dłużej tak szybko iść. Jony. Jestem głodna.

— Ja też jestem głodny, Jony — poparł ją Geogee zdecydowanie. — Chcę się stąd już wydostać. Idziemy stale pod górę, a wyjścia nie widać.

Miał rację. Wprawdzie chodnik wznosił się ciągle, lecz Jony nie wiedział, jak nisko opuścili się na samym początku, zjeżdżając w dół tunelem.

— Już niedługo wyjdziemy — starał się, by to zapewnienie zabrzmiało przekonywająco. Cały kłopot tkwił w tym, że nie był przekonany, czy mówi prawdę, czy nie. I on był głodny, spragniony. Chciałby biec, ale dzieci wlokły się z tyłu i mógł je tylko zachęcać, żeby, choć wolno, posuwały się naprzód.

— Jestem zmęczona — powtórzyła Maba z większym naciskiem. — Nie sądzę, żebyśmy tak mogła iść i iść. Jony.

— Oczywiście, że możesz — dodawał jej otuchy. — Tak sobie świetnie radzisz z drzwiami, Mabo. Jeżeli natkniemy się na następne, będziemy potrzebowali twojej pomocy.

Nadal nie wyglądała na przekonaną i rzeczywiście bardzo wolno pięła się pod górę. Geogee prześcignął ją i był daleko z przodu, więc Jony musiał zawołać go z powrotem. Co niepokoiło starszego chłopca, to owo dziwne światło wypełniające podziemne korytarze, które stawało się coraz bledsze, w miarę jak wznosili się wyżej.

— Słuchajcie — odezwał się ostro. — Ty, Mabo, trzymaj to.

Podał jej na pół rozłupane drzewce; kiedy się wydostaną, będzie musiał zrobić nowe. Kiedy dziewczynka zacisnęła dłonie na końcu kija, Jony zarządził:

— Geogee, zaczekaj tam, gdzie jesteś. — Kiedy dogonili niecierpliwego chłopca, Jony ustawił go obok siostry. — Złap się za to, o tu, i niech żadne z was nie puszcza kija. Chcę wiedzieć, gdzie jesteście w tych ciemnościach.

Sam chwycił za drugi, zakrzywiony koniec i ruszył przodem. Ostatni odcinek wspinaczki był najbardziej stromy i Jony prowadził wolno, bojąc się, że któreś z bliźniąt może rozluźnić uchwyt łączący je z pozostałą. W końcu zobaczył przed sobą wyjście (z zadowoleniem stwierdził, nie było tam żadnych zasuwających się płyt). Czuć było świeże powietrze, lecz ściany wokół nich nadal się wznosiły. Było dość ciemno, toteż Jony poruszał się bardzo wolno.

Na koniec spostrzegł przed sobą drobne iskierki jaskrawego światła. Trudno było powiedzieć, czy oznaczały one jakieś większe niebezpieczeństwo, czy też nie. Ale teraz czym się kierować, miał coś, co go wiodło. Poła kijem wszyscy troje znaleźli się teraz w miejscu, w k Jony był już poprzednio, w wielkim kamiennym s w samym sercu tego zakazanego miejsca.

Te kolorowe cętki, jaskrawe w świetle dnia, w ciemnościach wręcz ożywały: jedne iskrzyły się, inne płonęły równym blaskiem. Jony spoglądał na to miejsce z niechęcią, choć wiedział przynajmniej, gdzie się znaleźli. — Co to jest? — zapytał Geogee.

— Nie wiem — krótko odparł Jony. — Stąd my łatwo się wydostać. Chodźcie!

Przeszli skrajem występów podtrzymujących pojemnik ze śpiącym i szli dalej po ciemku dookoła kamiennej kobiety. Tym sposobem znaleźli się z powrotem na kamiennej rzece, która wyprowadzi ich z tej strefy niebezpieczeństwa.

A była to niebezpieczna strefa. Jony czuł na swej skórze coś więcej niż tylko ostry chłód nocnego powietrza.

Odczuwał jak gdyby jakąś emanację, coś promieniowało z tych spiętrzonych brył, budząc jego zmysł ostrzegawczy. Nie odbierał jednak konkretnego sygnału, poza uczuciem ogólnego niepokoju, chęci, by znaleźli się tak daleko stąd, jak to tylko możliwe.

Maba potknęła się i upadła. Usiadła na ziemi.

— Ja, ja nie mogę wstać, Jony. Noga mnie boli i jestem strasznie zmęczona. Zostawało tylko jedno do zrobienia. Jony szturchnął Geogee'a drzewcem.

— Nieś to i trzymaj się blisko mnie — rozkazał. Pochylił się i podniósł dziewczynkę.

Choć wyglądała na tak drobną i chudą, była dość ciężka, a Jony też był zmęczony. Wiedział jednak, że nie uda mu się jej teraz skłonić, żeby szła sama. Byli już dokładnie na środku ścieżki wiodącej ich między budowlami z kamienia. I choć noc była ciemna, był to wystarczający drogowskaz, by wyprowadzić ich stąd. Geogee ciągnął drzewce za sobą, a rękojeść turkotała po kamieniach. Trzymał się jednak blisko Jony'ego. Może i on wyczuł tę nieokreśloną grozę, która Jony był tego pewien — stanowiła nieodłączną część tego miejsca. Idąc chwiejnym krokiem, mijali jedną odnogę po drugiej. Dwa razy Jony stawał, sadzał Mabę na ziemi i odpoczywał przez parę chwil, po czym znów ją podnosił. Zwisła bezwładnie na jego rękach i nie odzywała się słowem.

Możliwe, że spała, lecz jeśli tak, to nie był to naturalny sen. Niepokój Jony'ego rósł.

Maba trzymała tamten materiał, owijała się nim. I przebywała dłużej od nich dwóch w tym magazynie z dziwnymi rzeczami obcych. Czy to jej zadziwiające otwieranie kamiennych wrót wywarło na nią taki wpływ że leżała teraz bezwładna, osłabiona?

Dyszał urywanie, kiedy przechodzili pomiędzy ostatnimi stosami. Nie było księżycy tej nocy, a Jony musiał odnaleźć górski grzbiet, na który trzeba było wejść, aby odnaleźć obóz klanu. Zdawał sobie sprawę, że może błędzić po omacku i zgubić się.

Gdy oddalili się od rzeki, położył Mabę na ziemi, złapał za kij i przyciągnął Geogee'a do siebie. Chłopiec natychmiast kucnął obok siostry. Jony stał, badając ciemny masyw górski. Choć nie mógł się komunikować z Ludem za pomocą przesyłania myśli, wiedział, że w wypadku starczające silnej koncentracji zdoła ich w pewien sposób przywołać. Tak jak jego błaganie przywiodło Yaa wówczas, gdy wzywał pomocy dla Rutee.

Skoncentrował się najmocniej jak potrafił. Lud tylko podróżuje nocami, lecz byli już poprzednio w drodze szukając bliźniąt i mogli ciągle jeszcze znajdować się niedaleko. Trush wiedział, że Jony wyruszył na poszukiwania w tym kierunku.

Tak! Jony wydał z siebie westchnienie ulgi. Ktoś z Ludu był niezbyt daleko stąd — Trush lub może ktoś inny. Pochwycił obcy model myślenia, nieznany wzór, którego nie potrafił odczytać. Ponownie skoncentrował się na próbie wezwania pomocy.

Ku jego zdziwieniu i rozczarowaniu czas mijał a w odpowiedzi na jego wołanie nie wynurzyła się z gąszczy żadna pokryta futrem postać. Czy to dlatego, że on i bliźnięta byli w tej kamiennej siedzibie? Czy Lud aż do tego stopnia żywił niechęć do tego miejsca, że odrzuca teraz Jony'ego i bliźnięta w taki sam sposób, w jaki Trush odrzucał istnienie kamiennej rzeki i odwracał się od niej na sam widok?

Jony pomyślał o tym obrazie na ścianie, gdzie Lud był w pętach i w klatkach. Udało im się jakoś wydostać na wolność. Jednakże Jony i bliźnięta fizycznie przypominali ich niegdysiejszych ciemiężców, a cała ich trójka powróciła do miejsca niewoli Ludu. Czyżby Lud teraz uważał, że Jony i bliźnięta oraz ich dawni wrogowie to jedno?

Myśl ta zabolęła jak nagły cios. Od pierwszej chwili, kiedy Yaa nadeszła, wyłoniła się z burzy, by pomóc Rutee, Jony uznał Lud za mądrzejszą, silniejszą i lepszą od wszelkich innych form żywych istot, które znał, z wyjątkiem samej Rutee. Nie byli jak puste skorupy mentalnie sterowanych. W rzeczywistości, o ile Jony się orientował, nie można było sterować ich umysłami. Nic więzili go też z gruboskórnym

lekceważeniem jako istoty myślącej, tak jak robili to Wielcy.

Nie, na swój sposób Lud był całym światem, jaki Jony znał i uznawał za właściwy i dobry. Mieli oni tyle wspólnego z widzianymi na obrazie mieszkańcami klatek, co Jony z tym plemieniem, które ich więziło.

— Jestem tutaj — myślał z całą siłą na jaką mógł się zdobyć. To ja, Jony, ten którego znacie... to jestem JA!

Nie wiedział, ile z jego myślowych sygnałów mógł odbierać Lud, czy było to dla nich tak samo trudne, jak nadanie myśli w odwrotnym kierunku. W tej chwili mógł tylko mieć nadzieję, że uda mu się w jakiś sposób wpłynąć na stojącego na czatach obserwatora, że Lud nie wyprze się jego i bliźniąt.

W miarę jak chwile mijały, jego nadzieje wyraźnie topniały. Dzieci nie mogły pozostawać na otwartym terenie w nocnym chłodzie. Jony musiał znaleźć jakieś schronienie Wszędzie jednak, tylko nie tam, skąd właśnie uciekli.

Jony, jestem głodny — powiedział żałośnie Gegee — no i Maba. Ona śpi. Ale tak śmiesznie oddycha, Jony. Ja chcę do Yai. Proszę cię, Jony, chodźmy już!

Jony klęknął, by znowu wziąć Mabę na ręce. Jej ciało było chłodne w porównaniu z jego ciałem. Dyszała płytko. Jony zadrżał. Jak Rutee chora na kaszel? Lecz ta choroba atakowała w okresie chłódów. Równie mocno jak Gegee pragnął obecności Yai, lecz czy odważy się sam przeprowić z dziećmi przez gąszcz?

Nie można było pozostać tu dłużej bez schronienia. Dźwignął się jakoś na nogi, wziął znów Mabę na Gegee trzymał kij.

— Wstawaj — wykrztusił Jony. Gegee nie ruszył się.

— Jest ciemno — zaprotestował — i strasznie stromo, Ruszaj się! Jony wypowiedział to jak rozkaz.

Nie mógł nieść jeszcze i Gegee'a. Nie był nawet pewny, czy wespnie się na grzbiet z ciężącym mu bezwładnym ciałem dziewczynki. Milczący strażnik nadal tam był. Przypuszczalnie członkom klanu nie wolno było tak blisko podchodzić do rzeki z kamienia.

Jony zaczął się wspinać. Gegee wdrapywał się ni przed nim. W tym nierównym terenie starszy chłopiec musiał dobywać wszystkich swych sił, wypróbowując najpierw nogą każde kolejne stąpienie, zanim zdecydował się przenieść na nią cały ciężar ciała.

Brak światła nie pozwalał mu widzieć więcej ponad to, co leżało w najbliższej odległości, na wysokości jego oczu. Wspinaczka ciągnęła się całe wieki, choć nie stawał, by odpocząć. Czuł, że jeśli odważyłby się przystanąć, nie znalazłby potem siły, by ruszyć dalej.

Zbity gąszcz zarośli sięgał po uda i Jony przedzierał się na ślepo, omijając największe krzaki. Obserwator nadal wyczekiwał. W górę, krok po kroku, Jony ukończył jakoś tę wspinaczkę, wchodząc chwiejnym krokiem na sam szczyt. Stanął dysząc ciężko. Uniósł głowę i rozejrzał się dookoła, starając się dostrzec tego, czyją obecność wyczuwał.

Tak jak kształt ich postaci trudny był do odróżnienia w dzień, tak w nocy Lud był niemal zupełnie niedostrzegalny. Wreszcie Jony spostrzegł lśniące kręgi oczu. Nie próbował posunąć się do przodu. Cała inicjatywa musiała teraz należeć do drugiej strony.

Gegee podszedł bliżej.

— To Voak! — wykrzyknął głośno.

Jony rozpoznał już przywódcę klanu; wysuwał się on na otwarty teren pod nocnym niebem. Tam Voak przystanął, wpatrując się w trójkę, nie czyniąc żadnego gestu pomocy, czy choćby rozpoznania.

Gegee zatrzymał się.

— Voak? — zapytał bardzo niepewnym głosem. Najwyraźniej zachowanie Voaka najpierw go zdziwiło, a potem zbiło z tropu.

Voak nie był już sam. Jony wyczuł innych poruszających się tu i tam. Lud zbierał się wokół przywódcy, trudny do zauważenia, z wyjątkiem nieporuszonych oczu. Wyczuwało się bijącą od nich rezerwę i ostrożność, co zaniepokoiło Jony'ego. A ponieważ nie mógł dotrzeć do nich myślą, musiał teraz czekać, pozwalając, by to, co się stanie, wyjaśniło przyczynę, dla której zostali odcięci od ciepłego uczucia bliskości, przynależności do klanu.

Voak uniósł swój kij, dając znak. Potykając się, Jony posłusznie wystąpił. Ktoś z członków klanu wysunął się, by zabrać od niego Mabę. Jony i Geogee postępowali za nimi, idąc na własnych nogach; Jony'emu nie umknął przy tym fakt, że Voak zabrał jego, Jony'ego, kij, wyrwijąc go bez trudu Geogee'owi.

Szli chwiejnym krokiem, a Lud otaczał ich ciasno w sposób, który nie oznaczał ochrony, lecz raczej sprawiał wrażenie prowadzenia więźniów. Szli więc w milczeniu ku obozowisku obok strumienia.

Voak wykonał teraz swym kijem inny ruch oznaczający udanie się na spoczynek. Ten, który niósł Mabę, podał ją teraz Yai, a ta zaniósła ją do rodzinnego gniazda. Jony odczuł pewną ulgę. Nadal wierzył, że Yaa zaopiekuje dziewczynką. Nie wiedział, co dolegało Mabie. Dręczył go uporczywa myśl, że mogła nabawić się jakiejś choroby związanej z tym kamiennym miejscem i obawiał się jej groźnych skutków.

Geogee przyszedł i skulił się obok niego pod wspólnym przykryciem.

— Jony — rozległ się w ciemności najcichszy z szeptów, podczas gdy Jony prostował swe obolałe nogi, starając znaleźć pociechę w tym, że byli w końcu z powrotem w obozie. — Jony, co się dzieje? Czemu Lud nas tak nienawidzi?

Nienawidzą ich? Jony nie był pewien, czy to właśnie nienawiść tak nagle wytworzyła barierę między nimi, jedynymi istotami, jakie znali. Coś się stało ze swobodnymi więzami łączącymi ich dotąd z Ludem, coś istotnego, a może i strasznego. Powinien raczej poczekać na wyjaśnienia, a nie zgadywać.

— Może nas nie nienawidzą — starał się jakoś pocieszyć Geogee'a. — Mogliśmy złamać jedno z praw klanu, idąc do tamtego miejsca. Jeżeli tak właśnie było, odbędzie się sąd.

Geogee zadrżał tak, że Jony poczuł, jak ciało malca całe dygocze.

— Będą nas bić biczami z pnaczy! — przypomniał sobie ostatnią ciepłą porę, kiedy odbyła się rozprawa przeciwko Tigunowi. Tigun postąpił głupio i lekkomyślnie, naprowadzając jaszczura smaa na ich ślad. Jaszczur zaczął ich tropić, a Tigun został za swój czyn wychłostany.

— Jeżeli będą bić — odparł mu Jony — to tylko mnie. To ja byłem tym, który poszedł do kamiennego miejsca; wy tylko poszliście w ślad za mną.

— Nie — Geogee pociągnął nosem. — Myśmy widzieli, jak ty już stamtąd wychodzisz. Ale chcieliśmy zobaczyć, co jest w środku. Wiedzieliśmy, że źle robimy.

— Jeżeli ja nie zrobiłbym tego pierwszy — ciągnął Jony — i nie wybrałbym się na kamienną rzekę na poszukiwania, nie poszlibyście za mną. Jeśli Voak uważa, że postąpiliśmy źle, powiem mu, że tak właśnie wygląda prawda. A teraz staraj się już zasnąć, Geogee.

Mimo całego znużenia Jony nie zasnął od razu. Po wiedział Geogee'owi całą prawdę. Lud był rozsądny i bardzo sprawiedliwy. Zrozumieją, że jeżeli musi być wymierzona jakaś kara, to raczej jemu niż bliźniętom. Poszły tylko w ślad za nim, bo były zaciekawione jego przedsięwzięciem. Za swoją ciekawość musi odpowiadać sam.

Po chwili zasnął i zaczął śnić. Znów stał tam przy bloku, na którym iskrzyły się te cętki kolorowych ogni, do złudzenia przypominające gwiazdy migoczące na niebie w

bezchmurną noc. Z kamiennej skrzyni powoli podniósł się śpiący. Uniósł rękę do czerwonej maski, by odkryć twarz; Jony mógł więc patrzeć wprost na jego zakryte dotąd rysy.

Jony wzbraniał się; jednak jakaś wola, silniejsza od; go własnej, zmuszała go, żeby się przyjrzał. Po chwili twarz pod maską...! Była taka sama, jaką widywał czasu do czasu mgliście odbijającą się w kałuży wody jego własna twarz! A wówczas tamten wyciągnął do przodu swój pręt i starał się skłonić Jony'ego, by go pochwycił.

Jony wiedział, że jeżeli to zrobi, wypełni go potęga. Byłby tak potężny, że jego wola decydowałaby o wszystkim. Lud, a nawet Maba i Geogee, byłiby dla niego niczym mentalnie sterowani dla Wielkich.

Jedna część jego istoty dziko, zawzięcie, aż do bólu, pragnęła wziąć ów pręt w posiadanie. Gdzieś z wnętrza, z samej głębi duszy, jakby ukryty na dnie, podnosił się głos mówiący, że taka potęga należy mu się, że on jeden godzien jest tego, by mieć ją i władać. Jednakże druga część pamiętała laboratorium Wielkich. Jonym wstrząsała siła toczącej się w nim walki. Było ich jakby dwóch zmagających się w jednym ciele. W jednej chwili jego ręka wyciągała się, by pochwycić pręt, w następnej odpychała go.

— Jony! Jony!

Oszołomiony zbudził się ze snu na dźwięk swego imienia. Wokół panowała szarość wczesnego poranka. Lecz nie był w kamiennym miejscu. Nad nimi było poczciwe, dobrze znane sklepienie gałęzi drzew. Potem zobaczył Geogee'a. Brudna twarz chłopca była wykrzywiona strachem.

— Jony! — położył ręce na ramionach Jony'ego, potrząsał nim.

— Już dobrze — Jony powoli wracał do siebie po tamtej walce. Mimo chłodu jego skóra była nieprzyjemnie spocona. Czuł się słaby, jak gdyby wykonał jakieś zadanie, które wyczerpało jego siły do ostatnich granic.

— Mówiłeś „Nie, nie!” — powiedział Geogee.

— To był zły sen — szybko odpowiedział Jony tylko zły sen.

Sam nie mógł jednak tak łatwo uwolnić swej pamięci.

Coś z tej dwoistości pozostało w jego umyśle. Pragnął potęgi pręta; nienawidził i bał się go. Nagle zapragnął obejrzeć śpiącego znowu, upewnić się, że maska nadal leży na jego twarzy, że to nie on jak w tym omamie — jest tym, kto spał.

Mimo wczesnej pory ruch był w obozie, Lud już wstał. Nikt nie patrzył w stronę Jony'ego i Geogee'a, nikt nie zwrócił się do nich w mowie znaków, gestykulując palcami. Niedaleko leżała na ziemi ich porcja — kostka zlepionych orzechów. Jony dał część Geogee'owi, a resztę zjadł żarłocznie, bo tak bardzo był głodny.

Zbierał właśnie ostatnie okruchy w dłoni, gdy podniósłszy wzrok, zobaczył, że wszystkie samce z klanu gromadzą się wokół niego. Geogee cofnął się trochę, z jego twarzy można było wyraźnie odczytać ogarniający chłopca lęk. Jony objął go za ramiona opiekuńczym gestem, uścisnął dla dodania otuchy. Potem używając obu rąk, zaczął dawać palcami znaki.

— Młode niewinne. Pójsz mój trop.

Otoczająca go grupa stała nieporuszona, nie było żadnego znaku w odpowiedzi. Voak sięgnął łapą, pochwycił Geogee'a za ramię, odciągnął chłopca od Jony'ego i wyprowadził go spoza kręgu, popychając w kierunku samic.

Odpowiedź Voaka brzmiała:

— Młode zawsze iść w ślad. Starsi nie pokazywać zła droga, nie wolno.

Jony'emu trochę ulżyło ze względu na Geogee'a. Cokolwiek się stanie, wina spoczywa teraz, tylko na nim samym. Miał nadzieję, że Geogee najadł się dość strachu, by ta lekcja utkwiała mu w pamięci. Voak miał rację, skoro jakieś prawo klanu zostało złamane — tylko on, Jony, mógł być o to obwiniany.

— Powiedziana prawda — zasygnalizował. Później czekał, co nadejdzie. Sąd, a potem kara?

— Ty iść — odparł Voak.

Odwrócił się zdecydowanie, a Jony za nim. Nie sami. Towarzyszyli im Otik z młodszych samców i Kap ze starszych. Nikt nie zwrócił Jony'emu kija; wyciągnął z tego złowróbnny wniosek. Gdziekolwiek mieli się udać, nie było to blisko obozu, gdyż każdy z jego towarzyszy był zaopatrzony w siatkę z prowiantem na drogę.

Nie wiedząc ku czemu to wszystko zmierza i jeszcze bardziej tym przerażony, Jony wkraczał w ten poranek w jako dobrze strzeżony więzień.

VII

Kierowali się znów ku wyższym grzbiecom górskim, jednak nie w stronę kamiennej siedziby, a bardziej na północny wschód. Voak prowadził zdecydowanym krokiem, jakby dokładnie wiedział, dokąd zmierzają. Znajome widoki otwartych przestrzeni walczyły w Jony'm z omamami. Teraz łatwiej było mu uznać, że to, co go tak przeraziło, było tylko snem zrodzonym z wczorajszej dziwnej przygody. I mimo że nie wiedział, jakie są zamiary Ludu wobec niego, czuł pewną ulgę w swej udźce.

Nie wróci do kamiennej budowli, aby stanąć przed zamaskowanym i wybierać między prętem a swobodą. Z ulgą wziął głęboki oddech, rozkoszował się dotykem wilgotnych od rosy liści ocierających się o jego nogi, czystym powietrzem, które wciągał do płuc.

Chociaż Lud poruszał się niezgrabnie, to jednak Jony zmuszony był przyśpieszyć, by nadążyć za swą strażą. Ten pospieszny trucht był niepodobny do zazwyczaj utrzymywanego tempa w czasie przemieszczania się klanu, gdyż w podróży szli oni szeroko rozciągniętą grupą, w pewnej odległości jeden od drugiego, poszukując jadalnych korzeni, jagód, ostrych kamieni.

Dzień był pogodny, a słońce jasne, ciepłe. Jony'emu było nawet za gorąco, kiedy wynurzyli się spod drzew na otwarty teren, gdzie trawa sięgała prawie po pas. Stworzenia żyjące w tej miniaturowej trawiastej dżungli pierzchały przed nimi szybkim, krętym lotem. Tu i ówdzie wystrzelały w górę wysokie pędy ozdobione błękitnymi kwiatami, wokół których brzęczały owady.

Po drugiej stronie połaci traw zaczynał się znowu gąszcz. Jony spodziewał się, że Voak będzie torował drogę, przedzierając się przez zarośla. Tymczasem przywódca klanu skręcił ostro w lewo, podążając wzdłuż podnóża wzniesienia. Jony odczuwał pragnienie, ale nie zamierzał zwracać się z żadną taką prośbą do Voaka. Duma umocniła jego postanowienie, by o nic swych towarzyszy nie prosić.

Uszli już niewielki odcinek, zanim Jony zauważył kamienie wystające tu i ówdzie z ziemi. Były kwadratowe, choć działanie pogody wyłobilo w nich wgłębienia, zaokrągliło brzegi. Mimo reakcji Trusha na kamienną drogę, niechęci okazywanej przez klan Jony'emu od kiedy przyznał się do wyprawy do kamiennej siedziby wybudowanej przez obcych z obrazów — Voak zdawał się kierować w stronę, gdzie pojawiały się podobne pozostałości. Przywódca zatrzymał się też, gdy zaczęły się przed nimi wznosić szeregi takich samych występów, po jakich Jony wspinał się do miejsca, gdzie śpiący leżał w swej skrzyni. Ziemia częściowo je przykrywała, a wzdłuż nich wyrastały młode drzewka. Było całkiem oczywiste, że kiedyś służyły do wspinania się na zbocza grzbieta. Na każdym występie, na który się wznosił, Voak z głuchym stuknięciem opuszczał swój kij, jakby ten gest stanowił jakąś niezbędną zapowiedź ich nadejścia.

Kapoor i Otik powtarzali ruchy Voaka, a ich wznosiły się i opadały równocześnie. Wszyscy trzej wydawali dźwięki podobne do tych towarzyszących tańcom przy księżycu, a kiedy tak szli, tony wznosiły się i opadały. Jony wyczuwał, że i gesty, i dźwięki miały bronić przed jakimś zagrożeniem, które według nich czaiło się gdzieś z przodu. Ich obecne zachowanie budziło zdumienie. Walka z ptakami vor lub ze smaa odbywała się w ciszy przy wtórze pojedynczych chrapliwych chrząknięć. Jony użył swego ostrzegawczego zmysłu, wysyłając poszukiwawczą myśl. Bez kija w ręku czuł się jak obnażony, a postępowanie jego straży tylko wzmagało obawy chłopca. Ciągłe nie mógł niczego pochwycić. Tak jak pośród kamiennych stosów, tak i tutaj odbierał wyłącznie zwykłe sygnały życia występujące wszędzie na otwartym powietrzu. Jony

spróbował skupić się na odbiorze jakiejś bardzo trudno uchwytej emanacji. Był to nikły ślad obcej energii (choć nie była to energia zrodzona z życia). Cokolwiek czekało tam przed nimi, nie było żywe w taki sposób, w jaki zawsze pojmował życie. Nie, to było...

Nagle napłynął strzęp wspomnień i Jony zatrzymał się. Ten dopływ energii przypominał to, co odczuł, kiedy odważył się dotknąć dłoni kobiety z kamienia! Jego strażnicy byli tak zajęci rytmicznym dudnieniem kijami i chóralnym nawoływaniem, że obaj postąpili o stopień wyżej zanim zauważyli, że Jony stanął. Nieznacznie się odwrócili, każdy z nich położył swą łapę, zaciskając mocno, na ramionach chłopca i wzięwszy go między siebie, poprowadzili dalej.

Nie było ucieczki od ich zespolonej gorliwości. Musiał stawić czoło temu, co miał przed sobą, cokolwiek by to było, i co próbował swym zmysłem odkryć. Nie było to prawdziwe życie, tego był pewien. Z Ludem nie mógł się wprawdzie kontaktować, a jedynie nawiązać cień porozumienia — tutaj nawet to było niemożliwe. Jednakże gdzieś tam istniała pewnego rodzaju siła, potęga, na którą reagował jego zmysł.

W trakcie wspinaczki Jony odbierał niepokojące uderzenia fal tej dziwnej mocy. Odnosił wrażenie, jakby jego ciało było zanurzone w substancji nie tak namacalnej jak woda jednak płynącej wartkim strumieniem, podobnie jak sporej wielkości rzeka. Czy Lud też to wyczuwa, a może dudnienie kijami i pohukiwania były rodzajem tarczy ochronnej przeciwko temu?

Voak znalazł się na szczycie długiego szeregu stopni. Przystanął, ale nie odwrócił głowy, żeby zobaczyć, w jakiej odległości postępują za nim tamci. Przyspieszył natomiast uderzenia kijem w nagą skałę, na której stał. Nawoływał głośniejsze i szybciej.

Kiedy dołączyli do starszego samca, Jony zauważył, że gładka powierzchnia, na której stał przywódca klanu była ogromna. Jak rzeka z kamieni, płaszczyzna ta rozciągała się na podobieństwo języka wychodzącego spod ostatniego skalnego stopnia. Temu kamiennemu przejściu utworowano drogę, przekopując się przez szczyt, krusząc skały i ustawiając po bokach kamienne mury, aby nie dopuścić do zasypania ziemią.

Niedaleko, z samego serca góry, wyłaniał się sięgający wysoko otwór. On również był obramowany blokami z kamienia. Musiała to być robota tamtych mężczyzn namalowanych na ścianie, Jony był tego pewny. A jednak Lud, jak się okazało, miał zamiar tam wkroczyć.

Otik i Kapoor naśladowali szybkie uderzenia kijem, głośniejsze pokrzykiwania. Możliwe, że czekali na pojawienie się kogoś lub czegoś. Lecz nie było tu żadnego ukrytego życia, Jony byłby na to przysięgł; było tylko silniejsze poczucie tej mocy, której nie rozumiał.

Voak raz jeszcze rozpoczął marsz, tym razem ku widniejącemu przed nimi skalnemu otworowi. Tamci podążali jego śladem, w nie zmienionym od opuszczenia obozu kierunku. Jony poczuł się z lekka oszołomiony, miał takie wrażenie, że nie może już jasno myśleć.

Nad ich głowami widniało teraz sklepienie bramy. Światło tam dochodzące pozwalało dostrzec tylko chodnik z kamieni, ściany wokół. Droga, dochodząc w pozbawioną drzwi bramę, zwężała się raptownie.

Weszli tam, a gdy dzień pozostał za nimi, ciemności poczęły gęstnieć. Brak światła nie przeszkadzał członkom klanu, lecz dezorientował Jony'ego. Czyż nie było końca tym dźwiękom, tej drodze?

Nagle jakby oniemieli w jednej sekundzie, sparaliżowani jakimś niewidzialnym ciosem wszyscy trzej ucichli. Ręce Jony'ego powędrowały do uszu. Słyszał coś, jakieś pulsowanie podobne do uderzeń olbrzymiego kija nie mogącego zaznać spoczynku. Jony kiwał się teraz, a jego ciało zdawało się giąć w takt tego bicia i usłyszał potężny

krzyk wydobywający się z gardzieli Voaka. Dźwięk narastał i przyspieszał, aż w końcu uszy przestały cokolwiek rozróżniać; było tylko drganie, przenikająca go wibracja.

To co teraz nastąpiło, było równie zaskakujące jak ruchoma ściana w kamiennym podziemiu. Rozdarły się ciemności, pierzchły cienie, a spoza nich rozbłysło światło: czerwone światło, a nie szare, jak to, z którym Jony zetknął się w magazynach. Promieniowanie to również pulsowało, jak gdyby było częścią tej mocy, która spowiła go teraz tak, że wirowało mu w głowie, a w ciele czuł mrowienie.

Droga była wolna, Voak wciąż teraz w ciszy szedł dalej. W czerwonym, jarzącym się świetle jego futro przybrało dziwne zabarwienie. Otaczała je poświata utkana z wielu kolorów, które wirowały, nikły, przenikały, łączyły się i stapały w takim blasku, że trudno było je od siebie odróżnić. Tymczasem mrowienie wystawionej na promieniowanie, nagiej skóry Jony'ego już graniczyło z bólem.

Weszli do pomieszczenia nie różniącego się od tych podziemnych dróg, po których szedł z bliźniakami. Nie było jednak tak wielkie. A w samym jego środku...

Jony cofnął się. Była to odruchowa reakcja, na którą nie miał wpływu. Wszystko, od czego uciekł wtedy, kiedy wraz z Rutee uwolnili się ze statku, powróciło teraz i poczuł jak rozpala mu głowę. Środek tego okrągłego, wewnętrznego pomieszczenia czy też jaskini, w której stali, zajmowała klatka!

Nie mają chyba zamiaru go zamykać. O nie, już nigdy więcej w klatce! Niech go raczej zabiją!

— Nie! — wykrzyczał swój protest, obojętny czy Lud go rozumie, czy nie. Połączone siły Otika i Kapoora większe od jego oporu. Trzymali go znów za ramiona, popychali naprzód, choć walczył jak oszalały, by się uwolnić. Nie widział żadnego śladu otwartych drzwi do tego zakratowanego zamknięcia. Voak odsunął się na bok, przyglądając się bezowocnej szamotaninie chłopca.

Wódz klanu rzucił swój kij na podłogę i przemówił gestykulując rozkazująco.

— Ty patrzeć!

Jony podążył wzrokiem za ciemną łapą, którą coś wskazywał. Będąc teraz bliżej mógł dostrzec, że klatka była już zajęta — przez kości! Poniżej ziejących pustymi oczodołami czaszek leżały szerokie obroże. Te czaszki, te kości nie należały do Ludu. Były zbyt drobne. Któż więc był tu więziony aż do śmierci w tym miejscu, gdzie tańczące światło miało odcień krwi? A samo to migoczące światło wydostające się z otworu w podłodze za klatką — czym było?

Voak ciężko przysiadł i wepchnął grube ramię pomiędzy pręty szczelnie zamkniętej klatki. Jego palce zacisnęły się na najbliższej z szerokich obroży. Kiedy przyciągnął ją do siebie, kości rozsypały się. Podniósł się, a obroża zwisała mu na rękę niby ciężka, źle dopasowana bransoleta.

Wódz klanu zaczął teraz wolno, przesadnymi ruchami rąk, nadawać w mowie znaków. Tak jakby to, co miał do zakomunikowania, było wiadomością najwyższej wagi i jakby chciał, by Jony wyraźnie to zrozumiał.

— Lud — kciukiem wskazał swe własne baryłkowate ciało — to — pokręcił obrożą dookoła i gestem pełnym nienawiści i obrzydzenia przyłożył ją do siebie, jak gdyby chciał zapiąć na własnym karku. — My obroża albo umrzeć. Oni — pokazał kości w klatce — wkładać obroże, korzystać Lud. Oni — zawahał się niepewny, czy Jony go rozumie — znaleźć zły rzeczy, zły dla ludzie. Oni umrzeć szybko, tylko mało zostać. Lud nie umrzeć, Lud się wyrwać. Włożyć obroże na ludzie, wtedy oni robić, co Lud kazać. Oni już bardzo chorzy, umrzeć. Lud nie nosić obroże, nigdy więcej! — Jego końcowy gest zaprzeczenia przypominał pełną siły pogroźkę. — Ty patrzeć! — Voak trzymał teraz obrożę tuż przy twarzy Jony'ego, jakby dla pewności, by chłopak go dokładnie zrozumiał. Z krawędzi obręczy mocno ściśniętej w palcach Voaka

wyskoczył rząd sztywnych kolców. Przyglądając się im Jony domyślał się, i były one umieszczone wokół szyi tak, by wbijać się w ciało, gdy głowa próbowała się odchylić od wymuszonej, wyprostowanej pozycji. Voak pstryknął końcem palca najbliższy taki szpic. — Kieł — powiedział. — Ranić Lud, ‘on chceć... Ty — pełen przejęcia zlustrował Jony’ego badawczym spojrzeniem od stóp do głów raz i drugi — ty brać mały, być młody. Lud wziąć, pomagać, dawać jeść, dawać spać. Ale ty jak oni. Ty iść znaleźć obroże. Zmusić Lud robić, co ty mówić...

— Nie! — Jony głośno zaprotestował i starał się poruszać rękami, nadając najsilniejsze znaki zaprzeczenia, lecz tamtych dwóch nie oswobodziło go z uścisku na tyle, by mógł skutecznie wyprzeć się przypisanych mu zamiarów.

Voak wydawał się go nie słuchać. Obracał tylko obrożę w palcach, dokładnie się jej przypatrując. Nacisnął i obroża się otworzyła. Podczas gdy Otik i Kapoor trzymali Jony’ego unieruchomionego, Voak postąpił naprzód i zapiął ją na szyi chłopca. Obroża była luźna i leżała mu ramionach, a Jony pochylił głowę i wpatrywał się w nią pełen grozy.

— Ty nosić, ty pamiętać — Voak sygnalizował dalej. — Ty iść do nich znów, ty poczuć też kły. Lud nie zapomnieć. Ty nie zapomnieć!

Jony, uwolniony, sięgnął ręką, by szarpnąć obrożę. Była wprawdzie luźna, lecz sam jej ciężar sprawiał mu wielką przykrość i dziwnie jakoś zawstydział. Voak i tamci dwaj odwrócił się, jak gdyby osoba Jony’ego przestała ich obchodzić. Poszedł za nimi porażony innym, gorszym strachem, że zostawią go tu na zawsze, w miejscu, gdzie klatka stanowiła straszliwe ostrzeżenie przed próbą ujarzmiania Ludu.

Tam i z powrotem wodził palcami wokół obroży, szukając zapięcia, które Voak znalazł i otworzył. Ale tajemnica zamka wymykała mu się. Jony zrozumiał, że wódz wykonał dokładnie to, o czym mówił: chłopiec miał nosić ten symbol zniewolenia jako przestrożę. Jeżeli spróbowałby wrócić do kamiennego miejsca, mogłoby go spotkać coś jeszcze gorszego.

Nałożywszy nań ten upokarzający znak niewoli, cała trójka straciła zainteresowanie dla Jony’ego. Kiedy osiągnęli szczyt i zaczęli schodzić w dół, nie obejrzeni się wcale. Jony miał uczucie, że dla Voaka i reszty nie był członkiem klanu, że przestał istnieć jako ktoś im równy.

Otępiające zdziwienie ustąpiło miejsca wybuchowi gniewu. Voak i pozostali osadzili go, nie dając mu możliwości obrony. Cóż takiego zrobił? Poszedł do kamiennej siedziby, wszedł tam i znowu wyszedł z bliźniętami — i to wszystko!

A może, gdyby przyniósł ze sobą ten czerwony pręt, który Geogee wtedy znalazł, wówczas...

Jony zatrzymał się. Jego sen! Takie odczucia miał w tym śnie. Z prętem w rękę mógłby wydawać rozkazy, a oni słuchaliby go. Poczul, jak palce zaciskają się i spojrzął na swoją dłoń. W myślach przez chwilę wyobrażał sobie, że trzyma pręt. Gdybyż tak było; rozpalony gniewem na ten ciężar, który nałożył na niego Voak, Jony mógłby nosić tę broń obcych, użyć jej.

Nie! Chłopiec energicznie potrząsnął głową, jakby zaprzeczając, mógł odegnąć swe pragnienia, którym na chwilę uległ. Co byłby zrobił Wielkim, gdyby był od nich wówczas silniejszy, miał większą moc? Czymże w swym strachu przed powrotem Ludu do niewoli Voak różnił się od niego?

Tak, lecz na statku Jony miał do czynienia właśnie z tymi, którzy uwięzili ludzi i zgotowali im straszliwy los mentalnie sterowanych. A on sam nie zagrażał przecież Voakowi i pozostałym...

Ich niechęć musiała zostać wywołana fizycznym podobieństwem Jony’ego do tamtych ludzi do tych na ściennych malowidłach, do kobiety z kamienia. Lecz skąd Voak o tym wiedział? Mimo całej swojej awersji być może Lud badał kamienne

miejsce, widział tamte obrazy i wyczekującą kobietę. Jony był jednak przekonany, że raczej nie. Cała ta kraina była dla Ludu nowa. Skąd więc Voak i pozostali wiedzieli, że Jony przypomina ich dawnych rogów? Pamięć o wydarzeniach może być przekazywana z pokolenia na pokolenie za pośrednictwem podań i mitów. Lecz jeśli Voak i inni pamiętali swych byłych panów z nienawiścią, dlaczego w takim razie Yaa w ogóle przyszła Rutee z pomocą? Jeżeli ta dawna nienawiść do rodzaju ludzkiego wiązała się jedynie z wyglądem, Yaa zignorowałaby uciekinierów, zostawiając kobietę i dziecko samym sobie, skazanych na śmierć w tym obcym, wrogim świecie.

A jednak do czasu, kiedy on i bliźnięta poważyli się wyruszyć do kamiennej siedziby, cała ich trójka była przez Lud uznawana za swoich, spokojnie i bez pytań. Wydawało się, że Jony i dzieci byli po prostu traktowani jak żywe istoty odmienne od nich samych. Czy Voak sądził, że pójście do kamiennej siedziby obudziło w Jony' m pragnienie tej potęgi, za pomocą której panowali dawni ludzie?

Gdy tak rozpatrywał jedną po drugiej różne możliwości, starając się wytłumaczyć postępowanie, którego nie mógł zrozumieć, jego gniew ustąpił. Voak niesłusznie się go obawiał, lecz on, Jony, nie mógł wiedzieć, jaki to długotrwały lęk i groza rządziły Ludem. Voakowi i innym mógł się teraz jawić jako wróg lub co najmniej ktoś, kto musi być pod nadzorem.

Co by się stało, gdyby Jony poszedł w ślad za nimi do obozu klanu? Nie sądził, żeby przypuścili na niego atak. Coraz bardziej upadając na duchu, Jony zaczął się domyślać, co mogłoby się zdarzyć. Podobnie jak to zrobili ostatniego wieczora, traktowaliby go tak, jak gdyby go nie było. Nigdy dotąd nie zaznał takiej kary. Zazwyczaj szybko wymierzali sprawiedliwość i zapominali o sprawie. Lecz przebywać z klanem, równocześnie do niego nie należąc... A co z Mabą i Geogee'em? Czy i na nich spadnie to unicestwiające odium?

Jony opadł na najwyższy stopień. Tamci doszli tymczasem do podnóża wzniesienia. Nie obejrzeni się ani razu, nie okazali mu żadnego zainteresowania. Czuł się nawet bardziej samotny niż wówczas, kiedy siedział przycupnięty u boku Rutee, niezdolny, by ulżyć jej cierpieniom. Uniósł rękę do tego upokarzającego pierścienia wokół szyi. Dopóki będzie to nosił, będzie się czuł, jakby był naprawdę w klatce, nawet jeśli cała ta kraina będzie stała przed nim otworem.

Voak z towarzyszami zniknęli, zdecydowanie krocząc z powrotem drogą, którą przyszli. Jony nie zrobił ani kroku, by zejść na dół, podążyć ich śladem. Siedział z łokciami na kolanach, z głową wspartą na rękach. Zamknął oczy. Musiał się zastanowić.

Nie miało sensu unosić się gniewem. Voak i inni musieli postępować zgodnie z tym, co uważali za najlepsze dla klanu. Jony nie mógł oceniać ich działań, skoro tak niewiele wiedział, co się za nimi kryje. Starał się teraz przywołać, z najdrobniejszymi szczegółami, ten obraz na ścianie, gdzie ukazany był Lud w pętach lub zamknięty w klatkach. Wówczas tak prędko koło niego przeszedł, że pozostało mu tylko niejasne wrażenie. Jedno było pewne, że przedstawiony tam Lud różnił się od klanu, który Jony znał. Żadna z namalowanych postaci nie chodziła wyprostowana, na dwóch nogach. Wszyscy stąpali po ziemi, używając tylnych i przednich łap. To była zasadnicza różnica, jaką mógł przywołać z pamięci.

Czy Lud zmienił się po odzyskaniu wolności? Czy był może zmuszony przez swych ciemniejszych do zwierzęcych zachowań? Jony wzdrygnął się. Wielcy robili czasem te rzeczy z mentalnie sterowanymi. Rutee mówiła mu, że Wielcy nie uznawali ludzi za nic więcej niż zwierzęta, zwierzęta, które należy złamać, nagiąć i wykorzystać do własnych celów, panować nad nimi. Zgrozę, jaką to w niej budziło, zaszczepiła i jemu, choć był taki mały. Nawet jeśli nie wiedział, jak wyglądało życie zanim Wielcy opanowali kolonię, zdawał sobie przecież sprawę, że był inteligentną

istotą.

Czy Lud też był mentalnie sterowany? Czy może z równie wielką jak Rutee zgrozą wspominał traktowanie przez obcych z pogardą, jak zwierzęta? Czy ludzie z kamiennego miejsca byli spoza tego świata? Musieli zamieszkiwać tu przez dłuższy czas, by zbudować swą siedzibę. A dokąd biegnie kamienna rzeka? Do drugiej kamiennej siedziby, leżącej w jakimś bardziej odległym miejscu? Mieli statki; to było na obrazach.

Jony poczuł ból głowy; był zarówno głodny, jak spragniony. Nie mógł się pozbyć uczucia ciężaru przygniatającego ramiona. W tych chwilach zamętu i rozpaczki wiedział, że nie może wrócić do obozowiska, w każdym razie nie teraz. Voak nazначzył go symbolem zniewolenia. Musiał się jakoś od tego uwolnić przed powrotem; uwolnić od obroży w taki sposób, by Voak i pozostali nie mogli mu jej znowu nałożyć.

Usiadł wyprostowany. Świat rozciągający się poniżej wydawał się bardzo szeroki, rozległy i opustoszały! Od tamtej nocy, kiedy znalazła ich Yaa, nigdy jeszcze nie żył z dala od Ludu. A przedtem, mimo że ich klatki były od siebie oddzielone, była zawsze Rutee. Myśleć teraz o sobie jako o kimś absolutnie samotnym, to było uczucie niosące strach, strach nie przed czymś, co można by odczuć namacalnie, lecz w dziwny jakiś sposób przed ziemią i nie przed całym leżącym wokół niego światem.

Bezczynność nie rozwiąże jego problemów. Nie przyniesie też rozwiązania powrót w to miejsce, gdzie stała klatka— jeżeli udałoby się tam powrócić. Musiał znaleźć jedzenie, wodę i kij. Bez niego ręce wydawały się i bezużyteczne.

Nieproszony, niechciany poczuł, jak raz jeszcze biega mu przez myśl czerwony pret. A z nim potęga większa niż w jakimś kiju... NIE! Wargi Jony'ego ułożyły się, by wypowiedzieć to słowo. Musi udowodnić Voakowi, że on i tamci ludzie z kamiennych miejsc, to nie jest jedno. Musi tego dowieść!

A teraz jedzenie, woda i narzędzia obrony — to najważniejsze. Z tym wszystkim byłby znów sobą, mógłby myśleć, planować, znaleźć jakiś sposób, by uwolnić się od metalowej obręczy tak ciężkiej na szyi. Z czasem może uda mu się odkryć tajemnicę zamka i zrzucić obrozę z siebie. Ale przede wszystkim musiał zwrócić ją klanowi tak, by zrozumieli, że nie zasłużył na takie piętno.

Ostrożnie opuszczał się po stopniach do drogi u podnóża grzbietu. Obóz leżał na lewo. Jony ostro skręcił w prawo.

VIII

Strumień, na który natknął się Jony mógł być tym samym strumieniem tworzącym poniżej wodospad, gdzie pluskali się i zabawiali Maba i Geogee. Tylko że teraz sprawy inaczej się przedstawiały. Idąc wolno, Jony poszukiwał pod odwróconymi, obmywanymi wodą kamieniami, muszli małych małży, by zaspokoić głód. Potem ze stulonych i dłoni napił się do syta wody.

Wędrując wzdłuż brzegu strumienia, żuł gorzkawe liście, których garść zerwał z dobrze sobie znanej rośliny wchodzącej w skład pożywienia klanu. Odsunął na razie siebie wszystkie pytania, postanawiając skupić się na tym, co było tu i teraz; nie mógł jednak zapomnieć o ciężarze na szyi ani o tym, co on oznaczał.

Pożywienia wzdłuż strumienia było tak dużo, że Jony nie miał ochoty opuszczać jego brzegów. Znajdował też kawałki niesionego wodą drewna, które mogłoby nadawać się na kij. To dziwne, ale jakoś nie dowierzał zbielałym, wyglądzonym wodą kształtom. Nie, powinien był odejść stąd, skierować się do miejsca, gdzie rosną prawdziwe drzewa, by tam wyszukać to, czego potrzebował.

W chwili gdy miał odejść od brzegu, między skałami na wprost dostrzegł coś jasno połyskującego. Podszedł z zaciekawiony. Kawałek drewna? Nie, wzdłuż jego boku złuszczyła się warstwa pokrywającego nalotu, powodując odbłask słońca, który go zwabił. Nie przypominało to żadnego drewna, które znał.

W rzeczywistości mogło to nie być wcale drewniane. Gdy Jony wyciągnął go ze szczeliny, do której wpadł, a raczej został wtłoczony przez prądy wodne, prosty ten pręt okazał się cięższy od wszystkich kijów, jakie kiedykolwiek miał w ręku. Okrywająca go warstwa, widoczna wózków lśniącego nacięcia, okazała się zaschniętą gliną zmieszaną z jakąś czerwoną substancją plamiącą ręce. Jony kucnął, wybrał kamień i zaczął odrapywać swoje znalezisko, a wytrwałe starania ukazywały coraz więcej czegoś, co zdaniem, musiało być z pewnością metalem. Nie był pręt dłuższy od tych czerwonych, śmiercionośnych z kamiennego miasta, lecz całkiem innego koloru. Nie przerywał czyszczenia — najpierw pocierał powierzchnię kamieniem, potem garściami piasku. W końcu trzymał w coś, co przypominało kije członków klanu, choć było krótsze. Miało nawet jeden koniec zakrzywiony, lecz w zupełnie inny sposób, nie przypominający wcale użytecznych haków na kijach. Ta krzywizna miała zaostrzoną krawędź, stanowiącą o wiele groźniejszą broń niż najostrzejsze kije klanu, używane zarówno jako broń, jak i narzędzie.

Powierzchnia metalu pokryta była wgłębieniami. Gdy Jony uniósł pręt w górę, i rzucił nim w najbliższą wielką skałę, nie pękł ani się nie zgiął. Pozostawił natomiast na skałę ślad po uderzeniu. Jony zabrał się za dalsze czyszczenie; tym razem za pomocą liści ścierał piasek i resztki czerwonego pyłu. Miał teraz być tego pewien — jakieś specjalnie wykonane narzędzie, przypuszczalnie przez ludzi kamiennej siedziby. Nie było ono jednak napełnione mocą, jaką miały czerwone pręty. Z kształtu był to po prostu kij, a w rzeczywistości prawdziwa dzida, o jakiej zrobieniu nie miał nawet co marzyć.

Jony wodził palcami po leżącym na kolanach pręcie. Przyjemny w dotyku, dobrze leżał w ręku, przylegając ściśle mimo wgłębien w metalu. Odpowiadała mu też waga i kształt zakończenia. Ostre krawędzie na czubku mogły mieć wiele zastosowań. Nie wziął tego z podziemnych magazynów, nie wydawało się więc zakazane. Dawno temu pewnie zostało zgubione lub wyrzucone jako bezużyteczne. Jony zatem podjął decyzję.

Dobre czy złe, należało do niego. Znalazł to i oczyścił. Jeżeli zmuszony jest teraz

ruszać na samotną wędrówkę w świat, jest to najlepsza broń, jaką można mieć...

Tylko... Ciebie na piasku przyniósł ostrzeżenie! Jony tak był zaabsorbowany znalezionym skarbem, że zaniedbał swego najważniejszego środka obrony — nie nastawił umysłu na czuwanie. Nie miał nawet czasu, by zerwać się na nogi i odeprzeć atak nadchodzący z powietrza.

Rozległ się pisk tak wysoki i przeraźliwy, że aż go uszy zabolowały. Ptak vor skrzeczał, triumfując głośno, rozpostarł szpony, wyginał głowę na wszystkie strony. Jony zamachnął się dzidą w szaleńczej nadziei udaremnienia ataku. Ponad pierwszym napastnikiem widział dwie inne sztuki tego samego gatunku szybujące w pobliżu; były to prawdopodobnie na wpół już podrośnięte młode.

Gwałtowny zamach dzidą zbiegł się z nurkującymi lotem drapieżnika. Tylko czysty przypadek, a nie świadomy zamiar, sprawił, że Jony wycelował ostrym zakrzywionym końcem. Cios był tak gwałtowny, że Jony przewrócił się jak długi i leżał porażony strachem. Całkowicie bezbronny, mógł teraz tylko czekać, aż vor uderzy, by zadać mu śmierć.

Cios jednak wytrącił ptaka z równowagi, zachwiała linię jego lotu. Znowu wydał z siebie wrzask, lecz już nie triumfu, a cierpienia. Jedna z ogromnych nóg luźno zwisała. Z głębokiej rany od ostrza tryskała krew.

Ciężko bijąc skrzydłami, vor uniósł się w powietrze. Jony pozbierał się i oparł plecami o najbliższą skałę. Dwa pozostałe ptaki nurkowały teraz, by spotkać swym się ze towarzyszem. Nie było to jeszcze ocalenie, a tylko chwila wytchnienia.

Dzida ociekała krwią, lepiała się do rąk. Zmienił na chwilę uchwyt, wytarł rękę o bok spódniczki. Trzy ptaki — skoro zaczęły bój, nie zaprzestaną. Nie miał żadnych szans.

Ranny ptak krzycząc, znowu nurkował. Ale tym razem Jony był gotowy. Poznał już trochę możliwości nowej broni. Trzeba by jednak wielkiego szczęścia, by po raz drugi udało się zadać skuteczny cios. Zmusił się, by poczekać z uderzeniem aż do ostatniej chwili, później zamachnął się z całej siły, celując w wyginającą się szyję szalejącego ptaka.

Tym razem chybił celu, lecz zakrzywione ostrze uderzyło mocno w skrzydło w pobliżu jego nasady. Siła ciosu odrzuciła ptaka. Teraz mógł używać tylko jednego skrzydła; machał nim jak szalony i wrzeszczał, robiąc straszny zgiełk. Nie mogąc się utrzymać w powietrzu, opadł pomiędzy skały po drugiej stronie strumienia, tam walnął głucho o ziemię, wrzasnął, a krew chlusnęła z obu ran. Jony, nie dowierzając swemu ocaleniu, nie miał czasu się temu przyjrzeć. Podniósł głowę, by obserwować dwa pozostałe ptaki. Równocześnie uruchomił swój zmysł rozkazywania. Podobnie jak to było z Ludem, nie mógł siłą narzucić swej żadnym żywym istotom tego świata. Mógł jednak trochę zbić je z tropu, sprawić zamęt.

Para ptaków nadal krążyła mu nad głową. Nie wyczuwał żadnych oznak zbliżającego się ataku. Może dlatego, że jeszcze młode, ptaki te były mniej pewne, ostrożniejsze od swego dorosłego pobratymca. Jony wcisnął się pomiędzy dwie skały. Na otwartym terenie czuł się obnażony. I choć skały sięgały mu zaledwie do ramion, stojąc między nimi czuł się bezpieczniej. Z bronią w ręku wyczekiwał.

Nagle stężał. Jeden vor zdecydował się. Jony dostrzegł lekką zmianę w jego locie oznaczającą atak. Choć mniejszy od rannej sztuki, która stale jeszcze krzyczała i podrygiwała tam, za wodą, i on był groźnym przeciwnikiem. Jony mocno ujął dzidę, wiedząc, że znowu trzeba czekać. Jak dotąd tylko swej doskonałej broni zawdzięczał ocalenie, tego był zupełnie pewien. Ale nie mógł liczyć na to, że szczęście nadal będzie mu dopisywało. Musi być gotów do...

Vor runął w dół, tym razem cicho, bez ostrzeżenia. Jony przygotował się do zadania ciosu. Pomyślał, że szansa trafienia w szyję jest niewielka, ale poprzedni

udany cios w skrzydło podsunął mu teraz myśl, by ponowić taką obronę. Znów więc zamachnął się energicznie.

Raz jeszcze cios sięgnął celu. Vor wrzasnął i runął na skały z głuchym uderzeniem. Jony wykorzystał okazję! Wyskoczył spoza swej skalnej osłony i zadał ptakowi szereg ciosów. Jeden z nich trafił w miotającą się głowę i zmiażdżył ją.

Ciężko dysząc, Jony wrócił do swej lichej kryjówki rozglądając się za trzecim i ostatnim ptakiem. W przeciwieństwie do swych współtowarzyszy nie zamierzał on toczyć walki. Zamiast tego, pohukując żałośnie, zatoczył dwa kręgi i odleciał. Jony wpatrywał się w bliższego ptaka, który jeszcze drgał i w drugiego wciąż walczącego ze śmiercią po drugiej stronie wody. Dwa ptaki vor! Ocalenie oszołomiło go. Broń lepiła się od krwi, jeszcze więcej krwi było na nim i na skałach dookoła. Lecz był uratowany! Osłabiony oparł się o kamienie.

Samce z klanu zabijały atakujące ptaki vor, owszem. Ale zawsze zespołowo, działając zgodnie z obmyślony planem obrony. Jony nigdy nie słyszał, by ktokolwiek z Ludu sam pokonał dwa takie drapieżniki.

Vor leżący w pobliżu znieruchomiał w końcu. Natomiast tamten po drugiej stronie strumienia jeszcze słabo się poruszał, ginął z upływu krwi. Jony zmusił się, żeby postąpić kilka kroków naprzód i używając ostrego zakończenia dzidy, szturchnął ciało leżącego obok ptaka. Vor nie dawał żadnych oznak życia.

Obrzydliwy odór i widok krwi przyprawił Jony'ego o mdłości. Poszedł kawałek w górę strumienia. Tu nie tylko oczyścił swą nową broń piaskiem i wodą, lecz umył spocone ciało i wypłukał zaplamioną spódniczkę, tak by nie pozostał najmniejszy ślad krwi jego ofiar.

Dostrzegł jakiś ruch w dole strumienia. Było tam kilka padlinożerców, które zawsze przodują w znajdowaniu ciał martwych zwierząt, więc i teraz spieszyły do leżącego w cieniu skał zabitego ptaka. Do jutra pozostaną z niego tylko dobrze oczyszczone kości. Jony zmierzył wzrokiem złowrogie szpony potwora. Mógłby poczekać w pobliżu, a kiedy biesiadnicy zrobią swoje — zabrać to zdobyte w walce, a przydatne trofeum, na które zasłużył.

Nagle na jego twarzy ukazał się ponury uśmiech. Choć Lud nie przyozdabiał się nigdy niczym, z wyjątkiem swych siatek z jedzeniem, Jony'emu zaświtał pewien pomysł. Może te szpony zawiesić na swojej obroży. Jeżeli kiedykolwiek powróciłby do klanu i mógłby się uwolnić od tego jarzma, które mu nałożyli, to sprawiłoby mu wielką przyjemność, by do tego ciężaru, mającego być dla niego karą i ostrzeżeniem, dodać dowody swojej zdolności do samodzielnego przeżycia.

Ta dzida nie ma takiej drugiej! Pieszczotliwie wodził po niej rękami tam i z powrotem, omijając ostre zakrzywienie na końcu. Potem zajął się z wielką uwagą zbadaniem zaostrego haka. Był on ukształtowany na podobieństwo kła. Jony nie był przez naturę wyposażony w takie narzędzie walki, jakie tkwiło w szczękach Ludu. Lecz teraz mógł się pochwalić posiadaniem kła i używać go należycie...

Rozsądek nakazywał wycofać się w górę strumienia. Martwe ptaki mogą przyciągnąć nie tylko drobnych padlinożerców zaprzątniętych jedzeniem. Jony chciał się też uwolnić od zapachu krwi i śmierci. Znajdzie sobie jakieś miejsce, gdzie przygotuje legowisko na noc. I tylko nie wolno mu więcej dopuścić do takiego stanu zapomnienia, by nie wiedzieć, co się wokół niego dzieje. Ta głupia pomyłka o mało co nie sprawiła, że to on służyłby teraz za pożywienie śmiercionośnym potworom. Musiał się nauczyć mądrze używać swego zmysłu.

Znalazł między skałami odpowiednie miejsce i dokonał kilku wypraw na trawiasty teren, rwąc sztywną trawę i całymi naręczami znosząc ją na miejsce, moszcząc nią sobie legowisko. Miał się teraz przez cały czas na baczności tak przed powrotem ptaka vor, jak i przed innymi zagrożeniami mogącymi czyhać w tym obcym terenie.

Było jeszcze daleko do zmroku, kiedy nazbierał owoców z paru wysoko rosnących krzaków i wrócił do obozu. Ziemia obfitowała tu w pożywienie, ale nie było śladu, by jakiś klan tedy wędrował. Możliwe, że siedliska ptaków vor były zbyt blisko, by Lud, przyzwyczajony do wałęsania się w grupkach po dwóch lub trzech, czuł się tu bezpiecznie.

Kiedy Jony ułożył się w swej kryjówce, pomyślał znów o Mabile i Geogee'u. Voak oznajmił, że bliźnięta nie będą odpowiadać za to, że wybrały się do kamiennego miejsca. Jony miał więc nadzieję, że nie zagraża im wygnanie, które spotkało jego. Yaa poradzi sobie z Mabą, a Voak prawdopodobnie będzie miał oko na Geogee'a. I żadnemu z bliźniąt nie wolno będzie powrócić do kamiennego miejsca.

Wszystkie pytania, które nękały go rano, nadal oczekiwały odpowiedzi, jeżeli będzie mógł je kiedykolwiek znaleźć. Główny problem, który go teraz zaprzętał, to pytanie, czy ta obroża oddzieli go na zawsze od Ludu?! Nie chciał rozważać, co takie odcięcie mogłoby oznaczać, nie umiał jednak odegnać tej myśli.

Zawsze i wciąż być samotnym! Mógł być tu w pobliżu inny klan. Istniały inne klany, stykał się z nimi podczas organizowanych od czasu do czasu spotkań. Przypuszczał jednak, że dopóki będzie miał tę obrożę, nikt z Ludu go nie zaakceptuje.

Jony kręcił się niespokojnie w swym gnieździe. Co innego było spędzać tak noc, wiedząc, że w zasięgu ręki leżą towarzysze. Nigdy jednak nie był sam. Leżał teraz na plecach z zamkniętymi oczami, lecz nie spał. Zamiast tego wędrował z powrotem tam, gdzie wiodła go pamięć. Myśląc o przeszłości, uciekał od chwili obecnej. Na początku starał się wyobrazić sobie, zobaczyć ze ogółami laboratorium na statku. Umiał zawsze wywoływać na żądanie obrazy różnych scen. Jakie było jego pierwsze, najdawniejsze wspomnienie?

Znajdował się wraz z Rutee w jej klatce. Cierpliwie i bez końca opowiadała mu, kim był, jak się tu dostali. Byli kiedyś tak samo wolni jak Lud. Potem przybyli Wielcy i uwięzili ich w klatkach. Niektórych Wielcy zabijali powoli obserwując, jak umierają. Rutee robiło się słabo, gdy to opowiadała, ale zmuszała go do słuchania. Inni byli mentalnie sterowani. Lecz nie ze wszystkimi się to udawało. Rutee była na to odporna, a on sam w jeszcze większym stopniu. Ze świata Rutee Wielcy powędrowali przez przestworza, odwiedzając też i inne światy. Byli też inni jeńcy, choć żaden z nich nie przypominał ludzi takich jak Rutee. W końcu dostali się tutaj, Rutee jednak nie wiedziała, gdzie jest to „tutaj”.

Nocą pokazywała Jony'emu gwiazdy, wskazując tę czy inną. Lecz mówiła, że leżą nie tam, gdzie „powinny”, że żadna z nich nie przypomina gwiazd widzianych w jej dawnym świecie. Wynikało stąd, że statek Wielkich zawiózł ich daleko od kolonii, w której mieszkała poprzednio. Nie było możliwości, żeby kiedykolwiek wrócić, spotkać się z ludźmi własnego gatunku.

Ludzie ci mieli własne statki do podróży w przestworzach. Odlecieli kiedyś ze świata, który był ich własnym, zasiedlili inne światy. Robili tak przez długi czas. Rutee nie była już nawet pewna, gdzie był ich pierwotny, macierzysty świat. Nie był to ten świat, gdzie ona i Bron urodzili się, z którego wyruszyli, by wziąć udział w tworzeniu następnej kolonii. Daleko i dawno...

Czy to nie mógł być ten świat? Czyż nie dlatego on, Maba i Geogee wyglądali tak jak ludzie z kamiennej siedziby? Lecz Rutee nie знаła Ludu ani nigdy o nim przedtem nie słyszała. Mógł to jednak być jeden ze światów, który ludzie kiedyś odkryli, w którym żyli.

Jony wspominał teraz czas, kiedy wędrowali wraz z Ludem; stawał się usilnie przywołać w pamięci każdy najmniejszy skrawek obrazu. Z bezradnych niemowląt, Maba i Geogee wyrosli na większe, bardziej myślące stworzenia. Rutee zawsze rozmawiała z Jonem o ludzkim rodzaju. Miała nadzieję, że któregoś dnia jakiś

przypadek przywiedzie tu ich zwiadowczy statek. Nauczyła go więc mowy swego ludu, a nawet rytych na korze czy pasku znaków, które niosą i przekazują znaczenie słów, nawet wówczas, gdy się zapomni te słowa.

Później Rutee umarła. Bardzo mu jej brakowało. Były jednak bliźnięta, był klan. Nie był sam. Usiadł nagle z otwartymi oczami, walcząc ze strachem i samotnością. Zaciśnął ręce na swej wspaniałej broni. Był wykończony. Stoczył, i to sam jeden, taką bitwę, w jakiej mało kto z Ludu kiedykolwiek uczestniczył. Miał bezpieczny obóz. Lecz — nosił obrożę.

Gdyby tylko więcej wiedział! Czy mógłby, czy poważylby się wrócić do kamiennego miejsca, by tam szukać prawdy? Może ci inni ludzie — jeżeli byli z tego rodzaju, co i on — zrobili znaki dla swych słów. Martwi nie mogą mówić, lecz za nich mogą przemówić znaki. Czy Voak i klan dowiedzieliby się, gdyby spróbował podjąć taką misję?

Jony miał nadal jasno w pamięci ostrzeżenie Voaka. koro jednak został wygnany, cóż za znaczenie może mieć dla Voaka jego powrót w tamto miejsce. Jony nigdy nie zwróciłby się przeciw klanowi, nie mógłby.

Maba, Geogee? A jeśli Voak użyłby ich, by ukarać Jony'ego za złamanie nałożonego nań zakazu? Nie, nie ma tam powrotu, w każdym razie nie teraz. Nie wolno mu zrobić nic, czego wódz klanu mógłby użyć przeciwko bliźniakom.

Gdzie w takim razie teraz iść? Mógł wędrować szlakiem klanu, podążać za nimi. Ale nie miał ochoty, nie na ich warunkach. Albo powróci w pełni, na dotychczasowych prawach, jako jeden z nich, albo będzie się trzymał z dala.

Jony energicznie kiwnął głową, choć nie było nikogo, kto by był świadkiem podjęcia tej decyzji. A więc: rano skieruje się w górę strumienia, biorąc jego bieg za przewodnika. Powiedzie go to ku wyższym wzgórzom, w kierunku gór, gdzie ziemia zdaje się rzucać wyzwanie niebu i nocnym gwiazdom. Może odkryje drugie kamienne miejsce i nie będące pod obserwacją klanu Voaka. A tam... Jony nie wiedział, co mógłby tam robić, co tak naprawdę chciałby w ogóle robić. Lecz lepiej było ruszyć naprzód niż sterczeć tu czekając lub wlec się za klanem tak, jak gdyby prowadzili go na smyczy przyczepionej do tej upokarzającej obroży i kierowali jego krokami zgodnie ze swoją wolą.

Jakże teraz żałował, że nie przyjrzał się z większą uwagą obrazom w podziemnym magazynie. Skrzywił się z niezadowoleniem na myśl o straconej sposobności. Dziwne — choć była tam moc, doznania nie były tak silne jak te, które odbierał w podziemiach z klatką.

Czy tamto uczucie to była moc nienawiści związana z samą klatką, nienawiści Ludu, nienawiści tych, którzy tam pomarli? Jony zawsze wyczuwał uczucia, a nawet fizyczny ból, który ogarniał Rutee czy bliźnięta. W znacznie mniejszym stopniu odczuwał ból i problemy nękające klan. Lecz czy takie uczucia mogą nadal istnieć po śmierci?

Kamienna kobieta — czy wstrząs, jakiego doznał w zetknięciu z jej ręką, był jakimś zapamiętanym uczuciem przekazanym z tamtej chłodnej, niewzruszonej dłoni do jego żywej czy może czymś innym? Tak mało wiedział. Jony płonął z niecierpliwości podobnie jak tamtej chwili, gdy zawrzał w nim gniew po wydaniu wyroku przez Voaka. Tak wiele jeszcze musiał zrozumieć! Pragnienie wiedzy męczyło go teraz jak prawdziwy ból.

Jak umierali tamci jeńcy w klatce? Szybko czy powoli? Czy zginęli z głodu i pragnienia? Czy też załamani i więzieni aż duch w nich upadł, nie mieli już w sobie dość woli, by dalej żyć?

Jego obroża — Jony przyłożył obie ręce do pierścienia na szyi. Czy ta metalowa obręcz kryła w sobie moc dawnych doznań? Niczego bezpośrednio nie wyczuwał. Nie

więcej niż z dotyku swej nowej dzidy, jej ostrza zwieńczonego śmiercionośnym kłębem.

Powoli przekreślił obrożę dookoła, uważając, żeby jakieś dotknięcie nie zwolniło będących narzędziem tortur kłów, które pokazał mu Voak. Powierzchnia pod palcami była gładka. W odróżnieniu od dzidy nie było tam żadnych zagłębień. Obręcz wyglądała na zupełnie nową, choć — jak przypuszczał — była w wieku niemożliwymi do określenia.

Nie odkrył w niej żadnej mocy. Gdzież więc tkwiło źródło owej mocy tam, w podziemiach z klatką. Czy była wywołana dźwiękami, które wydawali trzej członka klanu, waląc kijami i krzycząc?

Jony spróbował tego sam. Tępy koniec dzidy zaczął lekko stukać w skały osłaniające jego legowisko, starając się zachować tę samą szybkość, z jaką robili to Voak i tamci dwaj. Drzenie przenikało przez dzidę do ramienia, lecz nie doznał tamtego uczucia mrowienia.

Może więc doznania płynęły z czerwonego światła. Czy można korzystać z takiej mocy, przetwarzając ją we własną skoncentrowaną energię? Jaki sens miały te domysły? Jony nie miał zamiaru szukać pieczary z klatką. Przeciwnie, wołał wędrować tak daleko od tego miejsca, jak tylko się dało.

W ciągu paru minionych dni w jego umyśle tłoczyły się pytania zdolne przyprawić o ból głowy. W czasie wszystkich dotychczasowych wędrówek z Ludem Jony nigdy nie rozmyślał o sprawach nie związanych z tokiem codziennego życia. I — rzecz zastanawiająca — czuł się tak, jakby właśnie obudził się z jakiegoś dziwnego snu. Po śmierci Rutee nie dzielił się swymi myślami z bliźniętami. Były dla niego nie tyle żywymi osobami, co zadaniem do wykonania. Miał nad nimi czuwać, a nie przekazywać im własne wątpliwości czy niepewność. Zaś ograniczony kontakt z Ludem zamykał się w granicach tego, co niezbędne w codziennym życiu.

Tak więc zarzucił wiele pytań, na które nie było odpowiedzi. Odkrycie rzeki z kamieni odmieniło Jony'ego, skruszyło jakąś skorupę. Był zawsze inny, ale bezlitośnie starał się tłumić tę różnicę, upodobnić się do Ludu na tyle, na ile się dało. Teraz, na wygnaniu, różnice odżyły. Obudziła się w nim wiec wyobraźnia, napierały pytania za pytaniami.

Wraz z przebudzeniem przyszedł niepokój. Nie mógł zasnąć. Chciałby przechadzać się tam i z powrotem w świetle księżyca, pod tymi gwiazdami, których nie znała Rutee, starając się stłumić nękające go myśli.

Jony nie był już z siebie zadowolony. Był rozstrojony, zdenerwowany. Musi gdzieś znaleźć jakąś odpowiedź... gdzieś...

Zwrócony był twarzą w dół strumienia, lecz spoglądał też w niebo. Vor nie atakuje nocą, jego umysł nie wyczuwał żadnego zagrożenia.

Nagle niebo przeszył na wskroś oślepiający ogień.

Co?!

Jony zacisnął ręce na swej broni tak mocno, aż kostki mu pobieleły. Zatrząś się, tak jakby zatoczył się w jakimś potężnym podmuchu.

To chyba dzięki swej rozbudzonej świadomości wiedział, jakimś sposobem widział!

Czy Rutee opowiadała mu o tym kiedyś? Tego nie pamiętał. Lecz był pewien, jak gdyby był świadkiem lotu że był to statek z przestworzy! I zamierzał lądować!

— Wielcy!

Pełem, nienawiści zacisnął usta, wstał z podniesioną, gotową bronią. Nie!

Ogień przemknął i zamilkł. Jony wyteżył słuch, by pochwycić dźwięk. I wydało mu się, że dosłyszał daleki odgłos ryku. Tak, statek wylądował. Teraz Wielcy wyruszą na swe łowy. Lud, bliźnięta — nie mają pojęcia, do jakich bestialskich czynów są zdolni Wielcy. Jony musi wrócić do klanu, zmusić ich, by go wysłuchali! Obroża czy

nie — muszą go wysłuchać.

I już biegł lekko po piasku drogą z powrotem. Jedyne co miało teraz dla niego znaczenie, to obawa czy zdąży, zanim Wielcy wyruszą na poszukiwanie swej zdobyczy.

IX

Paskudny upadek przywrócił Jony'emu przytomność umysłu. Głupotą było tak pędzić na oślep przez nieznaną krainę, na nic nie zważając. Usiadł na ziemi, opatrując kaleczoną gołęń i wpatrując się we wrogą już teraz ciemność.

Nie można było ocenić, jak daleko stąd wylądował statek. Prawdopodobnie poszybował w dostatecznie odległe od obozowiska klanu miejsce i cały ten strach był nieuzasadniony. Jednak z opowieści Rutee Jony wiedział, że Wielcy prócz swych statków mieli jeszcze inne środki przemieszczania się. W wielkich statkach wozili mniejsze, które poruszały się po każdym terenie, miażdżąc wszystko przed sobą, lub — w razie potrzeby — unosiły się w powietrzu.

Jak szybko mogą wyruszyć na poszukiwania?

Jony, w zdenerwowaniu, bębnił pięścią w ziemię. Trzeba się dostać do obozu, zmusić Voaka i pozostałych do wysłuchania go!

Czy kamienna siedziba nie przyciągnie Wielkich? Z czasów, gdy żył wśród nich, Jony wiedział, że interesowali się takimi miejscami na innych planetach, przywożąc stamtąd przedmioty starannie potem przechowywane.

Jony wstał i opierając się mocno na swej nowej dzidzie, uparcie pokuścił dalej. Pójdzie wzdłuż strumienia, który kierował się mniej więcej na południe. Jeżeli to był ten sam strumień, który przepływał obok obozu, będzie on dobrym przewodnikiem, nawet po ciemku. Lecz brzeg strumienia okazał się niezbyt łatwym szlakiem. Dwukrotnie zagroziły Jony'emu drogę spiętrzone skały, przez które torował sobie przejście, próbując tępym końcem dzidy każdy kamień zanim przeniósł nań ciężar ciała. Raz musiał obejść piętrzący się stos naniesionego wodą drewna; przeszkoda, której nie odważył się pokonywać w ciemności.

Bolała go noga, a ból się zwiększał, jeżeli zbyt obciążał. Jednak mimo wolnego tempa Jony zamierzał do rana dotrzeć do obozu. Nie mógł przecież odejść zbyt daleko na północ od czasu, kiedy Voak i tamci dwaj zostawili go.

Szare światło przedświtów wypełniało niebo, kiedy Jony doszedł do krawędzi wodospadu. W dole nie było śladu Ludu. Chłopiec o mało nie upadł na wystające z ziemi kamienie; równocześnie z pulsowaniem w nodze czuł znużenie w całym ciele. Musiał jednak opuścić się na dół obok wodnej zasłony.

Maba? Geogee? Przez chwilę igrał z myślą, by wołać umysły dzieci i za ich pośrednictwem przekazać ostrzeżenie. Jednak żadne z nich nie było zdolne do właściwego odbioru myśli, nie umiałyby jasno pojąć ich znaczenia. Mogłyby jednak zaprzagnąć go odszukać. A jeśli zrobiłyby to, naraziłyby się na niebezpieczeństwo, straciły opiekę klanu.

Nie odważywszy się działać za pośrednictwem bliźniąt, Jony musiał więc spotkać się z Voakiem twarzą w twarz.

Gdy jednak skoncentrował swe myśli na obozowisku, natknął się na zupełną nicość. Nie było nawet owego migotania towarzyszącego odpowiedziom Ludu na jego sondowanie myślą.

Jony wpadł w panikę; jeśli nie opanuje jej natychmiast, pogna go ona lekkomyślnie naprzód, prowadząc do nieszczęścia. Nic, nie było tam nic!

Wielcy! Najazd na obozowisko? Tak szybko?

Jony przyczołgał się do krawędzi i zaczął gramolić (dół, od skały do skały). Wcześniej skręconym włóknem przywiązał sobie broń z tyłu na plecach, żeby mieć obie ręce wolne. Dwa razy uderzyła o kamienie, brzęcząc tak głośno, że dźwięk słychać było nawet przez grzmot wodospadu.

— W dół, w dół. Był teraz blisko tego miejsca, skąd Maba została mimo swych protestów wywleczone na brzeg przez Ugę, która mocno trzymała małą za włosy. Jony kulejąc, szedł nadal z pustymi rękoma. Wkroczenie do obozu z dzidą na plecach będzie na pewno świadczyć o jego pokojowych zamiarach. Dysząc ciężko, wysyłał równocześnie swe myśli, by naprowadziły go na ślad miejsca, gdzie mógł obozować Lud.

Nie było tam nic, tak jak i nic nie było w zasięgu oku, kiedy wszedł na polanę wśród gąszczu, gdzie powinny być ich legowiska, ruch budzącego się Ludu.

Były tam legowiska, lecz puste. Jony podszedł bliżej. Zwiędnięte liście i trawa były zimne w dotyku. Wyglądało i to, że poprzedniego wieczora nie dodano świeżego listowia, tak jak to robiono zazwyczaj. A więc klan nie nocował tutaj. Musieli gdzieś wyruszyć!

Zabrali Mabę i Geogee'a, lecz dokąd?

Jony powoli okrążał obozowisko. Nie był szczególnie zdziwiony, kiedy w jego południowej części odkrył ślady wymarszu. Na pewno postanowili oddalić się od kamiennego miejsca i zmienić kierunek swej powolnej włóczgi.

Lecz również na południe poszybował statek z przestworzy. Czy klan szedł teraz wprost ku niespodziewanemu niebezpieczeństwu?

Jony przeszukał dokładnie teren obozu. Jego łupem padła siatka na jedzenie dziurawa z jednej strony, jakieś inne porzucone, niepotrzebne rzeczy, parę kamieni, których używał Otik. I nic więcej.

Jony, który jeszcze wczoraj przysięgał sobie nie iść nigdy śladem klanu, teraz zmienił zamiar. Mógł tylko łudzić się, że klan porusza się wolnym krokiem, jak zwykle leniwie, zajmując się poszukiwaniem jedzenia opóźniającym pochód.

Wyprzedzali go o dzień drogi, a może i o niecały. Dogonienie ich nie powinno zająć zbyt wiele czasu. Dodawszy sobie otuchy tą myślą, Jony zjadł ostatni z obtłuczonych owoców, które zostały mu z wieczornego posiłku i skierował się znów na południe.

Dość łatwo było podążać tym tropem. Tu i ówdzie gdzie trafiał się splechetek gołej ziemi, Jony bez trudu znajdował na nim szerokie ślady łap Ludu i dwa razy mniejsze ślady stóp bliźniąt. Tym razem szli inaczej: nie rozciągnięci, po dwóch lub trzech, lecz zwartą grupą, wszyscy razem.

Jony wspiął się na następny grzbiet. Stąd mógł jeszcze spojrzeć w dół, tam gdzie rzeka z kamieni przecina otwarty teren. Znalazł się jednak zbyt daleko na zachód, by zobaczyć to miejsce, gdzie rzeka się kończy — mury były przesłonięte przez wyrastające od wschodu grzbiety. Wielcy jednak, badając teren, wykryliby to miejsce bez trudu. Trop klanu wiódł prosto w dół, ku kamiennej rzece. Czyżby szli do stosów? Jony nie mógł w to uwierzyć. A jednak ich ślady kończyły się na krawędzi chodnika.

Jony znów odważył się wejść na tę gładką powierzchnię, lecz jedynie po to, by przeciąć ją i przejść na drugą stronę. Jego domysły były słuszne, Lud zaryzykował zetknięcie się z tym, czego najbardziej nienawidził, tylko dlatego, że nie było innego sposobu, by przedostać się na tereny leżące po drugiej stronie rzeki. Tam ślady pojawiały się znowu, nadal blisko siebie.

Ten niezwykle sposób wędrówki sam w sobie stanowił wskazówkę, że coś było nie w porządku. Jony nigdy nie widział, by klan idąc skupiał się w grupę, chyba że okrążali jakiś obszar stanowiący tereny myśliwskie smaa. Tym razem nie zbaczały też z drogi, żeby zrywać jakieś nasiona, które obficie pokrywały roślinność w pobliżu ich szlaku.

Szli na południe, prosto przez otwarty teren, gdzie Wielcy — jeżeli jacyś grasowali już z dala od swego statku — mogli ich łatwo dostrzec.

Jony przeciął ten obszar najszybciej, jak mógł. Trawa była tam takiej wysokości, że nie przykryłaby nawet Maby. Klan zaś nadal maszerował razem, prawie w prostej linii. W oddali widniała obiecująca, ciemniejsza linia drzew i zarośli.

Chłopiec jadł po drodze, zrywając garściami nasiona i żując je energicznie, by wydobyć całą ich odżywczą zawartość przed wypluciem łusek. Jedzenie to było tak suche, że Jony zapragnął znów ujrzeć strumień. Jednakże poniżej wodospadu rzeka zakręcała łukiem dalej na zachód. Jony utrzymywał swój zmysł poszukiwawczy w pogotowiu. Jak dotąd nie pochwycił żadnego kontaktu z tymi, których gonił. Znaczyło to, że wyprzedzili go bardziej, niż pierwotnie przypuszczał. Przyspieszył kroku, chcąc znaleźć się już pod bezpiecznym sklepieniem koron drzew, gdyż niebo mogło być teraz trasą poruszania się wroga.

Żar słońca raptownie przestał doskwierać, gdy chłopiec potykając się, dotarł wreszcie pod osłone drzewi krzewów. Trop był tu nadal wyraźnie widoczny. Jony ciągle nie domyślał się, co skłoniło Voaka i pozostałych, by odrzucić zwykły sposób podróżowania. Czy zrobili to z jego powodu?

Czy aż tak bardzo chcieli zerwać wszelki z nim kontakt, że natychmiast po powrocie Voaka z Otikiem i Kapoorem ruszyli całym klanem w drogę, maszerując bez przystanku, tak by on, Jony, nie mógł ich łatwo dogonić? Wolno poruszający się Lud odznaczał się znacznie większą niż ludzie wytrzymałością. Od jakiegoś czasu nie było już widać drobnych śladów znaczących obecność Maby i Geogee'a. Bliźnięta pewnie wędrowały teraz posadzone na potężnych ramionach, tak jak to bywało wtedy, kiedy były znacznie mniejsze.

Jony rozpoczynał swą wędrowkę śladem klanu w nadziei, że dość szybko ich dogoni. Jediną troską było to, czy przyjmą jego ostrzeżenie, czy też je odrzucą. Lecz w miarę jak dzień się dłużył i jego wytrzymałość słabła (nie tylko z powodu bólu w nodze, lecz ze zwykłego zmęczenia), zaczynał się zastanawiać, czy kiedykolwiek w ogóle ich odnajdzie. Ta zalesiona kraina okazała się tylko niewielką, wystającą odnogą ciągnących się na zachód większych gęstwin leśnych. Wyłącznie napotykanne ślady utrzymywały w nim nadzieję.

Jony zauważył teraz, że specjaliści wysłannicy poszukiwali pożywienia dla klanu, choć żaden z nich nie zapuszczał się zbyt daleko od linii przemarszu. Teraz przyszła kolej na Jony'ego, by zrywać owoce z tych samych miejsc. Doszedł wreszcie do źródła w zagłębieniu wilgotnej gleby i rzucił się do picia. Widać było wyraźnie, że klan był przy tej wodzie wcześniej, i to niezbyt dawno. Jony położył się, aby odpocząć. Ciężko mu znużenie, jak gdyby obroża była potężnym ciężarem przygniatającym go do ziemi. I wówczas usłyszał nowy dźwięk.

Warczenie, brzęczenie, po trosze jedno i drugie. Dźwięk, którego nigdy przedtem nie słyszał. Jego umysł poszukiwał...

Jony usiadł.

— Nie! — wręcz krzyknął głośno. Potem jeszcze raz spróbował nawiązać kontakt.

Nie Maba i nie Geogee. Pochwycone wzorce myślenia nie należały do żadnego z bliźniąt. Umysł, z którym na tak krótko się zetknął, należał do kogoś z jego własnego rodzaju.

Rozrzucone bezładnie strzępy myśli, które były jedyną Odpowiedzią, kiedy próbował porozumieć się z Ludem, rozpoznawał z wielką wprawą. Nie zapomniał też sposobu myślenia Wielkich, za którym — choć był znacznie bardziej przejrzysty — nie łatwo było podążać.

A to, to było jak kontakt z Rutee! Wolny, nie sterowany mentalnie umysł, z tym samym modelem myślenia, co jego własny.

Dźwięk tymczasem narastał, stawał się bardziej uporczywy. Jony skulił się pod najbliższym krzakiem. Uniósł dzidę i ostrożnie odstłonił maleńki, nie większy niż jego

dwie dłonie razem wzięte, skrawek nieba. Nie miał jeszcze odwagi użyć swego daru — jeszcze nie teraz. Przez szparę w gałęziach w przelocie tylko zobaczył to, co unosiło się w powietrzu: nie był to statek z przestworzy, lecz o wiele mniejszy pojazd przypominający z wyglądu jakby wiązkę pni drzew ogołoconych tak z gałęzi, jak i z korzeni i zagiętych na obu końcach. Zalśniło, gdy statek mignął mu przed oczyma, a blask ten przypominał odbicie światła od wypolerowanej piaskiem dzidy.

Wielcy? Nie, umysł, z którym Jony zetknął się w tej zaskakującej chwili, nie należał do wroga. To raczej jakaś jemu samemu pokrewna forma życia mknęła po niebie w swym latającym pojeździe.

Ludzie z innej kamiennej siedziby? Ktoś, kto pozostał, nie umarł dawno temu? Nie, niemożliwe. Gdyby tamci ludzie nadal żyli, Lud byłby o tym wiedział, tego Jony był pewien. W takim razie, czy nie mógł to być statek jego własnego ludu, taki jaki dawno temu przywiózł Rutee do nowego świata będącego ich kolonią? i

Jony płonął z podniecenia. Mimo to, wyniesiona z przeszłości ostrożność sprawiła, że, spokojny i baczny, pozostał w ukryciu. Ostrożnie spróbował nawiązać kontakt. Był pewien, że potrafi rozpoznać mentalnie sterowany umysł. Jeżeli był to jakiś chwyt Wielkich, by wywabić zwierzynę z kryjówki...

Jony natrafił na odpowiedni dla kontaktu poziom, starał się go utrzymać. Znowu tylko przez moment. Ten drugi odczuł wtargnięcie Jony'ego i błyskawicznie zareagował.

Z pewnością nie należał do mentalnie sterowanych. Oni albo nie zauważyliby takiej próby, albo by ich nie obeszła. Zbyt byli przyzwyczajeni do kierowania przez Wielkich. Jony próbował uporządkować kłębiące się odczucia, doznane w trakcie tego nie dłuższego niż sekunda bezpośredniego zetknięcia umysłów.

Ta istota w górze była na zwiadach i nie nawykła do takich kontaktów za pośrednictwem umysłów. Ale typ jej myślenia był taki sam jak Jony'ego. I... — Jony zawzięcie kombinował — może... może mógłby kontrolować tego obcego przez pewien czas. Byłby to sposób, żeby zdobyć wiadomości.

Ale byłoby to zastosowanie mentalnego sterowania! Właśnie to, czego obawiała się z jego strony Rutee w stosunku do Maby i Geogee'a i dlatego kazała mu przysiąc, że nigdy tego nie będzie próbował. Jednak latający najeźdźca nie był nikim z rodziny, a Jony rozpaczliwie potrzebował informacji. Poruszył się niespokojnie. Rutee uczyła go, że wszystko to, co Wielcy robili z jej rodzajem, było złem. I gdyby on teraz postąpił tak samo, czy wiele różniłby się od Wielkich? Latający pojazd znowu pojawił się w polu widzenia, ustawił się wprost nad Jonym. Chłopiec zeszywniał. Czy ta istota na pokładzie może go odszukać za pośrednictwem tych jego prób kontaktu? Wielcy mieli urządzenia, które były do tego zdolne.

Jony ukradkiem opuścił dzidę, pozwalając gałęziom wrócić na miejsce. Nie miał pojęcia, ile ten myśliwy, tam na górze, może dostrzec czy domyślić się. Jony w każdym razie nie miał zamiaru wyczekiwać na spotkanie, które mogłoby się zakończyć utratą wolności.

Zaczął się czołgać, posuwając się na rękach i kolanach. Brzęczenie statku pozostawało niezmiennie: ani nie rosło, ani nie zanikało. Znaczyło to, że statek zawisnął wprost nad Jonym; tego żadne żywe istoty, które znał, nie potrafiły.

Bał się ponowić próbę kontaktu. Teraz musiał polegać bardziej na swym słuchu niż na którymkolwiek ze swoich pozostałych zmysłów. Rozpłaszczony na brzuchu, całkiem niewidoczny z powietrza, bardzo wolno pełził naprzód.

Czy słuch go nie zawodził? Czy dźwięk ten był teraz naprawdę odrobinę słabszy, tak jakby Jony oddalał się od niego?

Dopiero kiedy okrywa, którą dawały wierzchołki drzew, stała się grubsza, Jony odważył się wstać. W czasie, gdy czołgał się od źródła, zgubił ślad Ludu. Pozostała

mu tylko jedna droga — jeżeli nie chciał być pod obserwacją latającego — wprost przed siebie, na południe, gdzie niechybnie poszybował statek z przestworzy.

Dźwięk cichł, jak gdyby statek stale jeszcze unosił się nad źródłem czekając, aż Jony zdradzi swą obecność. Las dookoła był nienaturalnie cichy; wszystko co żyje, kuliło się w strachu, nasłuchując. Jony skradając się starał się robić bić jak najmniej hałasu. Zgubił trop Ludu, zatracił też poczucie kierunku. Próbował wybierać jakieś wyróżniające się, rosnące gdzieś z przodu drzewo, dochodzić tam, wybierać następne. Byle tylko nie kręcić się w kółko. Złamana gałąź; Jony dosłownie doskoczył do niej. To robota Ludu! Tak, widział ślady po oderwanych bocznych gałązkach i liściach tam, gdzie konar był przyciągnięty przez kogoś wysokiego, wyższego niż on. Może był to nawet Voak. Na ziemi wokół Jony nie znalazł żadnych śladów łap. Lecz w pobliżu były i inne pnącza owocowe z oderwanymi i połamanymi gałęziami. Musiało się to zdarzyć dopiero co, gdyż z niektórych sączyły się jeszcze kleisty sok.

Leśny gąszcz znów się przerzedził. Jony przykucnął za zasłoną z liści i gałęzi. Tuż przed nim rozciągała się kolejna otwarta przestrzeń. Niedaleko widać było zdeptaną, powyrywaną z korzeniami trawę. Przerażony wpatrywał się z goryczą w te ślady walki. To musiało być miejsce, gdzie Lud, część klanu lub cały klan, został zaatakowany bez ostrzeżenia. Jony nie znalazł śladów krwi. Dostrzegł jednak cały, nie połamany kij, prócz tego siatkę z owocami, które częściowo zgniecione, przyciągały teraz owady.

Latający pojazd!

Nie odważył się zaryzykować i nie wynurzył się na otwartą przestrzeń choćby na tyle, by obejrzeć wszystkie ślady i znaki, jakie można by znaleźć. Przedzieranie się wzdłuż krawędzi lasów podwoi i czas, i odległość, ale zapewni niezbędną osłonę. Ponuro ruszył okrężną drogą w prawo. W chwilę później padł, zastygając w całkowitym bezruchu.

Brzęczenie latającego pojazdu stało się głośniejsze. Jony, nie unosząc głowy, starał się jakoś zerknąć w górę. Obcy statek zniżył lot nad drzewami i zatoczył krąg wokół miejsca oznaczonego, zdaniem Jony'ego, śladami walki.

Potem, ku jego ogromnemu zaskoczeniu, z nieba rozległ się głos:

— Joneeeeeee... — Jego własne imię, tylko zniekształcone, brzmiące jak lament.

Jakże to — nie tylko wiedzieli, gdzie był, ale i kim był? Było to bardziej przerażające od czerwono oświetlonej nory z klatką, od wszystkiego, co widział w kamiennym miejscu, bo tamto było bezosobowe, a to adresowane wprost do niego, jemu zagrażające.

Joneeeee... — Znów ten krzyk.

Czy był to nowy sposób mentalnego sterowania, dosięgania zdobyczy poprzez użycie jej najbardziej osobistej własności, jej imienia? Jeżeli spodziewają się zwabić go w ten sposób, to znaczy, że muszą go uważać za mentalnie sterowanego. A kim są ci, którzy gotowi są grać w starą grę Wielkich?

Trzykrotnie nawoływał go latający. Gniew Jony'ego zmienił się w twarde postanowienie, by ich wytropić, mimo że nie mógł za nimi podążać w powietrzu. Przyszło mu teraz do głowy, że musieli schwytać Mabe, Geogee'a lub oboje i stąd wiedzieli o nim. Bezpieczeństwo odeszło z tego świata; Jony nie miał na czym polegać z wyjątkiem swego zmysłu, swoich rąk i tej pochodzącej z przeszłości broni, którą znalazł.

Nie był na tyle głupi, by sądzić, że metalowa dzida może zagrozić statkowi, choć okazała się tak doskonała w walce z ptakami vor.

Latający dał już chyba za wygraną. Nie krążąc już dłużej, pojazd odleciał prosto. Nie na południowy zachód jednak, na co Jony w cichości liczył, lecz z powrotem na północ. Czy nadal go poszukiwał?

Jony pozostał w ukryciu, dopóki nie ucichło najłżejsze brzęczenie. Jeżeli tamci mieli Mabę i Geogee'a, jeżeli klan spotkało coś strasznego — on musiał się tego dowiedzieć. Uznał więc, że jego droga musi wieść teraz na południe, tam gdzie widział lądujący statek przestworzy. Stracił już nadzieję na znalezienie klanu. I, niewątpliwie, wszelkie jego ostrzeżenia byłyby teraz wielce spóźnione, bezużyteczne.

Jony potrzebował odpoczynku; chciał się już na nogach i mimo wspierania się na dzidzie, upadł dwa razy. Nie zrobił sobie żadnego legowiska, nie przygotował gniazda, zwyczajnie tylko wcisnął się w gąszcz dokładnie naciągając gałęzie, by w ten sposób się ukryć. Znowu miał pragnienie; owoce tylko częściowo je zaspokoily. Bywały jednak takie okresy w czasie chłodnej pory, kiedy wśród Ludu uczono się, jak przetrwać głód, a nawet pragnienie. Tarapaty Jony'ego nie były niczym nowym, tyle że nadeszły w czasie nieodpowiedniej pory.

Ogarnęło go takie znużenie, że zasnął. Nawet we śnie nie wypuścił dzidy z rąk. Raz jeszcze zapadł w sen pełen majaków...

Odwiedzał znowu kamienny stos, wspinając się po występach ku kobiecie z kamienia. Miał z nią stanąć twarzą w twarz. Było to coś, co tylko on sam mógł zrobić, co musiał ; zrobić. Nadal bał się, co nastąpi, nie wiedział, co może się zdarzyć.

Stanąwszy przed posągiem kobiety — tak jak poprzednio — położył swoją dłoń na jej większej dłoni. Zadrżał na całym ciele. Poczował, jak od tego dotyku zalewa go ogień, lecz nie żeby spalić jego ciało, a raczej by napęlić go potęgą, którą — jak to niejasno pojmował — ma w sobie przechowywać dopóki nie nadejdzie chwila jej zupełnego uwolnienia.

Napełniony tą mocą, posłuszny rozkazom, których nie rozumiał, Jony wkroczył teraz do długiej sali kamiennych kolumn, poszukując śpiącego. Kiedy popatrzył w dół, postać pod pokrywą poruszyła się, ręka uniosła się, by zerwać skrywającą twarz maskę. Tym razem to nie jego rysy się ukazały. To była Maba. Nie taka, jaką znał dotąd, ale taka, jaką byłaby w wieku Rutee. Nie zaproponowała mu jednak pręta. Dała mu natomiast znak, by podszedł i pomógł jej wyjść ze skrzyni, stanąć na nogi. I to również musiał zrobić.

Odrzuciła spowijające ją okrycie, by wyjść na zewnątrz i uśmiechnęła się w sposób, jakiego u niej nie znał. Był tam cień tego wyrazu twarzy, który przybierała, planując jakąś psotę lub robiąc coś zakazanego — owszem, to pozostało. Lecz nad wszystkim górowała chłodna świadomość potęgi i woli jej użycia.

Uczucie przymusu, które przywiodło tu Jony'ego i skłoniło do pomocy temu, kto nosił twarz Maby, teraz prysnęło. Chłopiec rzucił się, nie żeby zabrać jej pręt dla siebie, lecz raczej by porwać tę dziwną, niebezpieczną broń, odrzucić ją daleko od nich obojga, cisnąć precz z całą siłą, jaką miał w ręku. Nie wolno dopuścić do tego, by Maba mogła zrobić to, co planowała. Zrozumiał to.

Bez trudu uchyliła się od jego uchwytu. Jej uśmiech się pogłębił, śmiała się. Skierowała na niego koniec pręta, a jej słowa zabrzmiały szyderczo:

— Zwierzę! Kimże jesteś ty, który ośmielasz się powstawać?

Jony poczuł nagle silny, dławiący go za gardło ucisk. Krzyknął, pochwycił obrożę, by się od niej uwolnić. Tam, gdzie zwiśla kiedyś luźno, teraz była ciasna. Do obręczy przywiązany był powróż. A jego plecy, mimo że wrywał się jak szalony, przyciskano do ziemi, zmuszając do stania na czworakach.

Kobieta, która była Mabą, zahaczyła końcem swego pręta o pętlę na powrozie i przyciągnęła Jony'ego do siebie. Zaśmiała się po raz drugi i odeszła od skrzyni, w której tak długo spoczywała.

— Widzisz — — powiedziała lekceważąco — nie można być jednocześnie zwierzęciem i człowiekiem. Zwierzętami rządzą ludzie. — Lekko szarpnęła powróż i pociągnęła Jony'ego za sobą. Zaczęła opuszczać się ze stopni, nie patrząc wcale, jak

czołgając się u jej stóp, podążał za nią na czworakach, zwierzę tak łatwo poskromione.

X

Całą roślinność otaczającą Jony'ego przemoczył uporczywie padający deszcz. Ten sam deszcz zmył wszelkie ślady Ludu, które z miejsca tragedii na otwartym terenie mogłyby gdzieś prowadzić. Czy cały klan został wzięty do niewoli?

Jony obudził się po niespokojnej nocy. Spoczynek zakłócał mu osobliwie natarczywy sen, który i teraz nie dawał mu wytchnienia. Przez cały czas prześladowały go żywe wspomnienia podobnie jak wówczas, kiedy w sennych majakach widział śpiącego powstającego ze swej kamiennej skrzyni z jego, Jony'ego, a nie z Maby twarzą. Zdawało mu się, że obroża zaciska mu się na szyi. Toteż od czasu do czasu, na wpół świdomie, jego ręka wędrowała do gardła, żeby sprawdzić, czy pierścień jest nadal luźny.

Jony nie słyszał dźwięku latającego pojazdu. Pewnie opuścił on już niebo z powodu wietrznej pogody. Wszakże ten sam deszcz i wichura nie zawróciły Jony'ego z raz obranej drogi na południe. Wspiąwszy się na kolejne wzniesienie, chłopiec natknął się na to, czego poszukiwał od czasu, kiedy złowieszczy płomień przeniknął przez nocne niebo.

Poniżej widniała, skierowana z jednej strony na zachód, a z drugiej na południe, dolina przecięta przez spory Strumień. Niedaleko od jego spokojnie płynących wód, Wznosząc się na swych łapach, stał statek przestworzy. Ziemia wokół była zwęglona, szerniała, spopielała przez siłę snopów promieni, które przywiodły statek na lądowisko.

Jony skupił uwagę na statku. Był on jego zdaniem — nie tak duży jak statek Wielkich, chociaż zbliżony doń kształtem. Być może większość statków przestworzy, niezależnie od tego, kto je prowadził, była do siebie podobna. Spodziewał się zobaczyć wiodącą z otwartego luku pochylnię, lecz kadłub był gładki, bez żadnego widocznego otworu.

W pobliżu spoczywał latający pojazd, który poprzedniego dnia zmusił chłopca do ukrycia się. Teraz, kiedy Jony mógł mu się przyjrzeć z góry, a nie z dołu, zauważył szereg szczegółów, które pozwoliły mu przekonać się, jaka to skomplikowana maszyna. Na szczycie znajdowała się wygięta w kształcie kołpaka osłona, pod którą — jak sądził Jony — pilot i pasażerowie znajdowali schronienie w czasie lotu.

Na boku stojącego statku widać było jakieś znaki, lecz niewyraźne, jakby stare.

Jony wiercił się zakłopotany. Jego schronienie przed wichurą było nędzne i wydawało się, że nie ma sposobu, by wybadać, co dzieje się poniżej, w szczelnie zamkniętym statku. Zastanawiał się, czy się nie odważyć i nie spróbować przesłania myśli, lecz wahał się jeszcze. Był prawie pewien, że właśnie w ten sposób przyciągnął wtedy uwagę lecącego. Ale...

Zesztywniał w jednej chwili. Coś się w końcu zaczęło dziać. Na boku statku pojawił się poszerzający się otwór, podest wyginał się na kształt języka, który coś kosztuje. Uderzył o ziemię, tam zakotwiczył się mocno. Po pochylni zszedł człowiek.

Nie był to Wielki. Jony poczuł ulgę, lecz natychmiast odzyskał swą ostrożną nieufność. Jaki rodzaj ludzi wędruje w przestworzach? Mogli to być mentalnie sterowani. Jeżeli to jednak ród Rutee dotarł tutaj... W takim razie dlaczego ci ludzie zaatakowali Lud?

Maba, Geogee — iluż to członków klanu było tam w dole uwięzionych. Całe ciało astronauty okrywał sięgający .szyi ubiór, umocowany wokół rąk i nóg. Strój ten był zielonobrazowego koloru, co sprawiło, że twarz człowieka wydawała się bardzo ciemna. Włosy miał uczesane w krótki, sztywny pędzel. Najeźdźca opuścił się do

podnóża pochylni, by tam przystanąć, trzymając coś przed oczami i powoli obracając górną część ciała. Jak gdyby obcy — trzymany przez niego przedmiot nie pozwalał Jony'emu dostrzec tego wyraźnie — dokładnie lustrował całe zbocze, na którym chłopiec siedział przykucnięty.

Czy dowiedzieli się jakoś, że on tu jest? Czy znów go szukają? Jony, zanim się tu usadowił, oblepił ciało kleistym błotem i liśćmi, starając się naśladować dar Ludu do wtapiania się w otoczenie w wypadku zagrożenia. Teraz z bijącym szybko sercem czekał, aż stojący niżej obcy spojrzy wprost na niego.

Co by się wtedy stało? Czy najeżdźcy, gdy przyjdą, by zabrać swego kolejnego więźnia, mogą — tak jak robili to Wielcy — wydzielać w powietrze coś, co uczyni go niezdolnym do obrony?

Jednak obcy tylko przemknął wzrokiem, nie zatrzymując się dłużej na miejscu, gdzie siedział Jony. Nadal lustrował teren. W końcu astronauta opuścił ręce, choć ciągle jeszcze trzymał w nich przedmiot, przez który przed chwilą badał okolicę.

Wtedy właśnie nadeszło silniejsze uderzenie ulewy. Obcy odwrócił się i pobiegł w kierunku otwartego luku. Po chwili pochylnia uniosła się i została wciągnięta. Jony nie odczuł jednak ulgi. Statek był teraz klatką, niezawodną, solidną klatką.

Czy powinien był nawiązać kontakt z umysłem tego obserwatora, może mógł nim pokierować! Czy stracił najlepszą sposobność ratowania tych, którzy byli tam wewnątrz? Gdybyz tylko trochę więcej wiedział! Był w stanie rozpracować Wielkich, ponieważ bacznie ich obserwował, studiował z całym skupieniem, którego nauczyła go Rutee. Jony wiedział bardzo dobrze, że podejście skuteczne wobec jednych żyjących istot było nieprzydatne w wypadku innych. Ten obcy mógł się wydawać spokrewniony z nimi z racji fizycznego wyglądu, ale to nie znaczyło, że był nim w rzeczywistości.

Jony wycofał się ze swego punktu obserwacyjnego. Nadal był nieufny. Niewykluczone, że obserwator wykrył go, lecz sprytnie to zamaskował swoim zachowaniem. Lepiej było stąd odejść i znaleźć inne miejsce, skąd można będzie obserwować statek z ukrycia.

Czołgając się do tyłu, znów zatrzymał się jak wryty. Ktoś z Ludu — i to niezbyt daleko! Jony usiadł, pewien, że znalazł się już na tyle daleko w głębi gąszczu, by ująć uwagi statku i zaczął się wpatrywać w stronę, skąd do jego umysłu dobiegł ledwo uchwytny, niewyraźny kontakt. Minał czas równy kilkunastu oddechom, zanim oczy Jony'ego odróżniły czającą się postać od kryjącej ją gęstwiny. Otik!

W pierwszym odruchu Jony chciał podejść do towarzysza, by dowiedzieć się, co się stało z resztą klanu i z bliźniętami. Przypomniał sobie jednak aż nadto dobrze rozstanie z Otikiem. Ręka powędrowała do obroży; pierwszy gest musi należeć do Otika, tego Jony był pewien.

Otik wiedział o obecności Jony'ego, prawdopodobnie miał go cały czas pod obserwacją, wtedy kiedy sam Jony z kolei obserwował z ukrycia statek. Otik odwrócił teraz głowę i zwrócił oczy na chłopca. Znając Lud tak dobrze, Jony nigdy nie nauczył się odczytywania żadnych z wyrazu ich twarzy. I teraz nie umiałby powiedzieć, czy Otik zgodziłby się na kontakt.

Mając do czynienia z Ludem, pierwszą rzeczą, której trzeba się nauczyć, jest cierpliwość. Żyją oni na ogół powoli, robią wszystko z namysłem i Jony rzadko widywał żeby się spieszyli. Cekał więc, odpowiadając spojrzeniem na nieporuszony wzrok Otika.

Siedzący w kucki Otik ruszył naprzód, nie podniósł się jednak, lecz poruszał się na czworakach, używając rąk jako łap, tak jak jego przodkowie na ściennych obrazach.

Zbliżał się powoli, z rozmysłem. Na pasie przełożonym przez grube ramię wisiała siatka, kija jednak nie miał.

Zatrzymał się w odległości kilkunastu długości ramienia, przysiadł na piętach z rękami zwisającymi luźno między kolanami. Otik był pierwszym młodym Yai urodzonym kilka pór wcześniej, zanim przyszła ona z pomocą Rutee. Jak dotąd nie osiągnął jeszcze ani masy, ani siły Voaka czy Kapoora, choć w przyjacielskich zmaganiach mógł pokonać Trusha. Gdyby, tak jak zawsze w tym okresie roku, klan spotkał się z innymi rodzinami, Otik mógłby z powodzeniem rozglądać się już za partnerką.

Samiec siedział w kucki, nie przestając się wpatrywać. Jony w duchu walczył z niecierpliwością. Pragnął sygnalizować pytanie, domagać się wszystkich informacji, jakich mógłby udzielić Otik. Czy inni uciekli? Co się stało tam, na tym kawałku zdeptanej trawy? Musiał jednak czekać, aż Otik zaakceptuje go lub odrzuci.

Łapy drgnęły. Otik gestykułował pochrzäkując, jakby dla podkreślenia wagi tego, co miał do powiedzenia.

— Ty iść latająca rzecz? — Nadał temu zdaniu formę pytania, nie stwierdzenia.

Jony przesunął dźwidę, by móc poruszać palcami w odpowiedzi. Starał się, by jego ruchy były możliwie jak najwolniejsze.

— Nie iść, jeszcze nie.

— Twój klan, oni iść — — ciągnął Otik.

Jony'emu przeszkadzało, że twarz jego rozmówcy pozostawała bez wyrazu, że równie mało mógł wyczytać ze sposobu zachowania się Otika, co i z myśli kryjących się za tymi wielkimi oczami. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak zniechęcające mogą być tak ograniczone możliwości porozumiewania się. Codzienne życie klanu było tak mocno oparte na konieczności zdobycia jedzenia, znajomych czynnościach, na rutynie, którą znał od lat, że nie było potrzeby, by tworzyć jakieś nowe sposoby przekazywania wiadomości spoza kręgu tych podstawowych spraw.

— Nie mój klan — wybrał najlepszą i najprostszą odpowiedź, jaką mógł wymyślić. — Gdzie Maba, Geogee? — Imiona dzieci wymówił głośno, wiedząc, że Otik rozpozna te dźwięki, tak jak odróżniał i starał się naśladować dźwięki, za pomocą których rozpoznawano każdego członka klanu po imieniu.

— Z twój klan — odpowiedział Otik nieustępliwie — ci, co przyjsć z niebo. — Przystał nadawać słowa i przy pomocy łap odgrywał to, co zaszło. Palcami jednej ręki postukiwał w ziemię; ani chybi był to wędrujący klan. Druga dłoń płasko rozpostarta rzuciła się z góry do ataku, na tę grupkę, przez chwilę zawisając nad nią w powietrzu. Potem palce przedstawiające Lud zwiotczały, upadły na płask. Ręka przedstawiająca latający pojazd zagarnęła je i uniosła. Obie ręce na powrót sygnalizowały: — To Otik wiedzieć.

Jony zwilżył wargi końcem języka. Musiał zadać następne pytanie, ale obawiał się odpowiedzi.

— Martwi? — zapytał.

Otik wykonał gest znaczący „niepewne”, a potem, wahając się, dorzucił drugi: „spać”.

Najpewniej ci ludzie z kosmosu mieli takie sposoby oszałamiania, jakich używali Wielcy. Jony wierzył z całego serca, że tak właśnie było.

— Kto? — Jeżeli Otik uciekł, to może i innym się to udało?

— Voak, Yaa — Otik wyszczekał dwa znane Jony'emu mu dźwięki, dodał dwa dalsze imiona.

A więc razem czwórka, jak również i bliźnięta. A reszta...?

Nie musiał pytać, gdyż Otik sam już gestykułował, przekazywał wiadomość, że są w ukryciu, obserwują. Jakąż jednak mogli mieć nadzieję na wydostanie swych współtowarzyszy ze szczelnie zamkniętego statku? Naprawdę niewielką, pomyślał Jony.

— Ty iść do twój klan — Otik powtórzył swoje wcześniejsze oskarżenie, a może było to tylko proste stwierdzenie faktu, jakim go Otik widział?

— Nie mój! — Jony wykonał gest zdecydowanego zaparcia się.

Ręce Otika znieruchomiały. Czy uwierzył? Jony nie miał żadnego dowodu na to, co powiedział. Choć był w tej chwili pewien, że powiedział prawdę.

Przez dłuższą chwilę Otik po prostu siedział i przyglądał się chłopcu. Potem wykonał jeden z tych szybkich, błyskawicznych ruchów, które mogą zaskoczyć u Ludu dobrze znanego ze spokojnego, powolnego sposobu bycia. Zanim Jony się zorientował, Otik miał w ręku jego nową dzidę.

Próba odebrania jej byłaby bezowocna. Jony od razu to pojął. To co zrobił Otik, miało złowróżbne znaczenie. Gdyż dzida należała do tego, kto ją wykonał i nikt inny nie powinien brać jej do ręki.

— Ty dostać, gdzie? — sygnalizował Otik jedną ręką, drugą ściskając mocno dzidę.

— Znaleźć przy biegnąca woda. Długi czas w piasek — odrzekł Jony.

Otik, wodząc palcami wzdłuż pełnego zagłębienia metalu, badał z uwagą znalezisko, podniósł je nawet do nosa! i obwąchał od góry do dołu.

— Rzecz, starodawne mieć — oznajmił.

— Ja znaleźć to w piasek, przy biegnąca woda — odparł Jony, gestykulując z całą mocą, na jaką mógł się zdobyć. Nie mógł pozwolić, by Otikowi przyszło do głowy, że on. Jony, powrócił do kamiennego miasta i tam płądrował.

Siedziba z kamieni! Zaświtał mu w głowie dziki pomysł, z którym na pewno nie zgodziłby się nikt z klanu. Jaką szansę miał klan tylko ze swą fizyczną siłą i drewnianymi kijami przeciwko broni, jaką musieli posiadać ci ze statku? Lecz założmy, że członkowie klanu mieliby pręty takie jak ten, który trzymał śpiący czy ten, z którym Geogee miał tak fatalne doświadczenie? Promień z jednego pręta mógłby zwalić latający pojazd, mógł nawet wyciąć otwór w ścianie statku, tak by atakujący mogli się tam dostać.

Pomysł gonił pomysł. Jony oddychał szybciej, a jego palce wyginały się, jak gdyby gotowe do pochwycenia przerażającej broni zaraz, teraz.

Otik wydał z siebie dźwięk przypominający trąbienie, co przywróciło Jony'ego do przytomności, wytrąciło z myślenia. Chłopiec zdał sobie sprawę, jak małe są szanse, by spełnić te jego rojenia o sukcesie.

Otik tymczasem odłożył metalową broń. Raz jeszcze zmierzył Jony'ego badawczym spojrzeniem. Potem zaczął nadawać, poruszając rękami.

— Ty znać rzecz na pomoc — znów nie pytanie, lecz stwierdzenie.

Zdumienie Jony'ego było całkowite. Jak Otik to odgadł? Czy mogło być tak, że choć Jony nie mógł czytać w umysłach Ludu, oni sami nie mieli takich trudności? Taka myśl była dość przerażająca.

— Ty wiedzieć — powtórzył Otik. — Ja węszyć, ty wiedzieć. Jaki rzecz?

Węszyć? Jony był zbity z tropu. Jak można węszyć myśli? Była to możliwość, która go oszołomiła, lecz nie miał teraz czasu, by się w to wgłębiać.

— Rzeczy w miejsce kamienne — podjął decyzję. Otik mógł na to odpowiedzieć tylko tak lub nie. — One być lepsze od kije. Być jak rzeczy na statek.

Otik w ogóle nie odpowiedział. Zamiast tego — znów na czworakach — powrócił w gąszcz, zostawiając Jony'ego samego. To najpewniej już koniec jakichkolwiek kontaktów z pozostałą na wolności częścią klanu — skonstatował Jony niewesoło. Pierwsze o czym pomyślał, to zabezpieczenie metalowej dzidy. Druga myśl, to był znów ten szalony pomysł, by zrobić użytek z tego, co można było znaleźć w podziemnym magazynie.

Lecz te kamienne jaskinie leżały na północy. A jeżeli Maba i Geogee zdążyli już

powiedzieć ludziom o tym, co znaleźli w podziemiach? Jeśli tak, astronauta mogą z łatwością przelecieć tę odległość, wziąć, co im będzie potrzebne i wrócić, zanim Lud czy Jony, pokonają na piechotę połowę drogi.

Maba była tak bardzo podniecona tym, co znalazła. Jony z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak opowiada wszystko przybyszom. A może Maba była więźniem?

Jony czuwał w napięciu. Jakiś ruch wokół niego. Otik, a z nim i inni, zbliżali się, otaczając go prawie ze wszystkich stron. Jedyna przerwa pozostawiona w zamykającym się wokół niego pierścieniu wiodła w dół stoku, wybranie tej drogi ucieczki oznaczało wystawienie się na widok tych ze statku. Można było tylko czekać.

Propozycja złożona Otikowi mogła wywołać gwałtowną reakcję.

Ręka Jony'ego powędrowała do luźnej obroży. Zbyt dobrze pamiętał te ukryte w jej wnętrzu kły, które Voak pokazał mu jako ostrzeżenie. Z drugiej strony wiedział, że nie ma ucieczki od maszerującego stale naprzód klanu, nie mógł też użyć swej broni przeciwko nim — przenigdy!

Otik, potem Trush, Huuf, dwie z młodych samic — Itak i Wugi żadnego ze strasznych członków klanu. Jony niewiele zdziałałby nawet przeciwko Itak i Wugi; nie mógł wybrać walki.

Nowo przybyli, naśladując Otika, kucnęli z bronią w zasięgu łap, gotowi do jej pochwylenia wprawnym chwytem. Otik trzymał w garści co innego: zwój poowrozu, którego używali do plecenia siatek. Mów — nadał Otik.

O swych szalonych planach, by wyruszyć po zdobycz do magazynów pośród kamiennych murów? Jony mógł się tylko domyślać. Gestykulował wolno, starając się za każdym razem upewnić, czy wybrał najbardziej odpowiedni znak, by przekazać znaczenie słów. Żeby tylko pojęli i uwierzyli w to, co powiedział.

Opowiadał o swej wyprawie do wielkiej jaskini, o wielu dziwnych rzeczach tam spotkanych. Na koniec — o pręcie Geogee'a i o tym, jak wrywał broń chłopcu, jak w czasie tej szamotaniny pręt ów niespodziewanie wystrzelił z ogromną mocą. Czy uwierzą w natychmiastowe zniknięcie trafionych przedmiotów, Jony miał wątpliwości.

Wysłuchali, lecz czy zrozumieli?

Kiedy skończył, nikt nie przekazał mu żadnej odpowiedzi. Rozmawiali natomiast między sobą. Jony, zostawiony sam sobie, jak zwykle zbity był z tropu tym szeregiem dziwnych dźwięków, które dla niego i jemu podobnych nie znaczyły nic. Każdy z członków klanu po kolei wnosił swoje uwagi. Później, choć Jony nie był pewien, co powiedziano, wyczuł, że ostateczny werdykt nie był dla niego pomyślny.

Sięgnął po swą broń, choć był pewien, że nigdy nie obróci jej straszliwej mocy przeciwko Ludowi. Lecz Otik położył łapę na dzidzie i zabrał ją. Na koniec wstał, górując nad Jonem.

Gdy Jony próbował unieść się, by stanąć przed nim, przytrzymał go w miejscu Trush, kładąc mu swe ciężkie łapy na ramionach. Otik odwinął powróż, przeciągając jego przez obrożę, i zręcznie zawiązał jednym ze stosowanych przez Lud węzłów.

Szarpnął, przeciągając krawędź obroży do szyi Jony'ego, jak gdyby udzielał mu w ten sposób ostrzeżenia. Odwrócił się potem i ruszył naprzód, a Jony, już teraz uwolniony z uciskających go łap Trusha, musiał podążać za nim. Oczywiście było, że zamiast polepszyć — pogorszył całą sprawę. Był teraz zły na swą głupotę, jaką było wygłoszenie tej propozycji. Musiało to w nich wyzwolić głęboko zakorzoną wściekłość na dawnych ciemnych i skierować ją przeciwko niemu.

Klan nie miał obozowiska, lecz ulokował się w miejscu pokrytym grubą warstwą gąszczu dającego osłonę krążącym w górze pojazdem. Było tam jeszcze czworo członków klanu oczekujących na powrót oddziału Otika — trzy samice i stary Gorni, który był kiedyś wodzem, a kiedy utracił siły, zrezygnował na rzecz Voaka.

To do niego podszedł Otik, schylił się i włożył smycz Jony'ego do łapy starca. Jedno z oczu Gorni'ego było pokryte bielmem, toteż musiał lekko odwracać głowę, żeby widzieć coś, co było na wprost niego; zrobił tak i teraz.

Spojrzał, nie użył jednak języka znaków; zamiast tego mocno pociągnął za smycz, a obroża znów boleśnie wpiła się w ciało Jony'ego. Na ten gwałtowny rozkaz, by usiąść, Jony, szarpnięty, upadł.

Otik położył też przed starym metalową dzidę, jak gdyby miała stanowić jakiś decydujący dowód. Lecz Gorni ledwie rzucił na nią okiem.

Wolną ręką Gorni zaczął nadawać bardzo wolno.

— Teraz ty czworonóg. Ty robić, co Lud mówić. Ty nasza rzecz. — Wskazał wiszącą na swym ramieniu siatkę z owocami. — To rzecz, Lud mieć. Ty jak ta rzecz ty nie jak Lud, ty tylko rzecz!

Jony chciał chwycić obrozę obu rękami, wyrwać ją staruszkowi. Wiedział jednak, że lepiej będzie nie ruszać się. Był teraz „rzeczą”, może i przydatną klanowi w jakiś sposób, lecz pozbawioną prawa, by być Jonym.

Znów zapłonął gniewem, gniewem, który za młodu poznał w klatkach Wielkich. Potrafił jednak dostrzec intencje Ludu. Nie ufali mu. Przecież ich towarzyszy porwali astronauta o wyglądzie Jony'ego, przypominający tych z obrazów w podziemiach i kamienną kobietę? Możliwe, że Lud zawsze lękał się przemiany Jony'ego we wroga. Znosili go, gdy był mały, podobnie jak znosili bliźnięta jako słabe, bezradne istoty, których nie ma potrzeby się obawiać. Później, kiedy Jony przeszukał kamienną siedzibę, wzbudziło to w nich strach, że dawne dni mogą powrócić. Wówczas, na domiar złego, zjawił się statek przestworzy i porwał towarzyszy z klanu. Lud robił tylko to, co mógł, by się chronić.

Co gorsze, swoją propozycją, by wybrać się do podziemnych magazynów, Jony musiał w nich wzbudzić obawę, że zamierza przejąć władzę. Tę część jego przemowy o znalezieniu prętów o potężnej mocy odrzucili niewątpliwie jako rozmyślne kłamstwo lub jako oznakę, że on, Jony, ma ich w pogardzie.

Spoglądając na niewzruszoną twarz Gorniego, a potem patrząc na wszystkie twarze stojących wokół niego, Jony nie widział sposobu, by przekonać ich o swojej niewinności, o tym, że nie ma zamiaru ich krzywdzić. A jednak musiał odzyskać ich zaufanie!

Statek mógł odlecieć, zabierając ze sobą w dalekie, nieznane przestworza członków ich własnego klanu i bliźnięta! Ale wszystkim Lud musi znaleźć jakiś sposób, żeby temu zapobiec, choć Jony nie widział teraz żadnej nadziei na uwolnienie więźniów.

XI

Gorni wypuścił z rąk smycz Jony'ego tylko po to, żeby innym mocno trzymającym węzłem przywiązać ją do młodego drzewka na tyle silnego, by oparło się wszelkim próbom złamania. Chłopiec musiał przyjąć do wiadomości, że jak na razie jest bezsilny. Nie wierzył jednak, że to koniec, że klan stale będzie go traktował jak „rzecz”, że nie uda mu się znaleźć jakiegoś sposobu uwolnienia uwięzionych na statku.

Gdyby mógł skontaktować się z Mabą i Geogee'em... Tak jak kiedyś Rutee uczyła go i przygotowywała do dnia, w którym uda mu się uwolnić, tak i on teraz mógłby coś zdziałać i dzięki swej koncentracji skłonić bliźnięta do pomocy.

Wugi zbliżyła się, by położyć na ziemi dwa owoce i garść nasion trawy zawiniętych w liść. Nawet „rzecz” trzeba było żywić. I Jony żarłocznie pochłonął swoją porcję.

Jego metalowa dzida leżała nadal na ziemi koło Gorniego. Starzec nie wykonał najmniejszego ruchu, by ją obejrzeć, tak jak to zrobił Otik. Jony pożądlwym wzrokiem mierzył ostrą krawędź haka. Za jego pomocą mógłby łatwo przeciąć smycz, uwolnić się. Lecz dokąd poszedłby, co robiłby?

Zzerała go taka niecierpliwość, że aż chciał walić rękami w mokrą trawę, wykrzyzczeć swą rozpacz i bezsilność. Gdyby tylko mógł coś zrobić, by go zrozumieli. Skupić się na statku? Czy taki kontakt umysłów przywiódłby j astronautów?

Powrócił Otik. Był gdzieś w gąszczu, może znowu szpiegował najeźdźców. Podszedł wprost do Gorniego i przekazał mu jakiś meldunek. Jony obserwował ich i bardzo pragnął coś zrozumieć z tej rozmowy. Gdyby mógł się z nimi tak wprost porozumiewać, wytłumaczyłby im, jakim szaleństwem było nie słuchać go. Nie mieli, jak przypuszczał, żadnego pojęcia o broni i przyrządach, których mogliby użyć ludzie ze statku. Jony sam też niewiele wiedział. Cała jego wiedza, to strzępy tego, co przekazała mu Rutee, sama też słabo z tymi sprawami obeznana. No i to, czego dowiedział się, przebywając w laboratorium Wielkich. Lecz nawet tak szczątkowa wiedza była bez porównania większa od wiadomości posiadanych przez Lud.

Obaj, Gorni i Otik, mierzyli teraz wzrokiem Jony'ego.

Domyślał się, że to, o czym mówili, miało z nim związek. Na koniec Otik podszedł do drzewka, odwiązał węzeł i szarpnięciem dał znać Jony'emu, by ruszył. Słyszając, że ktoś go woła, Otik odwrócił głowę.

Wugi, owinąwszy palce liśćmi, by nie dotykać gołego metalu, podniosła dzidę Jony'ego. Trzymając broń jak ktoś, kto pozbywa się jakiegoś obrzydlistwa, podała ją Otikowi. Jasne było, że broń nie może tu pozostać.

O ile Wugi wolała nie dotykać dzidy, o tyle Otik nie miał takich skrupułów. Nie miał swego kija. Może, niezależnie od opinii klanu, Otik żywił ukryte pragnienie, by zatrzymać tę dzidę dla siebie. W każdym razie ochoczo wziął ją do ręki. Później, następnym szarpnięciem, lecz bez zasygnalizowania rozkazu (jak gdyby Jony utracił rozum i nie mógł takiej rzeczy pojąć), Otik pociągnął Jony'ego za sobą, wysunął się z gąszczu mieszczącego niewielkie obozowisko i skierował się z powrotem w górę zbocza.

Deszcz przestawał padać i choć tu, na otwartym terenie, chwilami zaciągał i siekł w nich wraz z podmuchami wiatru, to przynajmniej niebo trochę pojaśniało. Jony widział teraz statek i stojący obok niego latający pojazd wyraźniej niż poprzednio. Pochylnia była znów opuszczona, a na jej samym dole stała grupka postaci. Astronauci mieli teraz jakieś nakrycia głowy, co nadawało im nienaturalny wygląd,

jak gdyby byli rasą równie obcą jak Wielcy. Lecz ta mała figurka wśród nich — nawet z tej odległości i rozpoznał w niej Mabę!

Na tyle, na ile mógł zauważyć, nie była pod żadnym nadzorem, lecz poruszała się swobodnie wśród tych przybyszów z innego świata. Widział wyraźnie jak typowym dla siebie przesadnym gestem wyrzuciła do przodu ramię, pokazując palcem na północ. Opowiadała im o kamiennym miejscu?

Ale dlaczego Maba była wolna? Mentalnie sterowana? Wściekłość Jony'ego rozgorzała na nowo, zwracając się teraz ku najeźdźcom. Żeby Mabą tak kierowano! Stało się to, przed czym Rutee zawsze tak strzegła swoich dzieci.

Powodowany gniewem Jony wysłał szybką sondującą myśl, usiłując dowiedzieć się, na ile panowano nad dziewczynką. Czy umysł Maby pozbawiony został jej własnych myśli? Czyż i ona stała się bezwolna na podobieństwo tych pustookich więźniów Wielkich, kroczących na oślep przez tę namiastkę życia, którą ich właściciele pozwolili im zachować?

Jego myśl nie napotkała żadnej przeszkody, żadnego śladu sterowania! Jony wyostrzył swą pozazmysłową moc, przewidując opór, lecz zamiast tego ostrze jego wniknęło wprost do strumienia myśli Maby, jej własnych myśli. Maba! Jony był podniecony odkryciem, że nie doszło do najgorszego. A może mógłby wszczepić jej teraz myśl o ucieczce, o pomocy?

Z przejściem obserwował małą figurkę. Jej ramię opadło miękko, bezwładnie, zachwiała się i chyba upadłaby na ziemię, gdyby nie złapał jej i nie podtrzymał jeden z astronautów. Jony włożył zbyt wiele siły w ten kontakt. Wycofał się natychmiast, lecz rozsądek powrócił zbyt późno i Jony świadomy był teraz niebezpieczeństwa.

Najeźdźca, który podtrzymywał Mabę, szybkimi ruchem wziął dziewczynkę na ręce i pobiegł w górę pochylni do wnętrza statku. Dwaj jego towarzysze nie poszli jednak za nim, lecz skierowali się do latającego pojazdu, tak szybko wskazując do środka przez otwór, który pojawił się w kulistej pokrywie, jak gdyby uciekali przed jakimś atakiem.

Jony domyślał się, że uświadomili sobie jego próbę kontaktu z Mabą, że znów zaczną go poszukiwać. Odwrócił się do Otika; trzeba, żeby samiec zrozumiał, że obecność Jony'ego sprowadzi teraz kłopoty na głowy Ludu.

Sygnalizował z całą powagą i mocą, jakie umiał włożyć w swe przesłanie:

— Tamci wiedzieć ja tutaj. Oni polować, oni tropić...

Otik pokręcił lekko głową, co oznaczało obojętność.

— Nikt nie znaleźć Lud, Lud być ostrzeżony — odparł.

— Oni znaleźć. — Nadając, Jony zwracał równocześnie uwagę na pojazd. Półkula była zamknięta, maszyna równo wznosiła się w powietrze. Oni mieć sposób.

Czy udało mu się skłonić Otika do uważnego wysłuchania? Jeżeli nie, to Lud będzie prawdopodobnie skazany na ten sam nieszczęsny los, który spotkał Voaka, Yaę i pozostałych.

— Ty iść tam, ja pokazać...

Ku uldze Jony'ego. Otik puścił smycz, pokazując metalową dzidą na odcinek grzbietu z dala od miejsca, gdzie skrywał się klan.

Jony puścił się pędem i przemykając pod tworzącym rodzaj stropu gąszczem, skierował pogoń w miejsce naprawdę oddalone od klanu. Nie było nadziei, by Lud ze swoją bronią mógł sprostać obcym. Lecz Jony zamroczył już kiedyś umysł Wielkiego i teraz mogło mu się udać to samo z nowymi najeźdźcami. Jeśli uniknie wykrycia swej obecności — a był pewien, że tak — będzie mógł skierować się z powrotem do kamiennej siedziby i uzbroić się w najpotężniejszą broń, jaką tam znajdzie. Chyba że z pomocą Maby, obcy będą tam pierwsi.

Dlaczego Maba pomagała najeźdźcom, skoro nie była mentalnie sterowana?

Pytanie to prześladowało Jony'ego ale nie mógł teraz poświęcić dość czasu takim problemom. Musiał użyć całego sprytu, by uciec temu latającemu pojazdowi, którego brzęczenie stawało się coraz głośniejsze.

Zwisająca z tyłu smycz zaczęła się o krzak z szarpnięciem, które o mało nie zważyło go z nóg, sprawiając, że obroża wbiła mu się w szyję. Jony oderwał luźny koniec powrozu, a resztę okręcił sobie wokół pasa, nie mając teraz czasu na rozplątywanie węzła przy obroży. Grunt był tu nierówny, a glina rozmyta przez deszcz; na śliskiej, mazistej powierzchni Jony dwa razy stracił równowagę i upadł.

Trzymał się w ukryciu dzięki zręczności nabytej w krainie ptaków vor. Brzęczenie nad głową nie cichło jednak; najwidoczniej podążali za nim, jak gdyby na własne widzieli każdy jego ruch, każdy unik, wyminięcie przeszkody.

I wtedy...

Jony potknął się, nogi odmówiły mu nagle posłuszeństwa. Uczucie słabości, odpływania, wywołało wrażenie, że już nie tyle biegnie, co unosi się na poruszającym powietrzu... Zrobił ostatni rozpaczliwy wysiłek, by nie stracić przytomności i... zapadł się w nicość.

Bolała go głowa. Ból był tak silny, tak potężny, że rozsadzał nie tylko czaszkę, ale wypełniał całe ciało. Równocześnie Jony miał gorycz w ustach, mdłości i zbierało mu się na wymioty. Kiedy ten napad minął, Jony starał się leżeć bardzo spokojnie i wówczas ból zdawał się odrobinę słabnąć.

Otworzył oczy i zaraz je szybko zamknął, gdyż światło (oślepiające światło, które nie miało w sobie nic z blasku słońca) kłuło w oczy niby ostrze, zwiększając ból w głowie. Dźwięki...

Jony starał się skupić na nich całą uwagę. Czy to wiatr w trawie i zaroślach? Nie, to raczej jakiś pomrukujący głos; Jony nie zdobył się na wysiłek, by odróżnić ciche, niewyraźnie dochodzące słowa.

Wonie, zapachy...

Jony zeszytywniał, powrócił dawny lęk. Kiedyś, dawno temu, nawykły był do takich zapachów. W laboratorium Wielkich. Był więc tam, był tam z powrotem! Począł drżeć ze zgrozy.

Widzieć, musiał widzieć! Zmusił się, by otworzyć oczy, wytrzymać ból wywołany oślepiającym światłem. Nad nim rozciągało się coś gładkiego — nie było to niebo. Musiał się znaleźć w latającym pojeździe, a może nawet na statku!

Zadawniona nienawiść do klatek powróciła z całą siłą. Kiedy powoli odwrócił głowę, odkrył, że leży wyciągnięty na czymś, czego nie mógł dostrzec. Na wprost niego widać było wyposażenie laboratoryjne.

— NIE!

Możliwe, że wydał jakiś głos, gdyż w jego ograniczonym polu widzenia pojawiła się postać, ktoś stanął w zasięgu ręki. A twarz obcego, który pochylił się, obserwując chłopca, nie była twarzą Wielkiego. Ani nawet mentalnie sterowanego. Zbyt wiele było w tych oczach inteligencji, wyraz tej ciemnej twarzy był zbyt czujny i rozumny. Był to bez wątpienia jeden z astronautów.

— Jak się czujesz?

Jony zamrugał. Rozumiał słowa, tylko akcent różnił się od akcentu mowy, jakiej nauczyła go Rutee i w której porozumiewał się z bliźniętami. Lud Rutee?

Czyniąc wysiłek, który wydawał mu się ogromnie wyczerpujący, Jony w odpowiedzi wolno zapytał:

— Kim... jesteś...?

Obcy kiwnął głową potakująco, jak gdyby sam fakt, że Jony może mówić, był pocieszający.

— Jestem Jarat, medyk.

— Jestem na statku — nie zabrzmiało to jak pytanie; Jony był już pewien odpowiedzi.

— W ambulatorium, tak.

— Maba... Geogee... — zawahał się, dodając sobie odwagi niepewny, czy zdobędzie się na ostatnie, najważniejsze pytanie. Czy nie wzbudzi to podejrzeń tego, medyka (cokolwiek to słowo oznaczało)? — Lud...?

Maba i Geogee są z nami, bezpieczni — odpowiedział Jarat.

Nie powiedział jednak nic o Voaku, o Yai, o pozostałych. Czyżby nie żyli?

— Jak on się czuje? następny stanął obok by spojrzeć w dół na Jony'ego. — Czy może już odpowiedzieć na pytania?

— Daj mu najpierw przyjść do siebie, Pator, jak działają środki odurzające...

Ten, do którego zwracał się Jarat, był wyraźnie zniecierpliwiony, pomyślał Jony. Chciał go wypytywać. — o Lud? O kamienną siedzibę? W tej chwili Jony postanowił: nie będzie odpowiadać na żadne pytania, dopóki nie dowie się, co się stało z Ludem, dopóki nie powiedzą mu, czy on sam jest teraz więźniem w miejscu, której bardzo przypominało mu dawną niewolę.

Jony zacisnął usta i odpowiedział przybyszowi wręcz wyzywającym, gniewnym spojrzeniem. Czy nowo przybyły zrozumiał to jego niechętnie zachowanie, Jony niemógł tego dociec. W każdym razie wycofał się z zasięgu wzroku chłopca, zostawiając Jarata samego.

Medyk trzymał w ręku coś, czym dotknął ramienia Jony'ego. Dotyk nie był bolesny, złagodził natomiast ból głowy, przyniósł ulgę odczuwalną na całym ciele. Jony podświadomie odprężył się, rozluźnił.

— Tak lepiej? — Jarat nie czekał na odpowiedź. — Teraz weź to...

Przyłożył do ust chłopca rurkę, a ten wcale nie mając na to ochoty, wziął ją w usta.

— Weź solidny łyk — rozkazał Jarat.

Jony posłuchał. Poczuł ciepły, smaczny płyn i przełknął go. I to również wywołało przyjemną reakcję w całym ciele.

— Zdrzemnij się — Jarat uśmiechnął się. — Kiedy znów się do nas przyłączysz, będziesz czuć się znacznie lepiej.

Był tak apodyktyczny, jak gdyby sterował mentalnie Jonym. Oczy chłopca zamknęły się i prawie od razu zasnął. Tym razem spał bez snów.

Kiedy zbudził się ze snu, światło nad nim było takie samo. Nie odczuwał jednak bólu głowy, był wypoczęty i pierwszy raz od dawna — odprężony. Unosząc się na łokciach, uważnie rozglądał się dookoła. Miejsce, w którym leżał, miało część wyposażenia, jakie pamiętał z laboratorium, ale wszystko było wykonane w mniejszej skali. No i nie było tu klatek. Przekonawszy się o tym, Jony wydał gwałtownie westchnienie ulgi. Spodziewał się bowiem ujrzeć Lud pozamykany i oczekujący na męki, jakie obmyślają dla nich ci, którzy ich pojмали, zniewolili i nękali, tak jak Wielcy nękali ludzi podobnych Jony'emu.

Głowę miał lekką i trochę mu się w niej kręciło; czuł się jak ktoś, kto od dawna nie jadł. Mógł jednak usiąść i opuścić podrapane i posiniaczone nogi z krawędzi przypominającego półkę miejsca, na którym leżał.

Zdjęli mu spódniczkę i ... — gwałtownie podniósł ręce do gardła. Obroza! I ona zniknęła. Nagi stanął przy półce i trzymając się jej ręką, rozglądał się dookoła. Było tam wiele skrzyń, półek z różnymi rzeczami, których nie umiał nazwać. Lecz na ile zdążył się zorientować, nie było tam nikogo.

Jony spróbował zrobić kilka kroków, nadal trzymając się półki. Był silniejszy, mógł już sobie radzić. Rezygnując z podpory, zaczął okrążyćabinę, chcąc znaleźć drzwi. Nie miał pojęcia, czy uda mu się uciec ze statku. Nie można być niczego pewnym, zanim się nie spróbuje.

Dotarł właśnie do jednej ze ścian pozbawionej półek, na której nie dało się jednak zauważyć żadnego wyjścia, kiedy usłyszał cichy dźwięk. Poszukiwane drzwi pojawiły się wprost przed nim tak nagle, że stanął jak wryty, pełen najczystszej zdumienia.

Stał tam astronauta, który nazywał siebie Jaratem. Przez parę sekund jego zdziwienie było równe zdumieniu Jony'ego. Potem uśmiechnął się i szybko wszedł do środka, a szpara zamknęła się za nim, choć nie wykonał żadnego gestu zamykania.

— A więc nie tylko się obudziłeś, ale znów jesteś gotów do życia, Jony?

— Skąd znasz moje imię? — Jony był jakoś dziwnie rozdrażniony tym powitaniem. Ta pewność siebie sprawiała, że w trudny do określenia sposób poczuł się mały i bardzo młody, traktowany na równi z bliźniętami.

— Maba, Geogee. Czy zrozumiałeś, że się do nas przyłączyli?

Jony zaczął się cofać, dopóki nie poczuł za sobą półki, o którą się oparł.

— Nie przyłączyli się do was — powiedział. — Wzięliście ich do niewoli. Tak jak Wielcy zwykli brać swoich więźniów. Co z nami zrobicie?

— Zabierzemy was do domu — odparł Jarat.

Tu jest dom. — Bo był to dom dla niego, Jony'ego, dla bliźnięt. Sam Jony tak długo był na statku Wielkich, że nie znał innego zewnętrznego świata oprócz tego.

— Wiesz, jesteś człowiekiem — Jarat mówił ciągle tonem, jakim pociesza się dzieci. — Z tego, co powiedziały nam bliźnięta, wynika, że ty i twoja matka uciekliście ze statku Zhalanów, w którym trzymali oni niewolników. Dzieci urodziły się tu, ale to nie jest wasz świat.

Jarat wyciągnął spod pachy zawiniątko z ubraniem i położył je na półce obok Jony'ego.

— Przyniosłem ci strój, jaki nosimy tu, na statku. Powinien na ciebie pasować, przymierz. Kapitan Trefrew chce z tobą rozmawiać tak szybko, jak tylko będzie można.

Jony przysunął zawiniątko do siebie. Jeżeli to włoży, utożsami się w ten sposób z ludźmi ze statku. A Yaa i Voak, co z nimi? Może, jeżeli uda posłusznego rozkazom, nie tylko będzie mógł odkryć, co się stało z członkami klanu, ale także im pomóc.

Jarat musiał mu pokazać, jak zapiąć przód jednoczęściowego stroju, który kończąc się miękkimi podeszwami, okrywał całe ciało, łącznie ze stopami. Jony, gdy się już dobrze pozapinał, czuł się tak mocno spowity, że aż się dusił.

Medyk przyjrzał mu się krytycznie.

— Całkiem nieźle. Ta rozczapierzona kita włosów w żaden sposób nie zmieści się pod hełmem. Ale reszta może być.

Może być — ale do czego, chciał wiedzieć Jony. Nie zadawał teraz żadnych pytań, mając nadzieję, że to, co trzeba było wiedzieć o statku, uda mu się odkryć tak, że nikt się nawet nie domyśli, jaki cel mu przyświeca. Choć medyk twierdził, że jest z jego, Jony'ego rodzaju. Jony nie poczuwał się do żadnego z nim pokrewieństwa.

Byli ludzie i były zwierzęta. Rutee opowiadała mu, że kiedyś jej lud w sposób niemal bezwzględny posługiwał się zwierzętami jak narzędziami. Potem sami ludzie stali się z kolei „zwierzętami”, narzędziami Wielkich. Lud musiał być zwierzętami tak długo, jak rządili tu ci z kamiennego miasta, a potem...

Ręką znów dotknął gardła, mając ciągle uczucie, że napotka tam obrożę. Klan uczynił go „zwierzęciem”, mając w tym swój cel — miało to stanowić ostrzeżenie i karę.

— Dziwi cię tu wszystko, co? Zadawaj pytania, jakie tylko chcesz. Wiem, że masz sporo do nadgonienia — powiedział Jarat.

Jony skinął głową. Medyk powiedział prawdę, lecz nie w sposób, w jaki pojmował ją Jony. Od czasu kiedy się obudził, był ostrożniejszy, nie próbował nawiązać żadnego mentalnego kontaktu. Czy gdyby zechciał, mógłby pokierować Jaratem?

Czy, tak jak swego czasu wpłynął na Wielkiego i umożliwił ocalenie Rutee, teraz mógłby sprawić, by Jarat zaprowadził go do Ludu, uwolnił wszystkich członków klanu? Jony nie wiedział, czy to możliwe i jak na razie był zbyt ostrożny, by to sprawdzić.

Ale w miarę jak szli, robił ze swych oczu dobry użytek; starał się zapamiętać ścieżkę wiodącą przez dżunglę statku, podobnie jak zapamiętałby punkty orientacyjne w zewnętrznym świecie. Nie było ani śladu Maby, ani Geogee'a, a i Jony nie dopytywał się jeszcze o nich. Najlepiej po prostu słuchać rozkazów i czekać, aż sam będzie się mógł czegoś więcej dowiedzieć.

Jony zdawał sobie sprawę, że jego towarzysz od czasu do czasu bacznie na niego spogląda, jak gdyby oczekując po nim czegoś więcej. Chłopiec nie przejmował się tym zbytnio; statek sam w sobie przyciągał całą jego uwagę.

Przeszli krótki odcinek w dół, a potem szereg stopni prowadził ostro w górę. Medyk pokonał je w paru susach, Jony podążał za nim. Na swych, po raz pierwszych w życiu, obutych nogach chłopiec poruszał się niezgrabnie, toteż szedł ostrożnie.

Minęli dwa kolejne, oddzielone od siebie sektory statku, przechodząc do trzeciego. Potem medyk przemknął raz jeszcze przez krótkie przejście. Ściana przed nim otworzyła się, by go przepuścić. Jony poszedł jego śladem, ukrywając — miał przynajmniej nadzieję, że mu się to udaje — rosnący lęk. Czuł się pochwycony w pułapkę.

To musiał być kapitan. Mężczyzna siedział swobodnie. W odpowiedzi na jego gest medyk podszedł do ściany i odchylił dwa siedzenia. Jedno zajął sam, a drugie wskazał Jony'emu.

Jony usiadł na samym brzeżku. Po pierwsze siedzenie tak wysoko na ziemię wydawało mu się nienaturalne, a po drugie czuł zbyt wielkie wewnętrzne napięcie, by siedzieć swobodnie.

— A wiec uciekłeś ze statku Zhalanów — zaczął kapitan obcesowo. — Lata temu. I nie masz pojęcia o swoim ojczystym świecie? — Rzucił słowa z niecierpliwością, jak gdyby Jony przedstawiał dla niego jakiś dodatkowy, zbędny problem.

— Rutee mówiła — Jony po raz pierwszy przerwał milczenie — że to była nowa kolonia. Ona i Bron zdecydowali się tam polecieć. Później przybyli Wielcy... Bron walczył w laboratorium, a jego umysłem nie można było sterować. Zabili go. — Była to opowieść, która nigdy nie znaczyła dla niego zbyt wiele, choć Rutee cierpiała, kiedy o tym mówiła.

— A ty?

— Ja byłem bardzo mały. Zostawili mnie w klatce razem z Rutee. Nie pamiętam nic poza klatkami.

— A ta Rutee, twoja matka, była mentalnie sterowana?

— Nie! — Jony spojrzął na kapitana spode łba. Niektórych z nas nie można było używać do tego celu i większość wyrzucali. Rutee sądziła, że zatrzymali ją, by zbadać, dlaczego tak się dzieje. Wiele razy stosowali na niej swoje maszyny.

Zadrżał, czując do tego człowieka nienawiść za to, że kazał mu przypomnieć sobie, jak wywlekano Rutee z klatki, jak przynoszono ją z powrotem. Czasami wydawało się, że nie żyje, kiedy indziej jęczała, trzymając się za głowę i krzycząc głośno, jeżeli zbliżył się do niej chociażby na chwilę.

— A ty?

— Mną też nie mogli sterować. Ale zbytnio nie próbowali.

— A bliźnięta?

W Jonym narastał gniew. Tak jak znał i odczuwał wszystkie bóle Rutee, tak znał też jej wstyd i rozpacz. Lecz taka była prawda, a więc niech ją usłyszą. Niech ci przybysze dowiedzą się, co Wielcy potrafili zrobić z bezbronnymi.

— Wsadzili mnie do innej klatki, a potem ją do klatki mentalnie sterowanego mężczyzny — powiedział sztywno.

W kabinie zaległa cisza. Jony nie patrzył na żadnego z astronautów.

Usłyszał, jak kapitan powiedział coś, czego nie zrozumieć, szorstko, nieprzyjemnie. Lecz wspomnienie Rutee rozogniło gniew Jony'ego do tego stopnia, że przestał się rozsądkiem. Podniósł się gwałtownie ze swego siedzenia, by stanąć przed kapitanem. Starając się mówić jak najspokojniej, walcząc z niecierpliwością i strachem, zapytał zdecydowanie, z naciskiem: Gdzie jest Yaa?

XII

— Yaa? — powtórzył kapitan. Mówił tak, jakby nie rozpoznawał tego imienia. — Masz na myśli małą Mabę. Ona jest z...

Ale Jony przerwał mu, zdecydowany, by dowiedzieć się prawdy tu i teraz. — Yaa, samica z Ludu. Zabraliście ją i Voaka i dwoje innych tam, na otwartym terenie.

— Samica — Jarat poruszył się niespokojnie. — Ona jest... — raptownie przerwał, odczytując chyba lepiej uczucia chłopca z wyrazu jego twarzy niż Jony z twarzy kapitana. Jony gwałtownie odwrócił się w stronę medyka.

— To gdzie ona jest? Zabiliście ją?

Jarat pokręcił głową.

— Oczywiście, że nie! Okazy są... — znów przerwał w pół słowa.

Jony walczył ze sobą, by zachować zimną krew, żeby nie dać im poznać swojej nagłej wrogości.

— Yaa — mówił powoli i z naciskiem, chcąc wyrzucić w ten sposób wrażenie na tych dwóch obcych — ocaliła życie Rutee. Zaopiekowała się bliźniętami, kiedy Rutee zmarła. No mówcie, coście z nią zrobili?

Jarat spuścił oczy pod nieustępliwym wzrokiem chłopca, który zwrócił się więc znów do kapitana:

— Pytam ciebie: co zrobiliście z Ludem? Kapitan astronautów również nie wydawał się skłonny do udzielenia szybkiej odpowiedzi. Jony uwolnił więc swój zmysł poszukiwania i nakierował go wprost na umysł kapitana, badając jego myśli.

Obraz był zmacony, lecz dostatecznie wyraźny, by w odpowiedzi na to, czego się dowiedział, wyrwać z ust Jony'ego warknięcie zbliżone do gardłowych dźwięków wydawanych przez zagniewanych członków klanu.

Yaa uwięziona wśród maszyn niewiele różniących się od tych, które stosowali Wielcy. Yaa — być może mentalnie sterowana! Zgroza połączona z gniewem spotęgowały zdolność koncentracji.

Kapitan potrząsnął głową, zamachał gwałtownie rękami, sięgając do pasa, tam gdzie, jak sądził Jony, mieściła się jego broń. Chłopiec uderzył w oficera całą siłą swych skupionych myśli. W końcu mężczyzna opadł na krzesło i osunął się bezwładnie na podłogę.

Jony już odwracał się w stronę medyka, który gwałtownie podniósł się z krzesła, wyraźnie zaniepokójony. Chłopiec raz jeszcze się skoncentrował, bezlitośnie mierząc w umysł szeroko otwarty na jego myślową sondę.

— Yaa — rozkazał — zaprowadź mnie do niej!

Jarat walczył, starając się wznosić bariery, lecz Jony, w swym strachu i gniewie, łatwo je pokonywał. Nie wiedział jednak, jak długo będzie do takiego działania zdolny. Medyk sztywno podszedł do drzwi, idąc tak, jakby każdy jego mięsień walczył o odzyskanie kontroli nad ciałem, które Jony przymuszał teraz do działania zgodnie z własną wolą. Żadna obietnica dana Rutee nie mogła już obowiązywać, nie po tym, co Jony odczytał w umyśle kapitana, kiedy zapytał o Yaa. Zostawili kapitana leżącego na podłodze kabiny. Jony nie wiedział, jak długo astronauta pozostanie nieprzytomny i obawiał się, że trudno mu będzie panować równocześnie nad obydwojma. Trzeba było teraz, tak szybko jak to możliwe, dostać się do członków klanu.

— Jony! — głos Maby z dołu. Lecz Jony nie pozwalał sobie teraz na myślenie o czymkolwiek innym, co mogłoby przerwać jego panowanie nad Jaratem.

Medyk zaczął się powoli opuszczać po biegnącej przez środek statku drabinie, a

Jony, zniecierpliwiony, przynaglał go do pośpiechu. Czuł, jak w tamtym toczy się walka przeciwko jego, Jony'ego, dominacji i starał się przełamać jego opór z całym naciskiem, na jaki mógł się zdobyć.

— Jony! — Idąc w dół, weszli na drugi poziom. Tam, przy drabinie, stała Maba. Jony nawet na nią nie spojrział. W tej chwili Maba się nie liczyła. Była wśród tych obcych wolna, zaś Yaa, Voak i inni — nie.

— Jony, co się stało? — złapała go za rękaw, kiedy przechodził obok. Jony uwolnił się szybkim szarpnięciem, pochłonięty sterowaniem Jaratem, utrzymaniem go w ruchu.

— Jony! — głos Maby był teraz przerażony. Nie miało to żadnego znaczenia, choć Jony zdał sobie sprawę, że Maba ruszyła za nimi.

Minęli ten poziom, z którego Jony pierwotnie wyruszył, przeszli w dół do następnego. Jak dotąd mieli szczęście i nie natknęli się na nikogo z załogi. Teraz Jarat odszedł od drabiny i stał, chwiejąc się na nogach.

Jego twarz była mokra od potu, ponieważ z całej siły starał się przełamać dominację Jony'ego. Jony zaś czuł odpływ tej mocy, którą musiał wkładać w utrzymanie panowania nad nimi dwoma: nad swym więźniem i swym przewodnikiem. Dla Yai, Voaka, dla Ludu — dokona tego!

— Jony, dlaczego? — głos Maby.

Potrząsnął głową zirytowany tymi próbami przyciągnięcia jego uwagi. Jarat, idąc chwiejnym krokiem i nadal walcząc o wyzwolenie, skierował się teraz w dół bardzo krótkiego przejścia.

Medyk uniósł wolno rękę. Jego wewnętrzny opór przed wykonaniem tej czynności był tak silny, że aż widoczny w tym niedokończonym geście. Potem dłoń Jarata spoczęła na chwilę na ścianie. Wówczas, na podobieństwo kamiennych ścian w podziemiach, i ta ściana rozdzieliła się i weszli do pomieszczenia, którego istnienia od początku Jony się obawiał.

Odór strachu był tu równie silny jak inne dziwne zapachy statku. Przykuta do ściany tkwiła tam Yaa, metalowe pasy utrzymywały ją w pozycji pionowej, a jej głowa ukryta była pod hełmem, z którego wychodziły druty nierównej długości. Maszyna pomrukiwała głośno; coraz głośniej rozlegał się żalostny jęk, który omal nie pozbawił Jony'ego całej odwagi i wiary w siebie.

Odwrócił oczy od Yai i spojrział w drugą stronę tego miejsca męczarni. Voak rozpięty był w taki sam sposób. Jego głowa zwisała, pochylona do przodu; ogromne oczy były zamknięte. Można by sądzić, że śpi, gdyby nie dźwięk, jaki dobiegał z jego rozchylonych warg.

Jakiś członek załogi statku pochylał się nad mruczącą maszyną, z oczyma wlepionymi w świecący prostokąt dujący się na jej szczycie.

Spojrzał przelotnie na Jarata i powrócił do swych obserwacji.

— Zdumiewające, po prostu zdumiewające — zauważył. — Ten odczyt jest zupełnie wyjątkowy.

— Yaa! — To nie Jony krzyknął. Maba wdarła się za nimi i pędziła wprost ku pokrytej futrem postaci pod ścianą. Ale astronauta był od niej szybszy. Wyrzucił do przodu swe długie ramię i odepchnął dziewczynkę.

Jony był wstrząśnięty; potwierdziły się jego najgorsze obawy. Jego panowanie traciło na sile. Jarat się uwolnił, zakręcił się wkoło, błyskawicznie sięgnął do pasa po broń, która tam wisała.

Nie było dzidy, lecz Jony porwał z pobliskiego stołu drut, uformował z niego bicz. Lud używał splecionych pnączy jako bicza i Jony nauczył się tym posługiwać.

Jony trzepnął biczem, chwytając Jarata za przegub dłoni.

— Co się tu dzieje? — Drugi astronauta wciąż jeszcze był całkowicie zaprzątnięty

szamotaniem się z Mabą. — Co ty sobie wyobrażasz? — Potrząsnął nią mocno, co nie zrobiło na dziewczynce żadnego wrażenia.

Jony ruszył na medyka. Lud uprawiał zapasy i Jony znał ich chwyt. Nie miał jednak pojęcia, czy pomogą mu teraz. Jego ciało uderzyło mocno o ciało Jarata, który wpadł na stół, strącając na podłogę wszystko, co tam leżało. Ale Jarat szybko odzyskał przewagę, a Jony nie umiał odeprzeć zwalających z nóg ciosów przeciwnika.

Miał tylko jedną broń — i użył jej. Wysłał do umysłu Jarata niweczającą, skoncentrowaną siłę, używając całej mocy, jaką udało mu się zebrać i tam skierować.

Jarat z ręką wzniesioną do ataku potknął się, poleciał naprzód, padając na kolana pomiędzy potłuczone rzeczy, które spadły ze stołu przy ich pierwszym zwarciu. Jony użył teraz drutu jako rzemienia i związał ręce Jarata na plecach.

— Jony! — Krzyknęła Maba ostrzegawczo. Jony odwrócił się. Drugi astronauta trzymał Mabę jedną ręką a drugą broń skierowaną prosto w chłopca. Jony musiał się zdobyć na ostatni wysiłek. Raz jeszcze użył swego daru i zaatakował.

Twarz astronauty wykrzywiła się. Wydał z siebie dziwny, wysoki pisk. Maba, uwolniona, rzuciła się po jego broń, używszy siły swych sprawnych mięśni, by wyrwać ramię z uchwytu. Zanim Jony zdążył się poruszyć, skierowała broń na astronautę, naciskając przycisk na rękojeści.

Jej ofiara oklapła, padając twarzą w dół obok wijącego się na podłodze Jarata.

— Jego też! — Maba znów uniosła broń.

— Nie zabijaj — zaczął Jony, a ona zaśmiała się lekceważąco. l

— To nie zabija, a tylko usypia ludzi. — Nacisnęła guzik i ciało Jarata również opadło.

Maba spojrzała na astronautów, a potem podniosła wzrok na Jony'ego.

— Ja nie wiedziałam, Jony, naprawdę nie wiedziałam! — błagała go o zrozumienie. — Nie wiedziałam, że Yaa... że zrobili z nią coś takiego.

— Teraz już wiesz — odparł krótko. — Za to ja nie wiem, czy uda nam się stąd wydostać.

Już był u boku Yai, próbując uwolnić ją z więzów, które unieruchamiały jej krępe ciało. Był jakiś specjalny sposób ich zapinania, podobnie jak obroży, i Jony nie mógł sobie z tym poradzić. Trzeba się było spieszyć. Kapitan mógł już oprzytomnieć i zaalarmować cały statek.

— Proszę cię Jony — Maba kręciła się koło niego niecierpliwie. — Ja nie wiedziałam...

Jony walczył z nieustępliwymi więzami, naciskając tu i ówdzie, szarpiąc palcami. Jak to się może otwierać?

Jak Wielcy otwierali takie zamknięcia? Łamał sobie głowę, nie znajdując żadnej sensownej odpowiedzi. Cofnął się o parę kroków, uderzając o maszynę, którą astronauta był tak bardzo zaprzątnięty, kiedy weszli. Czy za jej pomocą można by otworzyć zamki? Lecząc które z licznych przycisków, biegnących tam całymi rzędami, były właściwe? Bał się eksperymentować, żeby nie narazić Yai na większe cierpienie.

— Jony — Maba przysunęła się blisko do niego. — Spójrz tu — podsuwała mu trzymaną broń. — Czy nie mógłbyś jej użyć, żeby przerwać te...

Nie chciał dotykać tej rzeczy. Podobnie jak czerwony pręt, przedstawiała sobą siłę, której ani nie rozumiał, ani nie chciał użyć.

— Rzuć to! rozkazał.

— Nie! Mając to, będziemy mogli się stąd wydostać, Jony. Możemy po prostu usypiać każdego, kto spróbuje nas zatrzymać.

Zmienił zdanie. Maba miała rację. Będą mogli poświęcić więcej czasu na oswobodzenie Yai i Voaka z więzów.

— Jonnniiii...

Jony zaskoczony rozejrzał się dookoła. Voak uniósł głowę, jego olbrzymie oczy otwały się. Wyteżył się, dobywając całej siły głosu, by wydać z siebie kraknięcie, które swym brzmieniem było zbliżone do imienia Jony'ego. Jony zorientował się od razu, że Voak miał coś ważnego do komunikowania. Lecz łąpy wodza były uwięzione; bezradny, nie mógł gestykulować, przekazać żadnej wiadomości. A Jony nie potrafił podłączyć swego zmysłu do myśli Voaka w stopniu pozwalającym na zrozumienie, o co chodzi.

Chłopiec zdał sobie sprawę, że Voak dokonuje tak wielkiego wysiłku jak on sam wtedy, kiedy utrzymywał panowanie nad Jaratem i zmuszał medyka do przyprawienia tutaj.

Otwierając swój umysł najszerzej jak się dało, Jony wpatrzył się głęboko w oczy wodza. Miejsce z guzikami! Położył swoją rękę na jego skraju. Voak uniósł pysk i opuszczył go gwałtownie. Jeśliby wódz wiedział...

— Maba — Jony wydał szorstki rozkaz. — Idź do drzwi. Bądź gotowa do użycia broni.

Kiwnęła głową, okrążyła bezwładnych, pojmanyh astronautów i zajęła stanowisko dokładnie na wprost wejścia. Ogłuszacz trzymała pewnie w obu rękach, wzniesiony na wysokość piersi, gotowy do użycia.

Jony zaczął przesuwać wskazujący palec kolejno z guzika na guzik, rzędami. Wiedział, że Voak to obserwuje. Ale wódz nie dawał żadnego znaku. Czy rozumiał? Jony był pewien, że tak, że Voak rozumie i gorączkowo wyczekuje, aż Jony dotknie właściwego przycisku.

Nie był to żaden w pierwszym rzędzie, ani w drugim. Ale kiedy czubek palca Jony'ego zaczął krążyć nad pierwszym guzikiem w trzecim rzędzie Voak energicznie przytaknął. Jony nacisnął. Rozległ się trzask i pasy przytrzymujące Yaę i Voaka otworzyły się i opadły. Voak przeszedł ociężałym krokiem przez kabinę i podszedł do boku małżonki, żeby ją podtrzymać, podczas gdy Jony spieszył uwolnić jej głowę z płataniny drutów. Voak pieśczośliwie lizał futro na policzkach Yai, a ona — wydając słaby, cichy głos — otworzyła oczy.

— Jony, słyszę jak nadchodzi — zawołała Maba. Na zewnątrz rozległo się dudnienie, jak gdyby wiele nóg waliło w stopnie drabiny, pędząc w dół z szybkością, która wskazywała na groźbę natychmiastowego ataku. Jony doskoczył do Maby, porwał od niej broń.

— Trzymaj to tak — powiedziała i naciska tutaj!

— Gdzie jest reszta, Geogee i Lud?

— Geogee pojechał z tymi, którzy chcieli zobaczyć kamienne miejsce — odpowiedziała. Nie wiem, gdzie umieścili Corra i Ugę.

— I prawdopodobnie nie będziemy mogli czekać, by się o tym przekonać — ponuro odparł Jony. Zastanawiał się, czy którekolwiek z nich wydostanie się wolno ze statku. Chłopiec wiedział, że potrafiłby zapanować równocześnie nad Jaratem i jakimś drugim astronautą, lecz nie mógłby swej dominacji rozciągnąć w tym samym czasie na całą załogę. Spojrzał na więźniów leżących na podłodze. Czy nie dałoby się ich użyć jako przedmiotu przetargu?

Chrzknięcie Voaka przyciągnęło uwagę Jony'ego. Wódz prowadził Yaę; jej oczy były na wpół przymknięte. Widać było wyraźnie, że porusza się tylko dlatego, że jej małżonek nakłania ją do tego, popychając. Jony wolną ręką wykonał znak określający niebezpieczeństwo, wskazując na drzwi.

Voak znów chrząknął i potakująco kiwnął nosem w dół. Łapami głaskał delikatnie Yaę, wydając szereg cichych pomruków.

Nagle z powietrza ponad nimi odezwał się głos:

— Uwaga, ogłaszam alarm pierwszego stopnia... Słuchajcie wy w laboratorium.

Jony... Maba...!

Przez krótką chwilę Jony'emu wydawało się, że to mówi jeden z ich więźniów. Lecz gdy spojrział w dół, zobaczył, że obaj nadal są pod wpływem działania broni Maby. W takim razie kto i jakim sposobem...?

Spłoszony rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu mówcy. Maba złapała go za ramię, stanęła na palcach i zaczęła poruszać wargami, cicho coś mówiąc. Nachylił się więc i pochwycił jej szept:

— Oni tak mówią z kabiny do kabiny. To jest kapitan. Być może rozpoznawała ten głos, lecz dla Jony'ego rozkaz nie był wydany ludzkim głosem; miał zimne, bezosobowe brzmienie.

— Słuchacie mnie? — zapytał niewidzialny. — Nie możecie się wydostać! Ani też ty Jony nie możesz użyć swych pozazmysłowych zdolności. Popróbuj...

W rozkazie zawarty był taki przymus, że Jony spróbował. Jego sondująca myśl uderzyła o nieprzekraczalną barierę. Siła tego zderzenia odepchnęła jego własną moc jak odrzucający w tył cios, toteż chłopiec aż zachwiał się na nogach.

— Jony! — Krzyk przerażonej Maby wydobyl go z tego wstrząsu, powstrzymał upadek do tyłu. Tak więc, pomyślał niewesoło, jedyna broń, którą umiałem władać, została stracona.

— Rozumiesz? — ciągnął głos. — Możemy cię pognębić, tak jak tylko zechcemy, zwalić z nóg, ogłuszyć, podobnie jak to zrobiliśmy przed pojmaniem ciebie.

I chyba rzeczywiście tak było. Nie znał miary sił, jakimi mogli jeszcze dysponować.

— Użyj swojego rozumu — nękały go płynące z powietrza słowa. — Jesteś całkowicie w naszych rękach. Nie ma ucieczki...

Jony odrzucił głowę do tyłu. Ostatnie zdanie zawierało taką arogancką pewność, że coś się w nim przeciw nią zbuntowało:

— Użyj swojego rozumu — odparował. Mamy tu dwóch twoich ludzi.

— Zgadza się. Lecz jeśli będziesz usiłował się targować, używając ich jako zakładników, to nie będziemy się patyczkować. Możecie zostać tam, gdzie jesteście, dopóki nie zgłodniejecie na tyle, by spokojnie wyjść.

Zanim Jony zdołał sformułować jakąś odpowiedź, Maba podniosła głos, przybierając dobrze chłopcu znany ton:

— Powiedziałeś mi, że z Yaą jest wszystko w porządku! — krzyczała. — Powiedziałeś, że wypuścicie ją i Voaka, i Ugę, i Corra. Ale wyście ją skrzywdzili! Dręczyliście ją! Jesteście całkiem tacy jak Wielcy! — Twarz Maby poczerwieniała od krzyku. Maba była zawsze skora do wybuchów złości, a teraz nadchodził właśnie szczytowy moment jednego z jej napadów furii. Zakręciła się, chwyciła najbliższy przedmiot z półki po prawej stronie. Potem powoli, z rozmysłem, z widocznym zamiarem dokonania możliwie jak największego spustoszenia, ruszyła w stronę urządzenia sterującego pasami, które trzymały członków klanu na uwięzi. Unosząc ciężką sztabę wysoko nad głową, z całej siły cisnęła nią w maszynę. Znajdująca się na górze szklana płytka roztrzaskała się. Z wnętrza buchnął snop iskier.

— Teraz spróbujcie! krzyczała. — Spróbujcie tylko krzywdzić znów Yaę lub kogokolwiek innego!

Ogarnięta bliskim histerii szałem dziewczynka waliła w maszynę bez opamiętania. Jony nie próbował jej powstrzymać. W rzeczywistości był trochę zazdrosny, że sam nie wpadł na ten pomysł.

Należało odpłacić astronautom za krzywdy wyrządzone Ludowi, to oczywiste; trzeba było zniszczyć wyposażenie laboratorium, żeby ci ludzie nigdy już nie mogli zadawać żadnych mąk innym więźniom.

— Powstrzymaj ją! Powstrzymaj ją, ty głupcze! — Mężczyzna, który poprzednio

pracował przy tej maszynie, teraz uniósł chwiejnie głowę znad podłogi i ze zgrozą obserwował niszczycielski atak Maby.

— Po co? — spytał Jony. — Żebyście mogli znów użyć swej maszyny do meczenia Ludu? Maba ma rację, nie jesteście lepsi od Wielkich.

— Nic nie rozumiesz — mężczyzna starał się doczołgać do maszyny. Jony wkroczył szybko między niego i Mabę. Wyrazne przerażenie astronauty sprawiło, że chłopcu zaczęła świtać w głowie pewna myśl.

— Ona przepali obwody! — Głos mężczyzny przechodził prawie w ryk. — Upieczemy się żywcem.

— Lepsze to niż skończyć w waszych klatkach, — Jony nie tracił spokoju. Strach tego obcego był przekonujący; byli chyba w niebezpieczeństwie. Nie miało to jednak większego znaczenia, gdyż nadzieje Jony'ego na życie były i tak niewielkie.

— Maba — Jony stanął za dziewczynką, chwytając ją za ramiona uniesione do kolejnego ataku na niemal już zdewastowaną maszynę, z której unosił się nieprzyjemny zapach.

— Puść mnie! — szarpnęła się, odpychając go.

— Jeszcze nie — odparł Jony. — Może udałoby się nam dokonać pewnej wymiany...

Maba przekreśliła głowę tak, że mógł patrzeć prosto w jej twarz.

— No i co teraz? — Jony zwrócił się wprost do astronauty, który usiłował się przybliżyć. Z tyłu za nimi leżał medyk; oczy miał już otwarte. — Słuchajcie teraz bardzo uważnie, obaj. Myślę, że pomysł Maby jest dobry, uważam, że całe to laboratorium trzeba zniszczyć. Nie lubię klatek i nie podobają mi się ludzie, którzy wyglądają jak ja, a postępują jak Wielcy. Nie znoszę, kiedy się krzywdzi moich przyjaciół. Rozumiecie?

— Myśmy ich nie krzywdzili, badaliśmy ich... — odparł astronauta.

— Ja byłem też badany — powiedział Jony — więc widziałem, co się działo ze „zwierzętami” laboratoryjnymi. Uważacie ten Lud za zwierzęta, prawda? — rzucił wściekle. — Nie potrzebujecie wymyślać odpowiedzi, która by mnie zadowoliła, z waszych myśli mogę odczytać, co sądzicie naprawdę...

Pierwszy odezwał się Jarat.

— Co zamierzasz teraz zrobić? Kapitan Trefrew nie może być tak...

— Mogę pozwolić Mabile działać tu dalej — odpowiedział Jony — a nawet się do niej przyłączyć. Widzisz, byłem już kiedyś więźniem laboratorium i nie mam zamiaru zostać nim znowu. O wiele lepiej jest umrzeć...

— Ale — zaprotestował drugi astronauta — my nie mamy zamiaru tknąć ciebie czy dzieci. Spytaj ją, czy nie była bardzo dobrze traktowana.

— W to nie wątpię — odrzekł Jony. — Uznaliście ją za jedną ze swoich. Ale my nie uznajemy was za jednych z nas! Rozważcie ten problem. My jesteśmy z Ludu — skinał, wskazując Yaa i Voaka.

Jony nie wiedział, czy członkowie klanu zrozumieli coś z tej wymiany zdań. Ucieszył się, widząc, że Yaa jest żwawsza, że nie zwisa już bezwładnie, wsparta na swoim małżonku. Być może, jeśli jakimś niezwykłym zrządzeniem losu uda im się wydostać ze statku, Yaa wróci całkiem do siebie.

— Jesteście ludzkiego rodu — powiedział Jarat.

— My jesteśmy z Ludu — odpowiedział Jony równie stanowczo.

— Czego chcecie?

— Swobodnie opuścić statek razem z waszymi więźniami.

Puścił Mabę i czekał.

— Jeżeli macie jakiś sposób, żeby porozumieć się z waszym kapitanem — dodał po chwili — lepiej to zróbcie. Jeżeli nie, to kiedy Maba się zmęczy, ja ją zastąpię z

wielką przyjemnością.

XIII

— Słyszałeś go kapitanie? — Jarat podniósł nieco głos. — Mogę cię zapewnić, że chłopak zrobi to, co mówi.

Zapadła cisza zakłócona tylko bardzo słabym brzęczeniem dobiegającym z pudła potłuczonej przez Mabę maszyny. Astronauta, który przed chwilą zmierzał w tamtym kierunku, teraz obserwował swą maszynę z takim samym lękiem jak ktoś, kto spogląda na szczyt urwiska, gdzie mają swe siedliska ptaki vor. Było oczywiste, że bał się tego urządzenia, stracił nad nim kontrolę.

— Kapitanie — teraz on z kolei zawołał — I-80 zbliża się do punktu krytycznego.

— Każ swoim ludziom zejść nam z drogi i uwolnić pozostałych dwoje z Ludu — Jony ponownie przedstawił swoje żądania. — Nie mamy nic do stracenia oprócz własnego życia, a wiemy już, czym pachnie pozostawanie w waszych rękach.

Kiedy żadna odpowiedź nie nadeszła, Jony odwrócił się zdecydowanie do Maby:

— Daj mi to! — Sięgnął po sztabę, którą dziewczynka dewastowała laboratorium.

— Nie! — astronauta nie tyle powiedział, co wrzasnął. — Nie rozumiesz, co robisz. Będzie straszny odrzut!

Jony kiwnął głową.

— Odpowiem ci, że naprawdę doskonale rozumiem.

— Dziewczynka. Nie możesz pozwolić, żeby zginęła.

— Prędzej zabiję ją własnymi rękami — powiedział Jony wolno i dobitnie — niż pozwolę jej zostać tu z wami.

Maba roześmiała się.

— On to robi — przytaknęła energicznie. — Kiedy i obiecuje, zawsze tego dotrzymuje. A jeśli on nie zniszczy waszej maszyny, ja to zrobię. Okłamaliście mnie! Nie powiedzieliście mi prawdy o Yai i Voaku. Wychowałam się z Ugą w jednym gnieździe; to tak jak przyrodnia siostra. — Pochyliła się nisko i zbliżyła swoją twarz do twarzy szamoczącego się mężczyzny. — Jesteśmy z tej samej pory, Uga i ja, i jesteśmy blisko spokrewnione. Jony, zrób to! — Wyprostowała się i przeniosła wściekły wzrok z astronauty na maszynę. — On się boi; oni wszyscy się boją! Zrób to, Jony!

Jony uniósł sztabę.

— Kapitanie! — szaleńczo błagał astronauta.

Jarat nie przyłączył się do niego. Przyglądał się bacznie Jony'emu, jak gdyby starał się ocenić, ile z tego, co chłopiec mówił, jest prawdą. To, co wyczytał z twarzy Jony'ego, musiało go przekonać.

— Kapitanie — jego głos był bardziej opanowany od głosu współtowarzysza. — On rzeczywiście zamierza to zrobić. W końcu nie możemy oceniać tych rozbitków według naszej własnej miary... jeszcze nie.

— Przejście dla was — słowa zabrzmiały zgrzytliwie, jakby kapitan musiał się przymuszać do wypowiedzenia każdego z nich. — Ale nie skończyliśmy z wami...

— Przejście dla nas — odparł mu Jony.

— Kłamali przedtem, to mogą i teraz kłamać! Maba poczerwieniała z przejęcia, ale Jony już o tym pomyślał.

— Wzniesliście barierę między umysłami — powiedział. — Nie wykorzystam swego wpływu, ale będę mógł sprawdzić, czy twoi ludzie nie knują czegoś przeciwko nam.

Znów przez dłuższy czas nie było odpowiedzi. A potem: — Proszę bardzo. — Jony wyczuł wściekłość czającą się za tą zgodą.

Użył teraz swego zmysłu. Tak, bariera zniknęła. Dał znak Mabie, żeby podeszła do drzwi, Yaa i Voak już tam byli. Drzwi rozsunęły się, na zewnątrz nie było nikogo. Jony nadal poszukiwał za pomocą umysłu; astronauta byli powyżej, poniżej...

— Na dół — wskazał drabinę. Jeśli Yaa nie mogła pokonać zejścia, to skomplikuje ich sytuację.

Ale Yaa zdawała się wracać do sił. Pierwsza zaczęła gramolić się w dół Maba, za nią Voak, a za nim, wolniej się poruszając, szła Yaa. Jony zamykał pochód, skupiając się na lokalizowaniu wszelkich wykrytych przez swój umysł oznak życia.

Byli na szczęście tylko o jeden poziom wyżej od stojącego otworem wyjścia, skąd wybiegała prowadząca ku wolności pochylnia. Czekają tam już, stojąc blisko siebie, dwoje młodszych członków klanu. Maba zarzuciła ręce na puszyte ramiona Ugi, objęła ją.

— Wychodźcie — ponaglił ich Jony ostrym rozkazem. Ale Lud nie potrzebował rozkazów; człapali już na swych miękkich łapach w dół, ku wolności. Jony szedł za nimi. Jak dotychczas, jego zmysł nie wykrył żadnego poruszenia na statku. Jednak skoro tylko znajdą się na zewnątrz, zostaną wystawieni na atak. Czy kapitan ze swej strony dotrzyma warunków umowy? Jony nie dowierzał mu, tak jak nie dowierza się żadnym paktom z wrogiem.

Przecinali teraz otwarty teren, kierując się w stronę wzniesienia. Uga i Corr nie doznali żadnego uszczerbku w czasie swego uwięzienia, ale widać było wyraźnie, że ani Voak, ani Yaa nie mają swej dawnej siły i nie mogą poruszać się z największą szybkością, do jakiej zdolny był Lud.

Jony szedł jako tylna straż. Nadal miał ogłuszacz zabrany astronauta. Drugi, który wyrwał Jaratowi zza pasa, kiedy wychodzili, teraz powierzył Mabie.

Dziewczynka wyprzedziła ich i zwrócona twarzą do statku stanęła w pół drogi do szczytu. Jony nie wiedział, jaki zasięg miała ta broń. Chciał wierzyć, że Maba ze swojej pozycji będzie mogła osłaniać ich odwrót równie skutecznie jak on ze swojej na tyłach.

Całe szczęście, że nie było latającego pojazdu. Mając go nad głowami, nie mieliby żadnych szans. Czy ci ze statku uderzą teraz na nas, używając jakiejś broni o większym zasięgu? — zastanawiał się Jony. Tak niewiele wiedział...

Lud przeszedł obok stanowiska Maby. Uga i Corr wspięli się już na sam grzbiet. Jony wiedział, że będą się starali dostać pod osłonę gąszczu. Yaa i Voak podążali za nimi.

Stojąc u stóp wzniesienia, Jony, podobnie jak Maba, odwrócił się. Jego sonda myślowa znów nie mogła się przedrzeć. Tam, na statku ponownie wzniesiono barierę. Mogło to oznaczać nadejście ataku!

— Jony! zawołała Maba. — Chodź.

Zerwał się do biegu. Yaa i Voak zniknęli z widoku. Maba weszła na szczyt i tam stała, nadal na straży. Jony dyszał ciężko, kiedy się z nią zrównał.

Najbardziej ze wszystkiego pragnął, by to masywne wzniesienie z ziemi i kamienia znalazło się teraz między nimi a statkiem. Nie wierzył do końca, że odzyskali wolność.

Jony obserwował statek w skupieniu, prawie spodziewając się ujrzeć oddział wyruszający, by ich tropić. A może astronauta zaczekają z pościgiem na powrót latającego pojazdu? Geogee! W czasie ucieczki — w zdenerwowaniu i napięciu — Jony zupełnie zapomniał o chłopcu. Co to oni powiedzieli? — Geogee polecił, by wskazać astronautom drogę do kamiennej siedziby. Jony nie miał najmniejszych wątpliwości, że chodziło im o podziemne magazyny. Pręty o niezwykłej mocy!

Rozglądając się wokół, nie dostrzegł śladu Ludu. Uciekinierzy rozplątali się w otaczającym gąszczu. Maba pociągnęła go za rękaw stroju, w który wtoczyli go na

statku.

— Pójdą za nami? — powiedziała pytająco.

— Może czekają na latający pojazd.

— Geogee jest z nimi. Jony.

— Wiem. Będziemy musieli też go wydostać. — W tej chwili jednak Jony najbardziej obawiał się tego, co chłopiec mógł pokazać astronautom. Kapitan i ci na pokładzie statku nie okazywali w stosunku do dzieci żadnej niechęci, przynajmniej do chwili, kiedy Maba obróciła się przeciwko nim. Czy można było wierzyć, że Geogee jest jak na razie, bezpieczny?

— Musisz mi powiedzieć — natarł na Mabę — wszystko, co o nich wiesz. Co oni tu robią?

Maba była zakłopotana.

— Chcą tu przybyć, żeby założyć kolonię, Jony. Była bitwa, gdzieś tam daleko — wolną ręką wskazała niebo. — Wielcy zostali wyparci z tej części kosmosu. i teraz ci ludzie szukają nowych światów na kolonie dla swego ludu.

— Ten świat ma swój Lud. — Jony spojrzał ponad jje głowę na gąszcz, gdzie weszli Yaa, Voak i pozostała dwójka. — Ci astronauta nie mogą tak sobie przyjść i zabrać:go.

— Jony — Maba przysunęła się bliżej. — Może i mogą. Pokazywali nam różne rzeczy. Mają wielkie skrzynule. Siedzi się i patrzy, a w środku są obrazy, ruszają się ludzie, coś robią. Pokazali nam, jak żyją na innych światach, Jony, jest ich strasznie, strasznie dużo, tych światów. Będzie ich na pewno więcej niż wszystkich drzew, które w życiu widziałeś — sięgnęła po taki rodzaj porównania, jaki zrobiłby na nim największe wrażenie. Ilmają mnóstwo statków przestworzy większych od tego. Mówią, że potrzebują więcej miejsca dla ludzi i są bardzo zadowoleni, że znaleźli ten świat, bo tutaj mogą oddychać i jest tu tak jak tam, gdzie dotąd żyli.

— Ale to nie jest ich świat — powtórzył Jony. — On należy do Ludu!

— Czy zawsze należał, Jony? Przypomnij sobie, co wdzieliśmy na obrazach...

Gwałtownie chwycił ją za ramiona, patrząc wprost w jej zdziwioną twarz.

— To nie jest prawda, Mabo. Lud, to nie zwierzęta, to nie rzeczy przeznaczone do użytku...

Przypomniął sobie w tej chwili, co Voak powiedział, nakładając mu obrożę na szyję. Rzeczy do użytku jak kij, siatka na owoce; rzecz to nie osoba. Lud zdobył już raz wolność i nie może znów popaść w niewolę, nigdy.

— Ale co my możemy zrobić, żeby ich powstrzymać? Jony? — Maba dotknęła samego sedna sprawy. Astronauta mogą usypiać ludzi tymi rzeczami — zamachała ogłuszaczem. Mogą lecieć wprost nad nami i usypiać nas. W taki sposób nas pochwycili. Lud nie zdołał się nawet zbliżyć na tyle, by walczyć.

Była to nieprzyjemna prawda i trzeba ją było przyjąć do wiadomości. Na dodatek możliwe, że akurat w chwili Geogee pokazuje astronautom broń ludzi z kamiennej siedziby. Jony nie wiedział co mogą zrobić on sam i ale był równocześnie pewien, że nie można pozwolić obcym zawładnąć tym światem bez walki. Pozostawało stwierdzić, co myśli Lud i co zamierza zrobić dla swej obrony.

— Chodź! — ruszył w dół za członkami klanu, którzy zniknęli w gąszczu. Gdyby tylko udało mu się w porozumieć z Voakiem! W takich momentach ułomność języka znaków stawała się boleśnie odczuwalna.

Kiedy wreszcie przybyli na miejsce, Jony był prawie pewny, że spotka go Otik. Nie było tam jednak ani śladu Ludu. Jony użył swego specjalnego zmysłu, poszukując choćby najślabszego cienia odbioru. W pobliżu nie było nic. Lud, co było do przewidzenia, wyruszył, był już w drodze. Postarają się odejść od statku najdalej, jak się da.

A on nie mógł wysłać żadnej wiadomości, by ich zatrzymać. To, że skierowali się na północ, stanowiło w sytuacji jedyną pomyślną okoliczność.

Gąszcz, przez który Jony nauczył się przemykać prawie bez przeszkód, teraz ciągle go zatrzymywał. To jego nowe ubranie zahaczało się o krzaki. Było mu w nim gorąco, pocił się, a materiał ocierał mu skórę na karku, pod pachami, na udach. Maba nie miała takich kłopotów. Zamiast swej dawnej spódniczki nosiła teraz nowe okrycie, sięgające jednak tylko od szyi do kolan. Jony domyślił się, że był to strój naprędce zaimprovizowany, gdyż nie mieli na statku tak małego ubrania odpowiedniego dla dziewczynki. Mogła się prześlizgiwać, dając nurka w gęstwinę i robiąc uniki, omijając przeszkody i przemykać się między nimi znacznie zręczniejsz od niego.

Zbyt wolno się wlekli, by nadążyć za Ludem, który w sposób oczywisty szybko pojął lekcję, że trzeba się trzymać kryjącej osłony. Jony nasłuchiwał brzęku latającego pojazdu. Czy ci na statku mają jakieś sposoby komunikowania się, by przywołać pojazd z powrotem?

Kiedy szli, bombardował Mabę pytaniami, a ona w miarę możliwości odpowiadała mu na nie szybko i ochoczo. Z jej relacji wynikało, że byli oboje bardzo dobrze traktowani, że kapitan i Jarat wypytywali ją i Geogee'a o ich przeszłość. Bliźnięta, nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, w odpowiedzi podzieliły się z nimi wszystkim, co wiedziały. Astronauci byli szczególnie podnieceni, usłyszawszy o kamiennej siedzibie.

— Nic dziwnego, że byli — odparł jej na to Jony — słysząc, co tam się kryje.

— Masz na myśli ten pręt, który znalazł Geogee. — Maba zgodziła się z nim. — Geogee opowiedział im wszystko. Chcieli zobaczyć taki pręt.

Jony był wstrząśnięty. Cóż on i bliźnięta zgotowali Ludowi, któremu zawdzięczali życie? Statek przestworzy? Nie, statek mógł przecież i tak wylądować, nawet jeśli on i bliźnięta nie poszliby na poszukiwania do kamiennego miejsca. Przekazali jednak informacje o ukrytych tam tajemnicach!

Mimo szybkiego marszu klanu, Jony i Maba dogonili ich przed zapadnięciem zmroku. Otik, który najwidoczniej stał na czatach, nie zatrzymywał ich, ale też i nie powitał. Przyglądał im się tylko, jak wchodzili do obozowiska, gdzie przygotowano niewielkie, skromne gniazda na krótki odpoczynek.

Voak przykucnął przy swej połowicy, która leżała wyciągnięta na największym i najlepszym legowisku. U drugiego jej boku siedzieli Uga i Corr i Jony pomyślał, że na pewno dzielili się z resztą szczegółami ze swego pobytu w niewoli, opowiadali, jak ich traktowano na statku.

Chłopiec przytrzymał Mabę, widząc, że ta śpieszy do Yai. Trzeba było poczekać na to, jak ich przyjmie Voak i pozostali, niech najpierw okaże się, czy on i Maba mogą z Ludem pozostać, czy połączą ich na powrót więzy klanowego pokrewieństwa, w sposób głębszy niż dotychczas.

Voak przyglądał im się w milczeniu. To Yaa pierwsza wydała kilka pomruków w mowie Ludu. Jej mąż spojrzał na nią, a potem znów na Jony'ego. Podniósł się ociężale i ruszył, by stanąć z Jonym twarzą w twarz. Jego ogrom sprawił, że Jony wydał się sobie przy nim mały i nieważny. A jednak wódz klanu nie zignorował go, czego się chłopiec po trosze spodziewał. Obroża zniknęła, ale Lud go od niej nie uwolnił. Jony nadal odczuwał jej ciężar na szyi i wiedział, że nie zniknie on do czasu odzyskania pełnej wspólnoty z klanem.

— Na statek — Voak uniósł rękę, nadając — zły rzeczy.

Jony skwapliwie odpowiedział:

— Zły!

— Ludzie na statek z niebo jak ty.

Jony nie mógł zaprzeczyć zewnętrznemu podobieństwu. Gorączkowo rozglądał się

dookoła, szukając jakiegoś przykładu na dowód, że wygląd zewnętrzny może być mylący.

— Skoczki, Jony — Maba podsunęła mu rozwiązanie — przypomnij sobie skoczki i cęgosze! Porównanie, które kiedyś zrobił, by ją przekonać! Żeby tylko przekonało i Voaka. Jony gestykulował. Najpierw nadał znak określający skoczka, później znak ukrycia się i polowania, potem znak cęgosza i znów ukrycia się. Cały Lud doskonale wiedział o dziwnym sposobie maskowania się, który skoczki stosują, o tym, jak często udaje im się zwieść wybraną ofiarę.

Nakreśliwszy tę znaną Ludowi sytuację, przeszedł teraz do porównań.

— Ci z niebo: skoczki. Jony, Maba, Geogee: cęgosze. Wyglądać podobnie, być różni. — Voak wydawał się rozważać tę myśl. Jony brnął dalej: — Jony złapany; znaleźć Yaa, Voak, Corr, Uga. Jony zrobić, oni wyjść ze zły miejsce. — Temu Voak nie mógł zaprzeczyć. Chłopiec ciągnął dalej: — Jony nie być krewny dla zły ludzie ze statek, Jony być krewny dla Voak, Yaa.

Czekał w napięciu. Przemawiał na swoją korzyść najlepiej, jak umiał. Jeśli Voak odrzuci tę jego argumentację, nie uwierzy mu, wówczas oboje, Jony i Maba, nie będą krewnymi, pozostaną samotni, niezależnie od tego, co zrobili, by uwolnić Lud.

Yaa odezwała się znów ze swego miejsca. Voak poruszył się niespokojnie, na chwilę się od niej odwrócił, a potem przemówił do Jony'ego:

— Geogee zabrać zły ludzie do kamienne miejsce — zasygnalizował.

— Geogee nie wiedzieć, co być z Yaa, Voak. Geogee, Maba: myśleć, wszystko być dobrze.

Czy Voak w to uwierzy?

— Zły ludzie znaleźć moc i zrobić z Lud rzeczy. Miejsce kamienne mieć taki moc. Jony nadał znak potwierdzenia i dodał odważnie:

— Lud musieć nie dać zły ludzie zabrać moc. Voak rozwarł szczęki, ukazując rząd przerażających kłów. Na jego twarzy pojawił się wściekły grymas, a pysk wykrzywił mu się tak jak w czasie walki z jaszczurem smaa czy ptakiem vor.

— Voak, Lud nie mieć taki kij — odwrócił się i wziął kij z łap Trusha, potrząsając nim przed twarzą Jony'ego — jak zły ludzie mieć. Oni mieć mały kij; robić Lud spać, a potem zabrać Voak, zabrać drugie.

Jony wyciągnął ogłuszacz z przedniej kieszeni stroju i podał go wodzowi.

— Mały kij na spanie dla Voak — powiedział.

Lecz wódz zrobił krok do tyłu:

— Zły rzecz, nie dla Lud.

— Lepiej Lud to mieć i nie iść na statek znów.

Z grupki zgromadzonej za legowiskiem Yai przepchnął się do przodu stary Gorni. Trzymał w ręku metalową dzidę znalezioną przez Jony'ego. Zakrzywionym końcem celował prosto w pierś chłopca.

— Ty dać łapa — zasygnalizował.

Jony przełożył ogłuszacz do lewej ręki i wyciągnął prawą. Zanim zdążył zaprotestować, Gorni złapał go za przegub mocnym, unieruchamiającym chwytem. Mimo swego zaawansowanego wieku, były wódz dysponował jeszcze tak wielką siłą fizyczną, że nie mógł się z nim pod tym względem równać żaden z przybyszów z dalekiego świata. Opuścił ostry koniec dzidy, nakłuwając skórę na dłoni Jony'ego. Potem nachylił nad nią pysk i obwąchiwał pojawiające się krople krwi. Jony nie pojmował znaczenia tej całej operacji. Z poruszenia wśród Ludu mógł jednak wynioskować, że był to akt wielkiej wagi. Gorni skończył węszyć i podniósł głowę: — Dobrze pachnieć, być krewny dla klan. Jony wydał westchnienie prawdziwej ulgi. W jaki sposób zapach jego krwi miał się do przyjęcia na łono klanu, tego nie umiałby powiedzieć. Lecz ze zmiany zachowania Ludu wynikało, że — przekonani przez

Gorniego uznali go znów za swego. Będąc jednym z nich, musiał dołożyć starań, by zrozumieli niebezpieczeństwo grożące ze strony statku. Nie tylko teraz, ale i w przyszłości. Może Maba miała rację, że ten statek był zwiastunem przyszłej kolonii. Cały ich klan znalazł się więc w potrzasku i musiał gdzieś się przenieść. W jaki sposób i w jakim kierunku — Jony nie miał pojęcia. Możliwe, że już chwili, kiedy statek wylądował, Lud był skazany na przegraną. Ale Jony nie chciał się z taką myślą pogodzić; trudno mu było uwierzyć, że coś takiego mogłoby się wydarzyć.

Z wiarą, z ufnością, jakiej od dawna już nie odczuwał, Jony nadał do Voaka:

— Lud musicie nie dać złym ludziom zabrać moc z kamiennego miejsca.

Voak przygarbił swe potężne ramiona. Jony miał wrażenie, że i przez myśli wodza przemknęło coś na kształt obawy przed przegraną.

— Jak zatrzymać?

Rzeczywiście, jak? Jony nie potrafił jeszcze dać na to odpowiedzi. Może jak już tam będą, to uda mu się odpowiedzieć na to pytanie. Czy jednak Voak zgodzi się złamać prawa Ludu, by wkroczyć do kamiennej siedziby budzącej w klanie taki strach i odrazę?

— My musicie znaleźć sposób. Oni wziąć rzecz. — Łatwo było wyobrazić sobie zamierzony, a nie przypadkowy użytek, jaki można zrobić z czerwonego preta. — Oni wziąć rzecz bardzo źle.

Voak kiwnął pyskiem, co w mowie jego gatunku oznaczało potwierdzenie.

— Lud iść daleko, źli ludzie nie znaleźć.

— Źły lecieć w powietrze bardzo szybko, Lud iść bardzo wolno. — Jony miał rację, że Voak przyjmie tę prawdę do wiadomości. On sam nie miał żadnych złudzeń, co do przewagi latającego pojazdu i statku przestworzy.

Voak może i chciał temu zaprzeczyć, ale nie miał jak. Dał natomiast Jony'emu znak do odejścia, czemu Jony musiał się podporządkować. Chłopiec wziął Mabę za rękę i poszedł na drugą stronę obozowiska, pozwalając Ludowi, by przedyskutował sprawę na swój własny sposób.

— Jony, a co, jeżeli oni nie pójdą do kamienno-go miejsca? — — spytała Maba.

— Ja pójdę tak czy owak — odpowiedział jej Jony. — A teraz lepiej bierzmy się za gniazdo.

— Ja też pójdę — szybko powiedziała Maba.

— Nie! Ty zostaniesz z Yaa i z Ludem — tu miał zamiar być stanowczy.

Znów doszła do głosu jej dawna wojowniczość i Maba natychmiast mu się sprzeciwiła.

— Nie zostanę! Wiem więcej od ciebie o tym miejscu z obrazami. To ja znalazłam wejście. Jeżeli spróbujesz wyruszyć beze mnie, to i tak pójdę za tobą.

I ani chybi poszłyby. Jony nie miał co do tego wątpliwości. Nie sądził też, że Lud zrobiłby cokolwiek dla jej powstrzymania.

— Tam jest Gegee — ciągnęła Maba. — I wiesz, Jony, Gegee lubi Volney'a, cały czas za nim chodzi. Volney obiecał, że kiedyś go nauczy prowadzić statek przestworzy. Nie wydaje mi się, żeby Gegee chciał ci uwierzyć, że ci ludzie są źli. Ale może mnie posłucha.

— Kto to jest Volney? — Jony zażądał wyjaśnień.

— To jeden z tych, którzy wiedzą, jak się wzbijać w górę i podróżować w powietrzu — wytłumaczyła Maba. — Gegee całkiem oszalał na punkcie maszyn. Wiele tym ludziom opowiadał o tym, co widział w kamiennej siedzibie. A ja słyszałam, jak oni rozmawiali; sądzą, że ci dawni ludzie pozostawili tam jakieś bardzo ważne rzeczy. Jeżeli uda się nam go przekonać, wyjaśnić mu wszystkiego, to Gegee będzie chciał być z nimi, a nie z nami.

Była bardzo poważna i Jony wiedział, że mówi całą prawdę. Między bliźniętami

była głęboka więź i całkiem możliwe, że Maba przekonując Geogee'a o niebezpieczeństwie zagrażającym ze strony obcych, mogła osiągnąć znacznie lepsze rezultaty niż Jony. Chłopiec nie mógł jednak znieść myśli o narażaniu jej na to, co mogło się okazać nie tylko niebezpieczną, ale i beznadziejną walką.

— Pójdę! Powiedziała Maba i zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu.

Zanim Jony zdołał znaleźć odpowiedź, Voak oderwał się od grupki Ludu i podszedł do nich. Jony, jak zwykle, nie mógł nic wyczytać z wyrazu pokrytego sierścią pyska, ale Voak już zaczął poruszać rękami.

— My pójść zobaczyć...

W końcu udało się ich nakłonić, pomyślał Jony rzeczowo, bez triumfu. Możliwe, że był w całkowitym błędzie, możliwe, że wiódł ich ku niebezpieczeństwu. Miał tylko ten swój instynkt, który podpowiadał mu uparcie, że zostało im tylko to jedno do zrobienia.

XIV

Nie podchodzili do kamiennej siedziby (którą, jak powiedziała Maba, astronauta nazywali „miastem”) drogą, którą przyszedł poprzednio Jony, wzdłuż kamiennej rzeki, prowadzącej prosto do samego serca miasta. Kiedy już Voak zdecydował się na tę wyprawę, sam objął dowództwo nad ich małym oddziałem. Nakazał samcom i młodzieży wyruszyć na zachód, w rejon głębszych i bardziej niedostępnych lasów, które — jak mieli nadzieję — będą stanowiły przeszkodę dla kolejnych ataków z powietrza.

Ich własna podróż z powrotem na pomoc odbywała się w tempie właściwym Ludowi. Nawet Jony, choć tak niecierpliwy, uznał to za mądre posunięcie pozwalające uniknąć nadmiernego zmęczenia przed osiągnięciem celu. Przy takiej jednak szybkości potrzebowali na to dwóch dni, z krótkim tylko odpoczynkiem w nocy, gdy zapadły zupełne ciemności.

Prześli otwarte tereny w pobliżu kamiennej rzeki, a potem zapuścili się w okolice wzgórz, które, jak sądził Jony, leżały niedaleko jaskini z klatką. Ten odcinek pokonywali prawie cały drugi dzień; pod wieczór osiągnęli grzbiet wzgórza, skąd roztaczał się widok na miasto — nie od frontu jednak, lecz dokładnie od tyłu.

Jony nie dostrzegł ani śladu latającego pojazdu. Maszyna przecież mogła wylądować po drugiej stronie gęsto wznoszących się murów. Leżąc obok Voaka, ukryty w trawie i gąszczu pokrywającym grzbiet wzgórza, chłopiec zastosował swą metodę wykrywania obecności tych, którzy mogli się tam, poniżej, znajdować.

Nawet jeśli ludzie w latającym pojeździe zostali w jakiś sposób ostrzeżeni (Maba potwierdziła, że przybysze i innego świata byli w stanie komunikować się ze sobą na odległość za pomocą maszyn) i wznieśli taką samą barierę, jaką zastosowali ludzie na statku, by odeprzeć jego wpływy, sam fakt jej istnienia upewni go, że nadal tam są.

Jony zaczął szukać Geogee’a. Stworzywszy w myślach obraz chłopca, wysłał swą sondującą myśl, by pochwycić znajomy wzorec procesów myślowych młodszego brata, ale napotkał żadnej bariery. Tak! Udało się.

Sygnal wszakże był tak słaby, że nie dawał wielkich szans na dojście tym tropem do miejsca, gdzie był Geogee. Mimo to kontakt był. Voak tymczasem uniósł znad ziemi ramiona i głowę. Najwyraźniej węszył, poruszając swymi szerokimi nozdrzami. Potem, zanim Jony zdążył zdać relację ze swego odkrycia, Voak kiwnął mocno głową w geście potwierdzenia.

Zakosami wódz wycofał się ze szczytu wzgórza. Jony prześlizgiwał się w ślad za nim. Kiedy wzgórze, cała ta masa ziemi i kamieni, oddzielało ich już od miasta, zwiadowcy spotkali się z resztą oddziału.

— Zapach silny, oni tam być — nadał Voak.

Poważnie spojrzął na Jony’ego, a ten zastanawiał się, i robić dalej. Nie wiadomo było, czy statek ostrzegł ludzi w mieście. Jeżeli przybysze zostali już zaalarmowani, szanse klanu malały.

Pamiętając jaskinie o kamiennych ścianach, Jony zdawał sobie sprawę, że było tam dość miejsca do zabawy w chowanego. Lud ze swoim wrodzonym darem skutecznego ukrywania swej obecności mógł niepostrzeżenie przedzierać się dalej. Obcy mieli jednak znakomitą broń o niezwyklej skuteczności, broń, która mogła razić na odległość. Lecz czy Lud zgodzi się w ogóle na wejście do miasta?

Jego towarzysze rozmawiali w swej własnej mowie,

Jony siedział spokojnie z rękami zaciśniętymi na metalowej dzidzie, którą mu zwrócono. Zmarszczony, rozważał różne wersje planu, kolejno je odrzucając, gdyż

nie miały najmniejszych szans powodzenia. Nagle, z ogromną wyrazistością, przypomniał sobie klatkę w górach. Nie wiedział dlaczego w tej chwili naszło go to wspomnienie.

To, czego się tam wtedy dowiedział, dowodziło, że Lud w przeszłości umiał sobie radzić, i to skutecznie, z górującymi nad nim swą bronią ludźmi. Jony zgarbił się, pochylił do przodu, a ta jego zmiana pozycji najwidoczniej nie uszła uwadze Voaka. Wódz bowiem lekko odwrócił głowę i uważnie patrzył na chłopca.

Następny krok zależał teraz od tego, ile Voak zechce Jony'emu powiedzieć, od tego, czy Lud w pełni chłopcu ufa. Jakże bardzo, bardziej niż czegokolwiek w życiu, Jony pragnął mieć dar czytania w ich myślach. Jednak...

Voak zasygnalizował:

— Co my robić?

Czy wódz odgadł, że Jony powziął w końcu mglisty plan? Plan ten w ogromnym stopniu zależał od innych, miał wiele, oczywistych dla samego pomysłodawcy wad i, niestety, mógł zawieść.

— Lud być tutaj dawno. — Jony starał się uszeregować sprawy, które musiał poznać, jeżeli Lud mu pozwoli. Wskazał grzbiet, za którym leżało miasto. — Lud nosić obroże, Lud być rzeczy...

Voak nie odpowiedział na to żadnym gestem potwierdzenia. Jony postanowił się nie zniechęcać.

— Jak Lud się uwolnić? zapytał śmiało.

Przez dłuższą chwilę obawiał się, że Voak odmówi mu odpowiedzi. Pozostali członkowie klanu wydawali szereg pochrząkiwań, dopóki Voak nie nakazał ciszy gestem łapy. Opuścił pysk, dotykając nim prawie pstrokatego futra na piersi. Jony wyczekiwał.

Maba przykucnięta obok Jony'ego, poruszyła się. Jony dał jej ręką znak, by siedziała spokojnie. Chłopiec wiedział, że Voak waży teraz w myślach kwestię odpowiedzi, jej udzielenie najpewniej oznaczało złamanie pradawnych praw klanu.

Wreszcie jednak wódz podniósł swe czarnoskóre dłonie i zaczął nadawać znaki, jak gdyby pragnął mieć pewność, że Jony zrozumie.

— Tamci być chory. Mnóstwo umrzeć. Lud nie umrzeć. Lud być silny, złamać obroże, wyjść z klatki... Złapać ludzie w pułapka. Zabrać ludzie z miejsce, gdzie oni mieć silny broń. Wsadzić do miejsce bez silny broń. Ludzie umrzeć. Lud być wolny, nigdy nie nosić obroże.

Tak więc to choroba osłabiła twórców miasta, wystawiła na gniew i bunt Ludu. Ta pułapka...

— W kamienne miejsce — spytał Jony tam być pułapka dawno?

Voak potwierdzająco kiwnął głową.

— Pułapka być tam teraz?

— Długo, kto wiedzieć? — nadeszła odpowiedź.

— Wy umieć to znaleźć? — nalegał Jony.

Znów zapadła chwila ciszy, po czym zaczęli mówić wszyscy naraz. Na koniec Voak odparł:

— Nie wiedzieć.

— Czy wy chceć szukać pułapka teraz? — Była to jedna z ważniejszych spraw do ustalenia. Jony nakłonił Lud, by ten zbliżył się do miasta, lecz czy Lud zechce teraz do niego wejść?

— Dlaczego? — Voak odparł pojedynczym gestem,

— Złapać ludzie w pułapka — odpowiedział Jony.

— Oni nie być chorzy, oni mieć zły rzecz. Robić Lud spać, Lud obudzić się na statek znowu.

— Ja iść sam do kamienne miejsce. Znaleźć tamci, być krewni. Oni słuchać, ja mówić: można znaleźć rzeczy. Zabrać ludzie do pułapka.

Oto był jego lichy plan i nawet w chwili, gdy go przedstawiał, wiedział, że może on zawieść na wiele sposobów. Jeżeli ci z miasta połączyliby się ze statkiem, dowiedzieliby się, że Jony jest wrogiem. A wówczas...

— Ja idę — powiedziała Maba najpierw głośno, a potem w mowie znaków, by Lud mógł zrozumieć. — Czy ty nie widzisz. Jony — dodała, zwracając się znów i niego — że się zmieniłam, że dzięki tobie wiem, jak źle się dzieje. Poza tym muszę być z Geogee'em, bo wtedy będę się mogła zaprzyjaźnić z tamtymi ludźmi. Oni mnie znają i prędzej uwierzą mnie niż tobie.

— Nie! — Jony odmówił szorstko. Jej nalegania miały w sobie co prawda logikę, lecz jeśli nadeszła jakaś wiadomość ze statku, ludzie w mieście będą już wiedzieć o tym, jak ważną rolę w ucieczce rodzeństwa i Ludu i odegrała dziewczynka.

— Mnie pierwszej uwierzą — powtarzała z większym niż zwykle uporem.

Voak nie mógł nic zrozumieć z tej ich wymiany zdań. Podniósł się jednak ociężale, a reszta za nim.

— My iść do kamienne miejsce — oświadczył i zabrzmiało to z mocą rozkazu.

Nie opuszczali się w dół z boczna wystawieni na widok, tak jak się tego obawiał Jony, lecz skręcili bardziej na wschód. Voak objął prowadzenie, za nim postępowali Trush i stary Gorni. Potem szli Jony i Maba, a reszta formowała tylną straż. Droga wiodła wzdłuż wąskiej doliny leżącej poniżej grzbietu, kierując się ku wyższym wzgórzom poza miastem.

Tak jak poprzednio w czasie wyprawy do jaskini z klatką, Lud i teraz kroczył równym krokiem i miarowo dudnił, waląc rękojeściami swych kijów w ziemię. Jak dotąd nie zaczęli pokrzykiwać, ale Jony obawiał się tego. Taki hałaśliwy pochód mógł ich zdradzić, mógł zostać wykryty przez jakąś maszynę latającego pojazdu. Jony wiedział jednakże lepiej było nie nakłaniać Ludu do ostrożności w tym względzie. Znali niebezpieczeństwo. Niewątpliwie na swój sposób starali się mu przeciwdziałać.

Dolina zwężyła się, przechodząc w wąski parów. Tu po raz pierwszy Jony zobaczył kamienie wyglądające spod cienkiej warstwy ziemi. Budowniczo wie miasta byli i tutaj.

Właśnie w niektóre z tych kamieni (Jony'emu trudno powiedzieć, dlaczego wybierali właśnie te, a nie inne, zasady wyboru trudne były do określenia) uderzali członkowie klanu swymi kijami. Wynikiem było odbijające się echem głucho dudnienie. Jony nasłuchiwał innych odgłosów; bał się, czy nie usłyszy przypadkiem brzęczenia latającego pojazdu, który mógł wyruszyć na poszukiwania.

Dolina kończyła się ścianą całkowicie odsłoniętą na skutek obsunięcia się ziemi. Kamienie tworzące tę przeszkodę nie były jednakowe. Jony'emu udało się odróżnić zarys otworu wejściowego, który zatykały wtłoczone weń słabiej obrobione i bardziej chropowate skały.

Dwóch członków klanu oderwało się od grupy i zaczęło rękojeściami swych kijów uderzać w kamienie, mierząc jednak nie w te, które zamykały dawny otwór, lecz w samą masywną ścianę. Voak, Trush i Otik podeszli do muru i zaczęli pazurami podważać skały zamykające wejście. Jony przepchnął się i dołączył do nich. Odsunął ich j na boki i ostrym końcem swej dzidy wydobywał ziemię spomiędzy skał, podważając kamienie dzidą jak dźwignią.

Oczyścili wreszcie przejście i stanęli przed ciemnym otworem z którego dobywało się przejmujące wilgocią i chłodem powietrze. Jony z niepokojem badał otwierającą się przed nimi drogę. Nie miał ochoty ryzykować wejścia w nieznaną ciemność.

Voak dał mu znak;

— Dać dzida!

Jony wpatrywał się ze zdumieniem w wyciągniętą łapę. Przez chwilę myślał, że wódz znów mu nie dowierza, że teraz, kiedy ruszają naprzód, Voak chce go rozbroić. Zdecydowany nie ustępować, zacieśnił uchwyt na swej broni.

Voak musiał się tych obaw domyślać, gdyż znów zaczął nadawać palcami.

— Dzida potrzebny na przejście.

Słusznie. Jony i Maba wciąż mieli dwa ogłuszacze zabrane ze statku. A Voak na pewno więcej od nich wiedział o tej ukrytej drodze. Chłopiec ociągając się podał swą znaną broń wodzowi.

Voak uniósł metalowy pręt, zdawał się ważyć go w rękę, po czym zaczął walić nim w ścianę. Jego pokryta futrem głowa znieruchomiała, jak gdyby w oczekiwaniu jakiegoś dźwięku w odpowiedzi. Dudnienie to miało rzeczywiście bardziej przenikliwe, czystsze od uderzeń drewnianymi kijami brzmienie. Voak zamachnął się potężnie i po raz ostatni dzida głośno zadźwięczała o skałę; wódz wkroczył teraz do ciemnego przejścia, a idąc, nadal walił dzidą w ziemię. Reszta maszerowała za nim w tej samej kolejności co poprzednio. Maba złapała Jony'ego za rękę, zaciskając mocno palce.

— Dokąd idziemy? spytała nie głośniejsze od szeptu.

— Gdzieś do miasta — odpowiedział jej Jony, starając się, by zabrzmiało to niedbale i uspokajająco. Jednakże miarę jak światło za nimi stawało się coraz słabsze i słabsze, a droga przed nimi coraz ciemniejsza, trudniej mu było zachować poprzednią wiarę w powodzenie.

Uderzanie kijami nie ustawało. Jony chciałby znać jego przyczynę. Czy był to tylko obrzędowy gest stosowany przy zbliżaniu się do nieznanego miejsca? Czy też dudnienie miało bardziej określony, praktyczny cel? To przejście było przynajmniej równe, biegło poziomo i nie było tu żadnych gwałtownych spadków, ześlizgów w nieznaną, z jakimi mieli do czynienia w czasie swojej wcześniejszej przygody.

Powietrze było zastępe, mocno pachnące ziemią. Jony zaczął odczuwać lekki ból głowy, który powiększał się z każdym uderzeniem kijami w ścianę.

Chłopiec próbował zgadywać, co leży wokół nich, w ciemnościach. Miał wrażenie, że nie było to już wąskie przejście, lecz szersza przestrzeń, gdyż słabe echo dudnienia miało teraz inny dźwięk. Parę razy, kiedy odwracał głowę, widział słabe lśnienie oczu swych towarzyszy.

Maba milczała i tylko ścisnęła go mocno za rękę, co wskazywało na jej napięcie. Jony pragnął dodać dziewczynce otuchy, zapewniając, że wkrótce znajdą się u końca tej drogi, ale nie wiedział, czy tak będzie naprawdę.

I znów, tak jak to się już kiedyś wydarzyło, zaczęło się przed nimi powoli pojawiać szare światło. Niebawem było już widać, że znajdują się rzeczywiście na rozległej płaszczyźnie. Voak kierował się nadal na wprost, pomiędzy dwoma rzędami kamiennych podpór. Czy była to druga część magazynów? Jeśli tak — muszą być podwójnie czujni, by nie zdradził ich hałas.

Nie było tu żadnych pudeł ani obrazów na ścianach. Nagie ściany pokryte widocznymi w tym skąpym, mrocznym świetle wgłębieniami, miały ponury wygląd. Zbliżali się do jednej z nich. Na koniec, gdy podeszli bliżej, spostrzegł szereg występów, których ludzie z miasta używali kiedyś, by dostać się na wyższy poziom.

Dwa ostatnie stąpania Voaka i pozostałych nastąpiły w ciszy — przestali już dudnić. Voak podniósł głowę, tak że jego pysk skierowany był na wznoszące się stopnie. Było dość światła, by zauważyć, że wódz węszy.

Jony, mając mniej wrażliwy nos, nie wyczuwał poza zatęchłym zapachem wiszącym w powietrzu od samego początku.. Wiedział jednak, że Lud jest pod względem węchu znacznie lepiej wyposażony przez naturę.

Nie wiadomo było, czego poszukiwał Voak, wydawał się jednak zadowolony. Nie

dawszy żadnego wyjaśnienia zaczął się wspinać. Teraz posuwali się w absolutnej bezszelestnie stąpając na swych miękkich łapach.

Niedługo wynurzyli się na światło dnia. Powitał ich zachód słońca. Wspaniały blask ze szczeliny w murze ponad ich głowami kładł się szeroką smugą na kształt drogi ku szczytowi wzniesienia. Jony rozejrzał się dookoła i niezbyt daleko przed sobą dostrzegł miejsce, gdzie leżał śpiący. Biegające w ukryciu podziemne drogi zaprowadziły ich do samego serca miasta.

Ponieważ członkowie klanu po raz pierwszy się zawahali, Jony zaczął się przepychać do przodu. Nie posunął się zbyt daleko, gdyż powstrzymały go jakieś odgłosy. Były to z pewnością głosy ludzkie, tak jednak stłumione, że nie dało się odróżnić poszczególnych słów. Na dole, w przejściu prowadzącym do magazynów zobaczyli astronautów.

Geogee? Jony znów się skoncentrował, usiłując odnaleźć chłopca. Nie było żadnej bariery, jak się tego obawiał. Siłą swych myśli Jony szybko uderzył w umysł Geogee'a. Chyba za szybko i za mocno. Wycofał się więc. Czy Geogee zdradzi się przed obcymi, czy zaszokowany kontaktem z Jonym przyzna im się do tego?

Jony wyjął ogłuszacz z przedniej kieszeni swego stroju, gdzie broń spoczywała przez cały czas bezpiecznie. Gdybyż tak ich oddział mógł wziąć astronautów przez zaskoczenie, w czasie gdy tamci będą prowadzić poszukiwania tam w dole...

Głosy zbliżały się... Jony nie musiał dawać żadnego ostrzegawczego. Lud rozplątał się już w cieniu, Maba z nimi. Jony przemykał się od podpory do podpory, korzystając z osłony dawanej przez te ogromne, wznoszące się wysoko kamienne kręgi, tak jak w lesie korzystałby z drzew.

Był prawie naprzeciwko drugiego wejścia i zdążył się już przekonać, że astronauta nie poprzestali na samych poszukiwaniach. Mieli w końcu dość czasu, by dokonać wyboru wśród rzeczy należących kiedyś do ludzi z miasta. Toteż piętrzył się tam, na kształt ściany, wielki stos kolorowych pudeł; ich jaskrawe barwy przemieszane były ze sobą. Ile z nich zawierało pręty? Nie dało się tego odgadnąć, nie było też czasu, żeby sprawdzić, bowiem do wyjścia zbliżało się dwóch najeźdźców niosących skrzynię.

Szli pochyleni ku sobie pod ciężarem dźwiganego ładunku. Jony skorzystał z okazji i, mając na to dłuższą chwilę, wycelował z zamiarem, by trafić ich obu za jednym strzałem. Nacisnął przycisk i wystrzelił.

Jeden z mężczyzn opadł bezwładnie na ziemię, drugi wydał okrzyk przerażenia, upuścił swój koniec skrzyni i przez chwilę szedł jeszcze, zataczając się, dopóki Jony nie trafił go następnym promieniem. Ten odgłos padającej na podłogę skrzyni, ten krzyk — czy nie zaalarmują reszty astronautów, którzy nadal byli na dole?

Voak i inni członkowie klanu nie potrzebowali rozkazów. Przemknęli między podporami, pochwycili dwóch nieprzytomnych mężczyzn, zawijając ich szybko w wielkie siatki, które mieli ze sobą. Ilu jeszcze wrogów tam było? Maba przypuszczała, że było ich w sumie czterech, nie licząc Geogee'a, ale nie była tego pewna.

Jony uderzył teraz w inny sposób. Nie mógł zastosować przymusu mentalnego, wymierzyć w nich swą myśl, gdyż ani nie miał ich na widoku, ani nie znał na tyle, przedstawić sobie w myślach ich obraz. Za pośrednictwem chłopca Jony powinien jednak łatwo pokonać trudności, tak jak to już kiedyś zrobił, szukając dzieci w kamiennym mieście.

Rutee jego dawna obietnica! Rutee nie mogła jednak przewidzieć sytuacji takiej jak ta. Uwolniłaby go z danego słowa, gdyby dotrzymanie obietnicy oznaczało zgubę dla Ludu, który ocalił ją i jej dzieci.

— Geogee! — Jony wysłał rozkaz, mierząc z taką samą dokładnością, z jaką przed chwilą celował z ogłuszacza.

— Chodź!

Miał już chłopca! Geogee usłuchał wezwania.

— Chodź!

Geogee musiał już być blisko wyjścia, bo nawiązany kontakt był bezpośredni, niczym nie zakłócony. Jony utrzymywał intensywną łączność, dopóki postać Geogee'a nie wynurzyła się na zewnątrz. Chłopiec miał oczy szeroko otwarte i utkwione w przestrzeń, nieruchome spojrzenie jak każdy mentalnie sterowany. Jony skrzywił się z bólu na ten widok. Lecz tak być musiało.

Maba podbiegła lekko, złapała brata za zwisającą luźno, bezwładną rękę i pociągnęła go szybko za sobą w mrok, poza smugę światła padającą z wysokiego okna.

— Co jest z tym chłopcem? — Jony pochwycił całkiem wyraźne słowa z rozmowy astronautów.

— Może nie mógł dłużej wytrzymać w tej norze. Ja już też mam dosyć. Skończmy z tym na razie.

— Skończyć? Całe miesiące zajmie nam opróżnianie tego miejsca. Co za odkrycie! Nie sądzę, żeby coś takiego, w tak nienaruszonym stanie, zostało kiedykolwiek znalezione. Kim byli ci budowniczości miasta? Wyglądają na tych obrazach jak czystej krwi Terranie.

— Możliwe. Jeżeli wierzyć kronikom wiele statków startowało w nieznaną, wyruszało, żeby zakładać kolonie. Albo kolonie kolonii i kolonie tych kolonii. Chciałbym jedynie wiedzieć, co się stało z...

Rozmawiający pokonali już wznoszący się w górę korytarz. I oni dźwigali skrzynię. Wprost na ich drodze leżała pierwsza skrzynia, którą ich towarzysze upuścili, zanim zostali pojmani. Widząc ją, nowo przybyli zatrzymali się w miejscu.

— Na ziemię! — Jeden z nich zwolnił uchwyt, upuścił dźwigany ciężar i przypadł do podłogi, kryjąc się za skrzynią. Jego towarzysz dołączył w ułamku sekundy. Jony nie potrafił powiedzieć, co ich zaalarmowało.

Jony słyszał, jak wślizgiwali się za barierę spiętrzonych łupów, które poprzednio przynieśli. Wystrzelił z ogłuszacza dwa razy. Najwidoczniej moc broni nie mogła przez tę barierę przeniknąć. A kiedy spróbował mentalnego ataku napotkał na opór zabezpieczającej osłony.

Sądząc po odgłosach, astronauta kierowali się na; zewnątrz, chcąc się dostać do swego latającego pojazdu. Jony nie miał większych wątpliwości, co do ich zamiarów, i jeśliby dostali się do pojazdu i udałoby się im odlecieć wówczas oni, on i Lud, byłiby zgubieni.

Jony zaczął biec po swojej stronie sterty pudeł. Czy któryś z najeźdźców wyciągnie teraz pręt i użyje go? Chłopiec czuł posmak strachu, ale nie powstrzymało to jego rozpaczliwej pogoni za obcymi.

XV

Przybysze wynurzyli się spoza ściany pudeł, uniósł ogłuszacz i, starannie celując, miał właśnie strzelić, kiedy sam poczuł uderzenie. Nie był to żaden cios, lecz takie samo osłabienie mięśni i niemożność utrzymania się na nogach, jakich doznał poprzednio, kiedy tak łatwo padł ofiarą ataku astronautów.

Jego ciało zwiotczało i upadł twarzą w dół, niezdolny, by odwrócić głowę; tym razem jednak nie stracił przytomności.

Geogee! Umysł Jony'ego — w starym pogotowiu — odebrał właśnie gwałtowny przypływ gniewu i strachu malca. Jony usłyszał tupot nóg. Uciekający astronauta musieli już być poza budynkiem, lecz Geogee'a z nimi nie było.

Jony znów spróbował nawiązać kontakt. Napotkał teraz jednak taką samą barierę, jaką umieli wznosić ludzie na statku. Ogromnym wysiłkiem woli walczył z obezwładniającym ciałem bezruchem; jego opór jednak był zbyt słaby.

Usłyszał dobiegający z tyłu szelest kroków. Geogee? Następny astronauta? Szarpnięty za ramiona, potoczył się i leżał bezwładnie, wpatrując się w Geogee'a.

Malec spoglądał na niego spode łba. Prócz ubrania ze statku, miał też przypominające bańkę nakrycie głowy, które, o wiele na niego za duże, wspierało mu się na ramionach i ciągle się przesuwało, tak że musiał je nieustannie poprawiać. W drugim ręku trzymał gotowy do strzału ogłuszacz.

— Geogee... — Jony odkrył, że może jednak ułożyć wargi i wydobyć z nich cichy szept.

Geogee, nawet jeśli to usłyszał, nie dał po sobie nic poznać. Obszedł natomiast Jony'ego dookoła, podniósł jego ogłuszacz upuszczony w czasie upadku i wepchnął go sobie z przodu za ubranie. Zachowywał się tak, jak gdyby zachodziła pilna konieczność zawładnięcia tą bronią.

Potem po raz pierwszy przemówił:

— Co oni z nimi zrobili?

Jony nie miał pojęcia, o co chłopcu chodziło. Wysilił się, żeby wyszeptać:

— Kto, z kim?

— Z Volneyem i Isinem. Widziałem jak Lud ich stąd zabierał. — Geogee wyprostował swój hełm i machnął ręką w kierunku tylnej części długiej sali.

A więc Lud odszedł, zabierając ze sobą więźniów. Jony'emu trudno było się z tym pogodzić; był zaskoczony w pierwszej chwili, że zostawili go samego. Geogee nachylił się nad nim.

— Pytałem, gdzie oni mają zamiar ich zabrać? — Mrugał nerwowo i przez cały czas kręcił się niespokojnie. Jony, mimo że nie mógł już zastosować mentalnego kontaktu, zdawał sobie sprawę, że Geogee był w stanie wielkiego podniecenia, a może nawet strachu.

Kiedy Jony zwlekał z odpowiedzią, chłopiec wyciągnął ogłuszacz i wycelował prosto w głowę swej ofiary.

— Dostaniesz jeszcze raz — zawołał piskliwie i potem nie będziesz w ogóle wiedział, co się dzieje.

— Jeśli nic nie będę wiedział — odparł mu Jony to jak się będę mógł dowiedzieć tego, o co pytasz? Geogee, to ja, Jony. Dlaczego to robisz?

Oczy Geogee'a biegały na wszystkie strony, jakby w każdej chwili oczekiwał zewsząd ataku.

— Pozwoliłeś im zabrać Volneya — wybuchnął Geogee. — Te zwierzęta, one go zabiją! Ty, ty... — zakończył swe oskarżenie bełkotem, jak gdyby nie mógł znaleźć

dość obelżywego określenia dla Jony'ego.

Teraz sam z kolei zaniemówił, słysząc głos wołający go spoza sterty pudeł:

— Gegee?

— Maba! Co ty tu robisz? Zostaw mnie w spokoju! — Gegee na chwilę odwrócił uwagę od Jony'ego. Gdyby Jony mógł się poruszać, na pewno wykorzystałby ten moment. Ale mimo wysiłków woli, jego ciało pozostawało nieruchome.

— A co ty robisz, Gegee? — natarła dziewczynka. Zbliżała się, pojawiając się w zasięgu wzroku Jony'ego. Obie ręce miała puste; ogłuszacz, który poprzednio nosiła, zniknął.

— Chcę wiedzieć dokąd zabrali Volneya! — powtórzył głośno jej brat. — Widziałem, jak go wlekli, jego i Isina! Mogą go zabić...

Chłopiec szalał, okazując tak silny gniew, jakiego Jony nigdy dotąd u niego nie widział. Gegee wyciągnął teraz ogłuszacz i wymierzył w siostrę.

Ignorując tę groźbę, Maba podeszła śmiało i stanęła przed Gegee'em; Jony leżał pomiędzy nimi. Twarz dziewczynki była tak spokojna, jak gdyby właśnie się obudzili w klanowym gnieździe, jak gdyby żadne brzemienne w skutki wydarzenia nie zakłóciły ich spokojnego życia.

— Lud ich nie zabije — stwierdziła stanowczo.

— Skąd wiesz? To zwierzęta! Zawsze zabijają, kiedy czują się zagrożeni — wyrzucił z siebie z furją. — A jak ty jak się tu dostałaś, co robisz z dala od statku?

— Przyszłam tu, bo on mnie przyprowadził — wskazała Jony'ego. — Przecież zawsze musimy robić to, co chce, to, co nam każe robić, no nie?

Gegee roześmiał się, a w jego głosie zabrzmiała nuta lekceważenia.

— Koniec już z jego rozkazami, teraz mam to! — walnął w swój hełm tak mocno, że aż mu się przesunął i musiał go znowu poprawić. — Jony nie wie o tym, więc w chwili, kiedy zwolnił swój wpływ, prędko złapałem swój hełm i włożyłem go. Ci ze statku wiedzą, do czego Jony jest zdolny. Ale nade mną więcej nie zapanuje. Nic już nie może zrobić, tylko tu leżeć. Co, Jony? — Spoglądał w dół, wpatrując się w swego więźnia z nieprzyjemnym uśmiechem. — Rutee kazała ci przyrzec — wysyczał — że nigdy nie będziesz panował nad naszymi umysłami. Ale zrobiłeś to! Sporo się od Wielkich nauczyłeś. Ale ja nauczyłem się jeszcze więcej, od Volneya. I mogę pokierować tobą. Zobacz, pokażę ci jak...

Odwracając rękojeść broni obcych, coś tam przestawił i raz jeszcze wymierzył w Jony'ego, nacisnął przycisk i poprowadził emitujący nieznaną moc ogłuszacz wzdłuż całego ciała swej ofiary.

Jony poczuł w ciele mrowienie. Do zdrętwiałych kończyn zaczynało chyba powracać krążenie. Natychmiast spróbował się poruszyć, ale mimo usiłowań nie udało mu się pokonać strasznego bezruchu.

— Wstawaj! — zakomenderował Gegee. Ku niepisanej zgrozie Jony'ego, jego ciało, choć wolno i niezdarne, poruszyło się. Owładnął nim strach: był mentalnie sterowany! Ale nie w taki sposób, w jaki sterowali Wielcy. Był to odmienny rodzaj zniewolenia i jego wynik też był inny.

Stanąwszy na nogach, kołysał się w przód i w tył, a jego umysł rozpaczliwie walczył, by odzyskać panowanie nad ciałem. Czuł się opleciony niewidzialną siecią obcej siły. Gegee cofnął się; ogłuszacz trzymał cały czas wymierzony w środek ciała Jony'ego. A Jony, chwiejnie stojąc na nogach, zmuszony został do posłuchu i niepewnie, zataczając się, kroczył przyciągany niewidzialną siłą.

Widzisz? — Gegee znowu się zaśmiał. — Teraz Jony nie panuje już nad nami, tylko my nad nim! Zmusimy go, żeby pomaszerował wprost do pojazdu. Tam czekają Varcar i Hansa. Zawieziemy go na statek. Już kapitan będzie wiedział, co z nim zrobić.

Ku wielkiemu zdziwieniu i konsternacji Jony'ego, Maba zawtórowała Gegee'emu śmiechem.

— Bardzo sprytnie, Gegee — pochwaliła brata. — wiedziałeś, jak to zrobić? Kiedy wzięłeś mój ogłuszacz, nie powiedziałeś mi, że...

Volney mi to pokazał, kiedy mu opowiedziałem o Jonym. Volney wie więcej niż się Jony'emu wydaje. Volney mnie lubi. Mówi, że jak polecimy z nimi do ich świata, to postara się, żebym się kształcił na pilota, nauczył się proować ich maszyny. Volney mówi, że jestem bardziej pojętny niż inni chłopcy, że mam do tego głowę. Volney... Twarz Gegee'a znów wykrzywił paskudny grymas. — Volney! Te zwierzęta go mają! Musimy go uwolnić. Jony, gdzie oni są; zaprowadzi nas tam, i to zaraz!

— Jony nie wie wszystkiego — odpowiedziała Maba. Próbował przyprowadzić tu Lud, zmusić do walki z astronautami. Lud przyszedł, ale nie walczył. Nie chcieli walczyć, zwyczajnie uciekli. Uciekli i porzucili Jony'ego. Nie zabiorą Volneya i tego drugiego daleko; boją się ludzi z kosmosu. Jeżeli pójdziemy za nimi, zostawimy Jony'ego... Pamiętaj, że on, przymuszony przez ciebie, idzie powoli, a my idąc w takim tempie, nie zatrzymamy Ludu. Masz to. — Wskazała ogłuszacz. — Możesz łatwo odbić Volneya Ludowi. Ale musimy się spieszyć, żeby ich dogonić. Gegee zaczął się zastanawiać, przeniósł wzrok z Jony'ego na siostrę i skupił uwagę na tym, co mówiła Maba. Jony'emu zrobiło się bardzo przykro. Co się z Maba stało? Na statku pomagała w ucieczce; bez jej bystrości umysłu nie poradziłby sobie. A tutaj, do miasta, pozwolił jej przyjść, gdyż wiedział, jaki ma wpływ na Gegee'a. A teraz używała swego wpływu, naprowadzając uzbrojonego w broń obcych brata na trop Voaka i pozostałych członków klanu. Odkąd wynurzyła się z cienia, ani razu nie spojrzała wprost na Jony'ego, nic też nie wskazywało, że jest w stosunku do swego brata bliźniaka w opozycji.

— Zostawić Jony'ego? — Gegee powtórzył w zamyśleniu. Ale oni chcą go mieć, chcą się dowiedzieć, w jaki sposób on na nas wpływa, kieruje nami. Volney mówi, że może to mutant.

— Co to jest mutant? — Najwidoczniej było to dla Maby nowe pojęcie.

— Ktoś, kto jest inny, odmienny od pozostałych. I mi się wydaje. Ale oni chcą się dowiedzieć wszystkiego o Jonym.

— Prosta sprawa — Maba zrobiła lekceważącą minę. — Zostaw go tu, możesz go jeszcze ogłuszyć albo zostawić go tak jak teraz, pod twoją kontrolą. Nie będzie w stanie stąd uciec. Jeżeli będziemy czekać, to Lud może ukryć Volneya, zanim ich dogonimy.

— Oni nie są Ludem! — obruszył się Gegee. — Volney powiedział, że oni nie osiągnęli takich odczytów na skali. Nie są podobni do nas. Jony jest głupi, bo zawsze nam wmawiał, jacy to oni są wspaniali. A co do zostawienia go tutaj... sam nie wiem. — Jego stosunek do więźnia nadal był ostrożny.

— Oj, chodź już — Maba zaczęła się niecierpliwić. — Wiesz, że nie może uciec. Zresztą tamci dwaj tu wrócą. — Wykonała gest wskazujący spiętrzone pudła. — Na pewno nie zostawią tego wszystkiego, ani ciebie, Volneya i Isina.

Gegee po namyśle przytaknął. I choć przyglądał się Jony'emu taksująco, opuścił nieco broń.

Jony wykonał teraz ruch, na który zdecydował się w czasie tej krótkiej wymiany zdań między najwyraźniej go ignorującymi bliźniętami. Pozwolił swemu ciału znów upaść bezwładnie na chodnik tak, jakby nie mógł już dłużej być posłuszny rozkazującemu wpływowi. Zanim nie upadł, nie był pewien, czy będzie mógł w ogóle zrobić coś takiego, kierując się własną wolą. Teraz, zmusiwszy się z powodzeniem do spełnienia swojego zamiaru, odzyskał nieco pewność siebie utraconą w wyniku

działań Geogee'a.

— Spójrz na niego! — Maba lekko kopnęła Jony'ego w plecy i ruch tej nogi to było wszystko, co mógł dostrzec w swym ograniczonym polu widzenia. — Myślisz, że ci gdzieś ucieknie?

— No, dobra — przyznał jej rację Geogee — — on faktycznie nie da rady uciec. Ale nie dam mu nowej dawki promieni. Volney mówi, że Jony musi być w dobrym stanie, kiedy będą go badać.

Geogee! — pomyślał Jony z żalem. Kimże był ten Volney, że w przeciągu dni przybysz z obcego świata zdołał zniweczyć więzy łączące chłopca z tymi, których Geogee znał od urodzenia? Sam Jony zniechęcił astronautów z całego serca, kiedy zobaczył, że Yaa jest przedmiotem ich doświadczeń. Teraz ta nienawiść przerodziła się chłodną determinacją. Skoro potrafili tak przekonać Geogee'a, to byli jeszcze gorsi od Wielkich. Geogee mógł wewnątrznie nie sprawiać wrażenia mentalnie sterowanego, myślał według wzorców narzuconych przez obcych. I za to Jony też chciał się z nimi policzyć. A Maba...

Zaczął wyczuwać, że mogła prowadzić jakąś własną grę. Że też odważył się jej zaufać... nie, nie był pewien, co o tym myśleć. Jeśli Maba poprowadzi Geogee'a śladem Ludu, nie będzie wówczas najmniejszych szans na zwycięstwo.

Jony wsłuchiwał się w oddalający się odgłos kroków dzieci. Nie był pewien, czy uda mu się zerwać niewidzialne więzy, którymi spętał go Geogee. Dopóki chłopiec był w pobliżu i mógł wystrzelić ze swej broni, Jony nie odważył się nawet spróbować.

Zaległa głęboka cisza. Jony gromadził wszystkie siły. Trzymało go w napięciu także i to, o czym wspomniała Maba: dwaj astronauty, którzy uciekli, mogli wrócić i natknąć się na niego; nasłuchiwał ich kroków, aż w końcu nie miał już siły dłużej czekać.

Skoncentrował się na prawej ręce leżącej przy policzku, starając się poruszyć palcami. Udało się; bariera, choć odczuwalna, nie była aż tak silna, by mu w tym przeszkodzić. Nabrawszy otuchy, skupił na tym ruchu wszystkie siły. Palce rozczapierzyły się jak szpony, zadrgały i zaczęły pełzać po ziemi w sposób przypominający ruchy ospałego owada.

Choć nadal był osłabiony, mógł się ruszać! Jak długo może trwać wyrwanie się z całkowitego wpływu broni? Możliwe, że pozostało mu bardzo mało czasu. Dłoń leżała na płask w grubej warstwie pyłu; spróbował usztywnić przegub, jedna ręka, potem druga, a teraz unieść się na obu.

Udało się, choć Jony, bardzo słaby, obawiał się, że gdy ręce odmówią mu posłuszeństwa, upadnie z powrót twarzą w dół. Trzeba się bardziej starać! Zdołał dźwignąć się na kolana. Bolała go głowa, a w nadchodzących zawrotach głowy wszystko wokół chwiało się w i w przód.

Nie było oczywiście mowy o tym, by stanąć na nogach. Mógł się jednak czołgać. Tak więc, na wpół udławiony gęstym kurzem, poruszając rękami tuż przy zwisającej nisko nad ziemią twarzy, pełznął przed siebie.

Kierował się ku wyjściu, tam, gdzie stała kobieta z kamienia, przynajmniej tak mu się zdawało. Jony miał nadzieję, że na świeżym powietrzu odzyska trochę sił. Jeżeli uda mu się dostać aż tam.

Na prawo piętrzyły się pudła, a z tyłu, tuż za nim, wznosiły się stopnie wiodące do pojemnika ze śpiącym. Jak daleko było stąd do wyjścia? Nie przypominał sobie.

Jony czołgał się w ciszy panującej w kamiennej budowli. Miał wrażenie, że poruszając się, po trosze odzyskuje siły. Ruch mógł przełamać bezwład, którym został spętany. Chłopiec nie mógł się jednak podnieść na nogi, a wszystkie rezerwy swej energii musiał zachować na wypadek kolejnej próby, która mogła wymagać od niego wszystkich sił.

Do następnej podpory... i znów do następnej... a potem do trzeciej z kolei. W gardle zaschło mu od kurzu, kaszlał i kichał, lecz nie zatrzymywał się, nie odważył się nawet spojrzeć, jak daleko jest jeszcze do celu, bojąc się, że mogłoby go to zniechęcić.

Jego dyszenie i charczenie, cały ten hałas, jaki robił posuwając się naprzód, został nagle zagłuszony przez inny dźwięk. Poznał go do razu, od dawna spodziewał się go usłyszeć: brzęczenie unoszącego się w powietrzu latającego pojazdu. Czy astronauta zaatakują z powietrza, użyją swej broni z zamiarem ogłuszenia każdego, kto znajduje się w tej budowli, niezależnie od tego, czy zobaczą swą zdobycz, czy nie?

Pot służywał strużkami po pokrytej kurzem twarzy Jony'ego. Drżał na całym ciele, oczekując powalającego ciosu. Brzęczenie jednak cichło. Czy wycofują się w kierunku statku? Czy może lecą, by patrolować wszystkie po kolei drogi w mieście, poszukując śladów Ludu.

Jedna podpora, druga... Poranione ręce krwawiły, kiedy unosząc się na nich, ciężko przesuwając się po kamieniach. Wił się i skręcał, wlokąc się naprzód.

Dookoła pojaśniało. Musiało być już niedaleko. Osiągnąwszy ten swój pierwszy cel, jakim było wydostanie się na zewnątrz, Jony musiał pomyśleć o tym, co robić dalej. Czołgać się przez miasto, wzdłuż kamiennej rzeki, aż do znużenia? Do krainy leżącej poza miastem było zbyt daleko i niebezpiecznie było wystawiać się na widok; powracający pojazd od razu dostrzegłby go z góry. Nie, najlepiej będzie poszukać jakiejś innej jaskini i ukryć się tam do czasu odzyskania sił.

Dowlóknął się wreszcie do podnóża kamiennej kobiety; Ręce miał tak obolałe, że nie mógł ich zmusić do dalszego wysiłku. Bezradny i bliski rozpacz, Jony oparł głowę i ramiona o statuę i w ten sposób mógł spojrzeć za siebie, na drogę, którą pokonał.

Serce pracowało tak ciężko, że chłopiec dyszał płytko, urywanie; a wzrok miał chwilami tak zamglony, że z trudem mógł cokolwiek zobaczyć. Patrząc z ukosa, Jony starał się skoncentrować spojrzenie na jednym z wielu cieni. Czyżby to jakiś ruch było widać tam, z tyłu?

Może to Geogee i Maba wracali? Czy jednak bliźnięta tak szybko odnalazły ślad Ludu? Jony czuł, że powinien coś zrobić, zdobyć się na jakiś wysiłek. Tylko że zbyt był zmęczony i wyzbyty sił, by cokolwiek przedsięwziąć; skulił się więc tylko i czekał, być może na własną zgubę.

Nie było cieniem to, co z wolna się doń przybliżało. Jony pragnął krzyknąć, zawołać, przyspieszyć spotkanie z czającą się w ukryciu postacią. Nie mógł znieść tego nie kończącego się oczekiwania, chciał, by koniec nadszedł szybko...

Ale to był Otik!

Ostatni, którego Jony się spodziewał. Czy Otik zbiegł po przegranej bitwie, czy został wysłany na zwiady, czy też wrócił przez wzgląd na niego? Jony nie miał nawet dość siły, by podnieść swe poranione, krwawiące ręce i zadać jakieś pytanie.

Otik zmierzał prosto ku niemu, cicho stąpając na swych miękkich łapach. Był prawie tak wysoki jak kamienna kobieta i poruszał się z ociężałą pewnością przypominającą Voaka. Kiedy stanął przed Jonem, chłopiec zobaczył, że samiec trzymał swój starannie obrobiony drewniany kij i zwieńczoną kłębem metalową dzidę pochodzącą z koryta strumienia.

Jony uniósł drżące ręce i zadał krótkie pytanie:

— Voak?

Otik przytrzymał broń zgiętym ramieniem, uwalniając ręce, by odpowiedzieć.

— Iść do miejsca, gdzie klatka.

Lud zabrał więc pojmanych przez siebie więźniów do dobrze zabezpieczonej kryjówki, w której jego przodkowie trzymali swych dawnych wrogów. To znaczy, że bliźnięta nie dogoniły oddziału Voaka i Geogee nie odbił przybysza, który tak wiele

dla niego teraz znaczył.

— Geogee, Maba? — Jony głośno wypowiedział imiona dzieci, wiedząc, że Otik rozpozna te dźwięki.

— Nie wiedzieć — odparł Otik.

Z właściwą swej rasie godnością przykucnął, balansując na zgiętych nogach. Mimo takiego obniżenia pozycji, Jony, chcąc napotkać wzrok Otika, musiał spoglądać górę.

— Ty ranny — Otik był poważnie przejęty lub tylko zwyczajnie zaciekawiony. Dawne, niewzruszone przekonanie Jony'ego o jego przynależności do klanu, o tym, że on i Lud, to jedno, uległo zachwianiu, toteż chłopiec nie umiał powiedzieć, co kryje się za pytaniem Otika.

— Dziwny broń zrobić mnie słaby, ja pełzać, nie chodzić. — Otik wykonał gest potwierdzenia. Musiał widzieć ślady tego okupionego bólem posuwania się przez szeroką salę.

— Geogee — odpowiedział — robić zły rzecz, on woleć ludzie.

Co widział Lud, czego był świadkiem, Jony nie umiał powiedzieć. Ale pewność, z jaką Otik nadał ostatnią wiadomość, utwierdziła go w przekonaniu, że samiec widział atak Geogee'a.

— Geogee — Jony zmusił swe zmęczone ręce do ruchu — ścigać Lud. Chcieć uwolnić ludzie.

— Geogee — Otik pozostawał nieporuszony — nie iść dobra droga. Geogee, Maba iść w druga strona. Ślady w kurz to mówić.

Jony wydał westchnienie ulgi. Tak więc słusznie zaczynał się wtedy domyślać. Dziewczynka nie poprowadziła brata śladem klanu, lecz w przeciwnym kierunku, by pozwolić Ludowi zyskać na czasie. Jak długo uda jej się zwodzić Geogee'a — nie wiadomo. Jony nie był też zadowolony, że Maba wędruje sama po mieście. Co może się stać, kiedy jej podstęp wyjdzie na jaw, kiedy Geogee zrozumie, że wywiodła go w pole?

Możliwe, że chłopiec nie zwróci się przeciwko siostrze, łączyły ich przecież ścisłe więzy. Ale pospieszy z powrotem, by sprawdzić, co z Jonym i od niego wydobyć wiadomość, dokąd klan zabrał Volneya.

— My musicie uciekać — zasygnalizował.

Otik nie odpowiedział. Zwinnie podniósł się na nogi, pochylił się, wsadził Jony'emu łapę pod pachę i bez większego wysiłku dźwignął go, jakby Jony nie był wyższy i cięższy niż Maba.

Podpierany przez Otika Jony stał jakoś na nogach. Kiedy samiec ruszył, Jony potykając się, ruszył za nim. Otik nie zawrócił do ciemnego wnętrza, z którego się wyłonił, lecz skierował się ku wyjściu.

Kiedy okrążali kamienną kobietę, Jony przez chwilę się ociągał; Otik odwrócił głowę, przypatrując mu się. To, co nagle chłopcu przyszło do głowy, było najdzikszym pomysłem, który mógł się zrodzić z zamętu myśli. Gdy znalazł się już prawie na wprost kamiennej kobiety, nagle przypomniał sobie swoje dawne pragnienie. To, co chciał teraz zrobić, mogło być szczytem głupoty, ale równie dobrze mogło być najmądrzejszym posunięciem w tych okolicznościach.

Nadał do Otika prośbę, by ten zaczekał, odsunął się nieco od niego i wsparł na kamiennej figurze. Powoli unióś swą krwawiącą, pokrytą kurzem rękę. Tak trudno było ją dźwignąć, jakby i ona także była z nieczułego kamienia.

Jony wygiął dłoń w nadgarstku, wyprostował palce. Potem wychylił się do przodu, aż jego ciało — tak jak ongiś — Spoczęło na pooranej przez wieki powierzchni kamienia.

To, z czym się zetknął, nie przypominało kamienia. Było ciepłe, dziwne. Jony'emu zabrakło słów, by opisać swe doznania. Była to na przemian wznosząca się i

opadająca nieznana forma energii. Być może wielce spragniony, łaknący kropli wody człowiek, który napotkał źródło i napił się do syta, mógł doznać podobnego, rozlewającego się po całym ciele, cudownego uczucia zaspokojenia, przywrócenia sił.

Poprzez dłoń, dalej wzdłuż ramienia, do całego ciała — coraz więcej i więcej! I choć Jony nie zdawał sobie z tego sprawy, z oczu popłynęły mu łzy, zostawiając ślady na pokrytej kurzem twarzy. Pragnął śpiewać i krzyczeć, by cały świat wiedział, jaki stał się cud.

XVI

Jony był teraz czymś więcej niż tylko samym sobą. Stał tam tak wysoki jak Wielcy, tak silny jak Voak! Ręką mógł równać mury z ziemią, pochwycić lecący w powietrzu pojazd, przewrócić i zniszczyć statek przestworzy, by nigdy nie mógł on zdradzić istnienia świata Ludu. Mógł...

Gdzieś w głębi duszy Jony'ego pojawił się niepokój. Nie, nie! Nie wolno mu się powazyć na coś takiego. Nie mógł się jednak wyzwolić z tego cudownego kontaktu, który przelał weń moc; jego dłoń z ciała zdawała się łączyć z dłonią z kamienia nierozzerwalnymi więzami.

Nie! Tak jak poprzednio używał swego daru, by kierować, tak teraz przywołał ten sam zmysł, by przerwać niebezpieczny kontakt. Jego zdecydowanie zaowocowało nagłym, gwałtownym odcięciem. Kamienna ręka odepchnęła go i tak jak przed chwilą witała go przychylnie, tak teraz gwałtownie odrzuciła.

Jony, odepchnięty, spadłby ze schodów na dół, gdyby nie uderzył w Otika. Stał on tam jak skała, opoka, do której Jony na chwilę przywarł.

Otik nie wyciągnął ręki, by podtrzymać chłopca, ale też go nie odtrącił. Po prostu stał i pozwalał Jony'emu wspierać się o siebie, dopóki nie ustąpiła reakcja na nagłą przerwę w dopływie energii. Chłopiec wziął kilka głębokich oddechów. Nie było sposobu, by zgadnąć, jakiego to sekretu budowniczych miasta dotknął przed chwilą. Nie był jednak na tyle lekkomyślny czy bezmyślny, by powtórzyć tę próbę.

A jednak ten kontakt przywrócił mu zdolność panowania nad własnym ciałem. I za to był wdzięczny. Jony zaczął teraz nadawać do swego milczącego towarzysza: — Znaleźć Geogee, Maba...

Otik obrzucił go badawczym spojrzeniem od stóp do głów. Zamiast odpowiedzi ograniczył się do gestu, wyciągając łapę z metalową dzidą. Jony ochoczo pochwycił swą broń, przeciągając po niej ręką. Dłonie, choć nadal pokryte pyłem, nie były już zdarte do krwi od długiego czołgania się; kiedy obejrzał je w świetle dostrzegł, że otwarte rany zniknęły. Czuł przypływ świeżych sił jak po dobrze przespanej nocy, po obfitym posiłku, jakby od dawna jego duszy nie przytłaczał żaden ciężar.

Otik wsunął się na powrót w pełną cieni salę za kamienną kobietą. Spiesząc się, by za nim nadażyć, Jony dostrzegł tam rzeczy uszykowane do zabrania. Gdyby można temu było jakoś zapobiec! Pomyśleć tylko, jaki użytek zdolni są zrobić z nich astronauty.

Nie było jednak czasu, by tym się zająć. Jeśli nawet dwaj astronauty, którym udało się uciec latającym pojazdem, powrócą z posiłkami, na pewno wszyscy będą bardziej zaprzątnięci poszukiwaniem porwanych współtowarzyszy niż transportem łupów. Przynajmniej na razie.

Otik nie odwrócił nawet głowy, przechodząc obok; stos skrzyń najwyraźniej mógł dla niego nie istnieć. Przeszli skrajem występów skalnych prowadzących wzwyż, do skrzyni ze śpiącym. W pobliżu wyjścia spod ziemi, z którego przedtem wynurzyła się ich drużyna, Jony zaczął odczuwać niepokój.

Jeśli Maba nie powiodła Geogee'a przez tamto znane Ludowi przejście, dokąd w takim razie mogła go zaprowadzić? Jak daleko ciągnęła się ta sala? Czy było tam więcej przejść, jakieś inne drogi? Jony zauważył, że smuga światła słonecznego padająca przedtem z okna, teraz znikła. Nadchodził zmrok. A bliźnięta zagubione gdzieś w tych ciemnościach...!

Jony uważał, że w tym starodawnym miejscu było więcej powodów do obaw niż dostarczały ich ptaki vor czy Czerwone Głowy. Przywołując odruch, który skłonił go

do uścisku jednoczącego z kamienną kobietą, Jony zdziwił się własnej lekkomyślności. Tylko szczęśliwemu zrządzeniu losu zawdzięczał, że ten kontakt wyleczył go, zagoił rany i wzmocnił siły. Taki sam przypływ energii skierowany wprost na któreś z bliźniąt mógł nawet zabić!

Otik zwolnił. Jego ciężka głowa kiwała się na boki, kiedy uważnie lustrował powierzchnię podłogi. W tej znacznie ciemniejszej części sali Jony odróżnił w kurzu nieliczne ślady; Otik bez wątpienia umiał odczytać z nich o wiele więcej. W miarę jak się ściemniało, Jony w coraz większym stopniu zależny był od swego towarzysza.

Chyba że... Jony wysłał poszukującą myśl i — choć bardzo słabo — wyczuł obecność Maby! Odzyskał wiarę we własne siły. Tak jak to już się kiedyś w tej samej kamiennej budowli zdarzyło, miał teraz pewien rodzaj przewodnika, za którym mógł podążać.

Nie doszli do końca wielkiej sali, kiedy Otik skręcił w prawo. Jony szedł tylko o krok za nim. W ścianie widniało tu drugie wyjście. Jony ponowił próbę kontaktu. Był nadal słaby i przerywany. Przypływał i odpływał, dając raczej poczucie obecności niż rzeczywisty kontakt. Zjawisko to nigdy nie występowało w wypadku bliźniąt. Być może Geogee zastosował jakiś inny sposób osłony, którego nauczył go Volney.

Na myśl o Volneju Jony odczuł pewną satysfakcję. Wyobraził sobie astronautę w klatce Ludu. Tam ten przybysz z innego świata nie mógłby już przynosić szkody. Jakiego rodzaju był jego wpływ na Geogee'a? Swoście mentalnie sterował malcem. Sterował, wymazując z pamięci poprzednie życie i wszelkie związki lub sprowadzając je do niewartych pamięci zdarzeń, a następnie wszczepiając nowe pragnienia — a wszystko tak, by Geogee stał się teraz jednym z ludzi, jednym z wrogów Ludu.

Myśl o Geogee'em znów podkopała nieco nadzieję, jaką Jony pokładał w Mabile. Wystarczająco długo przebywała wśród astronautów, by ulec ich wpływowi. I tylko świeża pamięć o jej niszczycielskim ataku na maszynę, tak przez obcych cenioną (z całą pewnością nie było to upozorowane, żeby go zwieść),: przekonała Jony'ego, że umysł dziewczynki nie został przez przybyszów spaczony w taki sam sposób.

Wyjście nie prowadziło ani do żadnego innego korytarza, ani do wiodącego w dół tunelu, lecz do niewielkich pomieszczeń nad ziemią, leżących jedno za drugim. Z trzeciego wynurzyli się na zewnątrz. Znaleźli się teraz w części miasta położonej za centralnym stosem, w części kompletnie Jony'emu nie znanej. Nie było tu biegnącej prosto rzeki z kamieni, która mogłaby wyprowadzić ich z miasta do otaczającej krainy.

Zamiast tego widniała przed nimi nie zabudowana przestrzeń. Nie była ona pokryta żadnymi kamieniami, lecz gęstą płataniną roślinności stanowiącą równie masywną zaporę jak leżące z tyłu kamienne mury. Nawet Otik wydał z siebie pełne zdziwienia chrząknięcie na ten widok.

Z miejsca, gdzie się wynurzyli, wiódł przez tę gęstwinę wąski pasek odkrytej ziemi. Łatwo można było z niego odczytać zostawione ślady — ci, którzy tędy szli, skręcili w lewo, trzymając się tego przesmyku.

Z wolna otaczał ich zmrok. Jony pochwycił swym zmysłem różne drobne formy życia mające swe bezpieczne kryjówki w tym gęstym kobiercu roślinności. Lecz usłyszał coś jeszcze: wszechobecne, dochodzące z powietrza brzęczenie, zwiastujące powrót latającego pojazdu z posiłkami, z ludźmi wyposażonymi w broń, która nie dawała Ludowi żadnych szans. Jony zapragnął mieć z powrotem zabrany mu przez Geogee'a ogłuszacz, ważył też w ręku swą metalową dzidę, choć wiedział, jak niewielki byłby z niej pożytek w walce z przybyszami z kosmosu.

W półmroku dostrzegł rękę Otika sygnalizującą pojawienie się wody. Jego czuły zmysł powonienia mógł wychwycić to, co umykało węchowi Jony'ego. W chwilę później Otik zakręcił swym kijem, trzymając go w pogotowiu. Jony nie odebrał

żadnego sygnału niebezpieczeństwa, widać jednak było, że samiec coś podejrzewa. Jony spróbował wysłać myśl. Ku swemu zadowoleniu pochwycił ślad Maby, bliższy i wyraźniejszy. Geogee musiał nadal nosić swój za duży hełm nie dopuszczający kontaktu. Niczego ponad to Jony nie odebrał. Tyle tylko, że w obszarze rozciągającym się za nimi dał się zauważyć całkowity brak sygnałów drobnych form życia obecnych gdzie indziej.

Otik stanął jak wryty. Nozdrza miał rozdęte. Nawet Jony już teraz pochwycił przyprawiający o mdłości odór, jak gdyby tam, pod gołym niebem, leżało coś gnijącego.

Chłopiec nie potrzebował już żadnych ostrzeżeń ze strony Otika. Tu, w sercu kamiennej siedziby, było skupisko Czerwonych Głów! Lecz bliźnięta przecież tędy przeszły! Czyżby błędząc na ślepo, natknęły się bez żadnego ostrzeżenia na to największe z niebezpieczeństw?

Otik stale trzymał głowę wysoko, głośno wężąc. Zaryzykować wkroczenie na teren patrolowany przez te rośliny–potwory było czystą głupotą. Żaden z talentów Jony'ego nie mógł doprowadzić do zwycięstwa nad Czerwonymi Głowami, tak jak nie mógł też skłonić Ludu do posłuszeństwa rozkazom. Z rosnącym przerażeniem Jony badał otoczenie. Mur po lewej stronie nie miał żadnych otworów ani małych, ani dużych. Roślinność po prawej stronie była zbyt skłębiona i splątana, by można było przez nią utorować sobie drogę. Próby jej sforsowania skończyłyby się dla Jony'ego zdarciem skóry, ucierpiałby nawet i Otik mimo swego grubego futra.

Gdzie były bliźnięta? Jedyna pociecha w tym, że Jony nadal wyczuwał swym zmysłem obecność Maby, co oznaczało, że dziewczynka żyła.

Ku najwyższemu zdumieniu Jony'ego, Otik znów ruszył, ale nie z powrotem, czego się można było spodziewać, tylko naprzód, tą samą ścieżką. Jony postępował » ślad za nim, gdyż dróżka była za wąska, by mogli iść obok siebie. Rośliny–potwory były wrogiem, któremu nawet Lud nie mógł stawić czoła, a jednak Otik dążył naprzód, jak gdyby ufał, że mieli jakieś szansę!

Odór się nasilał, a ciemności gęstniały; wszystko to razem sprawiało, że Jony nie mógł się nadziwić lekkomyślnemu lekceważeniu niebezpieczeństwa przez Otika. Skoro tylko zapadnie noc, Czerwone Głowy zaczną się poruszać staną się wówczas najgroźniejsze. Jony trzymał więc swą dzidę gotową do zadania ciosu podobnego cięciom w czasie walki z ptakami vor. Nie można było jednak obronić się przed wyziewami, którymi wkraczające do akcji Czerwone Głowy obezwładniały swe ofiary.

Wyrósł przed nimi łuk z kamieni, a kiedy pod nim przeszli, zmieniła się cała roztaczająca się przed nimi sceneria. Zbita gęstwina zieleni odsunęła się na boki i, choć nadal tworzyła zwartą ścianę, było teraz o wiele więcej otwartej przestrzeni.

W samym jej środku widniał spory staw obrzeżony bujną roślinnością. Nad jego mrocznymi wodami próżno by szukać latających istot, zazwyczaj występujących w podobnych miejscach. Było to miejsce milczące, pozbawione życia, jeżeli nie liczyć tych jego form, które korzeniły się w ziemi.

Rozrzucone wokół tych odstręczających swym wyglądem, zdających się wzbierać wód, stały Czerwone Głowy. W porównaniu ze wzrostem, jaki osiągały zazwyczaj, zgromadzone tu egzemplarze były zahamowane w rozwoju; najwyższe z nich sięgały zaledwie ramion Jony'ego. Ich czerwone, kuliste wierzchołki przybrały wyblakły wygląd o chorobliwym, żółtawym odcieniu. Wiele z nich potraciło liście, a ich miejsce zajęły gnijące kikuty.

Kwiaty–głowy pochyliły się i zwisały, jak gdyby stwory te były zbyt słabe, by trzymać je prosto. A jednak, gdy Otik i Jony zbliżyli się, wśród roślin powstało poruszenie, drgnęły podobnie jak falująca na wietrze trawa. Mogły się słabo rozwijać,

mogły nawet obumierać, lecz nadal czuły zbliżającą się zdobycz.

Jony skoczył do przodu. Pobudzony odrazą zamachnął dzidą w taki sposób, by trafić ostrym kłębem w najbliższy pęd. Przytłumiony odgłos uderzającego metalu towarzyszył rozplątaniu pnia rośliny. Gdy głowa opadła na bok, trzymając się tylko na cienkim pasku kory, z miejsca dęcia wydzielił się tak ohydnie cuchnący płyn, że Jony'emu aż dech zaparło.

Rośliny–potwory poruszały się tak ospale, że zachęcony tym Jony skoczył do ataku na najbliższą w rzędzie. Czy to Geogee potraktował je ogłuszaczem? Czy też może jakaś właściwa ich gatunkowi choroba wywołała to ich upośledzenie pozwalające radzić sobie z nimi tak łatwo? Nie wiadomo, można się było tylko cieszyć, że nie napotkali pełnych życia i aktywności okazów, jakie widywali gdzie indziej.

Otika zagrzał chyba przykład Jony'ego, gdyż teraz on z kolei wkroczył do akcji. Ostrzem swego kija nie mógł co prawda odcinać głów od pni, tak jak to skutecznie robił Jony metalową dzidą, uderzał jednak w czerwone kule kwiatów, a one pękały i wybuchały pod ciosami; pełnym energii zamachem obnażał rośliny z liści.

Przecieli już teren, gdzie stały gnijące rośliny–potwory i zbliżali się do przeciwległego brzegu stawu. Była tu wybrakowana przestrzeń przecięta wąskim strumykiem; jego ciemne wody bądź odpływały ze stawu, bądź też staw zasilają. Znad strumyka unosił się paskudny zapach. Jony rozochocony łatwym zwycięstwem nad wrogiem, którego tak bardzo bał się Lud, o mało nie padł ofiarą nadmiernej pewności siebie.

Ostatnia czerwona głowa stała kuląc się w strumieniu, a jej ukorzenione stopy ssały wilgoć. Być może zaalarmował ją los pobratymców, dość że zdecydowana była nie ruszać się czy to w obronie, czy dla ucieczki. Teraz, stojąc dokładnie na trasie Jony'ego, wyprostowała się z trzaskiem, osiągając pełny wzrost. A był to prawdziwy olbrzym w porównaniu z tamtymi, skarłowaciałymi. Wyższa od Jony'ego, lśniła czerwienią swej głowy widocznej nawet w zapadających ciemnościach. Pod głową kwiatu widniała pęczniejąca torebka, gotowa wyrzucić w kierunku ofiary chmurę oślepiającego, obezwładniającego pyłku. Dwa długie, górne liście obrzeżone zębatymi kolcami śmiało i pewnie wyciągały się w stronę nadchodzącego chłopca.

Jony z krzykiem odskoczył do tyłu w chwili, kiedy jeden z liści smagnął go wściekle, omal nie zwalając z nóg. Chłopiec skulił się, trzymając w obu rękach swą metalową dzidę zwróconą tnącą krawędzią do góry. Jeśli roślina wystrzeli swym pyłkiem, to na obronę pozostanie tylko krótka chwila. Dalszą walkę kontynuowałby wówczas Otik.

Wielkie liście znów zamachnęły się w jego kierunku, podczas gdy mniejsze, rosnące niżej, skupione u wylotu torebki pyłkowej, gotowe były powiewającym, wachlującym ruchem rozsiewać pyłek w jego stronę. Jony nie miałby chwili czasu, żadnej szansy, by podejść bliżej i ciąć kulistą głowę, tak jak to robił napotykając słabsze sztuki.

Przesunął ręką wzdłuż ostrza dzidy, uniósł broń na wysokość ramion i ciął, celując kłębem w czerwone kwiaty, Liść zafurkotał, starając się odrzucić broń, a poruszał się przy tym z taką szybkością, że trudno było za nim nadażyć wzrokiem.

Padając, broń rozpruła torebkę z pyłkiem, trafiając w miejsce najbardziej napięte, przygotowane do wyrzucenia śmiertelnośnego ładunku. Dolne liście wściekle falowały. Niektóre z nich chwyciły kurczowo torebkę i rozciągały jej otwór. Usiłowania te były jednak bezowocne i nie doprowadziły do wysiewu zabójczego pyłku, torebka bowiem skurczyła się już i zamknęła.

Jony, nadal zwrócony przodem ku roślinie, wycofywał się krok po kroku. Jeden z najeżonych kolcami liści zwisał blisko dzidy. Roślina–potwór próbowała tę dzidę unieść i śmiertelnym ciosem pchnąć nią w jej właściciela. Włókna nie zwały się

jednak dostatecznie mocno z powierzchnią liścia, toteż dzida wysliznęła się z uchwytu, zadźwięczała o kamienie i potoczyła się.

Jony uznał, że nie ma nadziei na jej odzyskanie, gdyż leżała zbyt blisko myszkujących liści. Nie odważył się więc na takie ryzyko i zaczął się posuwać w lewo. Roślina–potwór szamocząc się w strumieniu, odwracała się za nim. Jeżeli jej korzenie natrafią w ziemi na dobre oparcie, Jony nie będzie miał żadnych szans. Jednakże włókna, niezdolne znaleźć pewnego uchwytu, ześlizgnęły się po gładzi kamienia. Usiłując pochwycić zdobycz, roślina poczęła niepewnie się kiwać z boku na bok jak drzewo targane wicherem.

I choć szło jej to niezgrabnie, nie przestała być groźna. Jony zmuszony był przemykać się, wymykać się, robić uniki i cały czas nieustannie obserwować jej zwodniczo niezdarne ruchy. Mniejsze, dolne liście energicznie poruszały się, naciskając zwiotczałą torebkę pyłkową. Najwyraźniej roślina nadal usiłowała doprowadzić w ten sposób do wydzielenia śmiercionośnego obłoku. Górne, zębate liście smagały, miotały się i Jony używał całej swej zręczności, aby nie dostać się w ich zasięg.

Roślina napierała, a Jony wycofywał się, nie mogąc pozwolić sobie nawet na chwilę nieuwagi, by rozejrzeć się za Otikiem, który mógłby teraz skorzystać z okazji i złapać metalową dzidę leżącą na chodniku. Gdyby udało mu się podnieść tę broń, mogły użyć jej zamiast mniej skutecznego drewnianego kija.

W tył! Tym razem brzeg liścia dosięgnął ręki Jony'ego i tnąc rękaw jak brzytwą, zostawił na skórze płytką, nabiegłą krwią, piekącą bruzdę. Z całej płataniny korzeni poczęły się wywijać dwa, pełznąc w kierunku chłopca. Gdyby zaplątał się i upadł, byłby już tylko bezradną ofiarą. I nawet jeśli pojawiłby się wtedy Otik, Jony byłby już martwy, pochwycony przez zębate liście; przeszyłyby go kły, by zaspokoić głód tego kroczącego nocą, pełnego grozy potwora.

Odskoczył, pośliznął się, lecz w samą porę udało mu się odzyskać równowagę. Spocony ze strachu złapał oddech i w tym momencie dostrzegł błysk jaśniejący w zanikającym już świetle. To Otik pochwycił wreszcie metalową dzidę, wziął zamach i uderzył z całą siłą swych olbrzymich, silnie umięśnionych ramion.

Ostrze dzidy trafiło w pień, tuż poniżej kulistej głowy, tnąc gruby pęd. Głowa odpadła i dostała się w zasięg wściekle młócających, uzbrojonych w zęby liści, które natychmiast zamknęły się, miażdżąc ją całkowicie w swym uścisku. Roślina nie przestawała kroczyć naprzód, zataczając się; Jony usunął się jej z drogi. Usiłowała jeszcze atakować, lecz jej wijące się korzenie splątały się ze sobą i uderzyła o ziemię, gdzie tarzała się tam i z powrotem.

Wielka łapa zamknęła się na ramieniu Jony'ego, jeszcze mocniej rozdzierając rozpruty rękaw, i potężnym szarpnięciem odciągnęła go do tyłu w chwili, gdy kłęb pylistego wyziewu uniósł się z ciała szamoczącej się rośliny. Pyłek wydobył się wreszcie, zabrakło jednak możliwości, by falującym ruchem skierować go na zdobycz, toteż cały opadł na ciągle jeszcze próbujące się unieść ciało rośliny.

Okrążyli ją szerokim łukiem, starając się nie wejść w zasięg smagających na oślepie górnych liści, ominąć kłębiące się zwoje wywijających się na wszystkie strony korzeni. Otik włókł się, a Jony miał ochotę pobiec naprzód, ale nie mógł opuścić towarzysza.

Minawszy wybrukowaną przestrzeń, weszli w kolejną bramę, z której prowadził wąski, wyłożony kamieniami i otoczony z obu stron murami chodnik. Tu Otik zatrzymał się i zaczął węszyć. Znów był całkiem zaprzątnięty poszukiwaniem, z właściwą Ludowi cechą flegmatycznego skupiania się na jednym celu.

Skoro tylko odeszli od konającej rośliny, wręczył Jony'emu z powrotem metalową dzidę, a ten korzystając z chwili postoju, oderwał zwisającą resztę rękawa i wytarł nią

ostrze dzidy, ścierając cuchnące plamy z krawędzi kła.

Cisnąwszy te szmaty jak najdalej od siebie, Jony gotów był do drogi. Wreszcie poczuł ulgę.

I wtedy właśnie ciszę wieczoru rozdarł krzyk.

To Maba! Od czasu gdy napotkali Czerwone Głowy, Jony nie próbował poszukiwać jej myślą, a teraz nie tylko usłyszał jej głos, ale rozpoznał go też swym wewnętrznym zmysłem.

— Mąba! — Zawołał i od razu zdał sobie sprawę, że to głupota. Nie można było dać poznać, że pomoc się zbliża; to, co zagrażało dziewczynce, mogło zostać w ten sposób ostrzeżone. Jony wiedział, że Maba jest gdzieś przy tej drodze, w jednej z leżących przy niej jaskiń. Zaczął więc biec, nie oglądając się, czy Otik podąża za nim.

Zanim dotarł do właściwego wejścia, Maba krzyknęła znowu. W jej głosie było tyle grozy, że Jony odczuł ten strach jak pchniecie ostrzem. Coś, czy może ktoś musiał jej grozić. Lecz gdzie był Geogee z ogłuszaczem? Z całą pewnością...

To ten otwór prowadził do Maby. Jony gwałtownie zwolnił kroku, starając się skradać jak najciszej. Obute stopy nie pozwalały jednak na bezgłośnie zbliżanie się. Chłopiec żałował, że nie ma czasu, by zrzucić z siebie znienawidzony strój.

Wnętrze było ciemne, jedynie jaśniejsze plamy wskazywały miejsce otworów. Jony starał się robić jak najlepszy użytek ze swoich oczu, prócz tego zaprzął do pracy swój dodatkowy zmysł.

I tak jak dawnymi czasy dzielił ból Rutee, tak teraz z całą mocą odczuwał przerażenie Maby. Z jej chaotycznych, zniekształconych strachem myśli nie mógł odgadnąć, co jej zagraża.

Nasłuchiwał. Z pierwszej, zewnętrznej części jaskini nie dobiegał żaden odgłos, z wnętrza jednak dochodził drżący ni to płacz, ni to kwilenie. Maba! Jony nie mógł jednak pochwycić żadnego innego śladu życia, nawet tej blokującej kontakt martwoty, która oznaczała Geogee'a. Maba... sama?

Zamiast pójść prostą drogą od wejścia do większego otworu widniejącego na wprost, Jony postanowił prześliznąć się tam wzdłuż ścian. Nie odważył się na nawiązanie z Maba kontaktu, utrzymywał tylko w pogotowiu swój zmysł ostrzegawczy, by zapobiec nagłemu atakowi.

Teraz! Ręką natrafił na otwór prowadzący do drugiego pomieszczenia. Ciemność wewnątrz wydawała się dziwnie wirować, jakby powietrze w tym miejscu pełne było czarnych cząsteczek w ciągłym ruchu. Jony uniósł dzidę i niepewnym ruchem wsunął ją w otwór. Odczekał dłuższą chwilę, a wyobraźnia odmalowywała mu niewyraźny obraz czającego się niebezpieczeństwa, czegoś, co otoczy każdego, kto tylko wejdzie, co zamknie się ze wszystkich stron na podobieństwo zbrojnych w kły liści roślin-potworów.

Ale dzida nie napotkała przeszkody. Jony szybko wśliznął się do wnętrza i z bronią w pogotowiu oparł się o masywną, solidną ścianę. Pod wpływem nagłego wrzasku skulił się, tak pewien obecności jakiegoś napastnika, że niemalże dostrzegał coś, co istniało jako część ciemności.

— Nie! — Maba krzyczała z drugiego końca pomieszczenia. — Proszę cię, Geogee, nie zostawiaj mnie, Geogee...? — Jej załamujący się, pełen błagania głos targnął Jonym.

— Maba... — odezwał się łagodnie. W jej umyśle kłębiły się rozpacz i panika. Jony nie mógł się przez nie przedostać. — Maba! — odważył się tylko na kontakt głosowy.

Przestała wołać, słyszał jednak jej chrapliwy oddech przypominający raczej na wpół stłumione łkanie.

Jony oderwał się od ściany. Był już teraz pewien, że to tylko strach wypełnia

ciemności. Powoli podchodził do miejsca, gdzie bardzo słabo widoczne było jej skulone, wtulone w kąt ciało.

Znowu krzyknęła:

— Nie, odejdz stąd!

— Maba — próbował nadać głosowi kojące brzmienie. — To ja, Jony.

Nadal hałaśliwie oddychała.

— Jony?

Pocieszające było, że udało mu się uzyskać od niej sensowną odpowiedź. Ukłękł i natrafił w ciemności na jej wstrząsane dreszczami ciało. W sposobie, w jaki leżała, było coś nienaturalnego. Może została zraniona przez jedną z roślin-potworów? Ale gdzie był Geogee?

Powoli, dotykając jej ciała łagodnymi, spokojnymi ruchami, Jony wziął ją na rękę. Dziewczynka miała skórę chłodną w dotyku, a drżenie jej ciała nie ustawało. Trzeba ją było stąd wynieść i — jeśli była ranna — obejrzeć w jakimś jaśniejszym miejscu jej rany.

Maba nie poruszała się, ale oddychała już z mniejszym trudem.

— Miałam nadzieję, Jony, że przyjdiesz — powiedziała łamiącym się głosem. — Wiedziałam, że może ci się to nie udać. Bo Geogee ci to zrobił. Ale cały czas liczyłam, że jakimś sposobem odnajdziesz mnie.

Jony przytulił ją i idąc do drzwi, kołysał w ramionach.

— A gdzie Geogee? — zapytał.

Zadrżała mocniej, i bardzo cicho odpowiedziała:

— On... po prostu odszedł.

XVII

Kiedy wyszli na zewnątrz, Jony westchnął z ulgą, mimo że wciąż jeszcze otaczały ich kamienne jaskinie. Głowa Maby spoczywała na jego ramieniu ciężko, bez sprawiało to wrażenie, że dziewczynka straciła wszelką kontrolę nad mięśniami. Jej omdlałe ciało ciążyło mu w ramionach. Geogee musiał ją razić ogłuszaczem!

Niosąc Mabę, Jony poczuł bijący od niej lęk. właśnie on zatruwał ją i zadreślał, gdy leżała w tych dziwnych, przejmujących ciemnościach. Oczekujący na zewnątrz Otik spojrzeniem swych wielkich oczu dokładnie zlu strował dziewczynkę, po czym zasygnalizował:

— Zły moc uderzyć...

Jony kiwnął głową potakująco. Otik zwrócił się w kierunku jaskini, w której Jony znalazł Mabę, i rozszerzywszy nozdrza węszył przez chwilę.

— Tam nie być nikt — oznajmił.

Jony znowu przytaknął. Choć było już prawie ciemno, zobaczył, że Maba ma otwarte, pełne łez oczy i wpatruje się w niego. Łzy wezbrały, popłynęły po policzkach.

— Jony — odezwała się cichym jak szept głosem osłabłym od rozpaczliwych krzyków, od pełnych grozy zmagania z przeciwnościami. — Geogee użył ogłuszacza, poraził mnie. A potem mnie zostawił...

Ale dlaczego? — Jony zdał to pytanie wprost, licząc na szybką i rozsądną odpowiedź.

— Powiedział, że ja pomagam Ludowi. Jony, on się zmienił, coś mu się w głowie poprzestawiało. — Jej ciałem wstrząsał szloch, a głos urywał się. — On, on nienawidzi bo myśli, że oni coś zrobili Volneyowi. Volney więcej niego znaczy niż ja... i ty... i Yaa i Voak, my wszyscy! Dlaczego, Jony? Jony nie miał na to odpowiedzi.

— Czy wiesz dokąd on poszedł? — zapytał, bo to miało mieć teraz duże znaczenie. Geogee wrogi, czający się w mieście. Mógł ukrywać się gdzieś pośród tych jaskiń, gotowy, by bez ostrzeżenia strzelić z ogłuszacza. Jony'emu trudno było odgadnąć, jakie zmiany zaszły w rozumowaniu chłopca. Lecz jeśli potrafił tak potraktować Mabę, to mógł być mentalnie sterowany przy użyciu jakiejś subtelnej metody, którą stosowali przybysze.

Jony uruchomił swój zmysł poszukiwawczy. Bezpośredni kontakt z Geogee'em — dopóki nosił on swój hełm ochronny — był niemożliwy. Może uda się jednak pochwycić istniejące w tym miejscu uczucie pustki.

— On szuka Volneya — ciągnęła Maba. — Jony, ja się tak dziwnie czuję... a jeżeli już nigdy nie będę się mogła ruszać? Jony! — Znow zaczęła w niej narastać histeria.

Jony pochylił się nad nią.

— To minie — zapewnił ją — jesteś ze mną i to wszystko zaraz minie.

Czyż on nie odzyskał siły dzięki mocy, jaką wlała weń kamienna kobieta? A czy nie było możliwe — Jony chwycił się nowej myśli — że taka moc mogła być przekazana następnej osobie, tak jak kamień przekazał ją jemu?

Pochylił się, by w świetle z wolna wschodzącego księżyca położyć dziewczynkę na chodniku.

— Mabo, posłuchaj mnie. Postaram się uwolnić twoje ciało od bezwładu. Nie wiem, czy mi się to uda, ale spróbuję.

— Och, tak, Jony! — W jej głosie było tyle zapału, że Jony poczuł zakłopotanie.

Może źle zrobił, dając jej cień nadziei na powodzenie tej próby. Pochylił się niżej, wziął jej ręce w swoje i trzymał je mocno. Zamiast, jak zwykle, wysłać przy pomocy swego umysłu silne impulsy, teraz starał się skoncentrować na przelaniu w jej ciało energii. Kiedy w odpowiedzi poczuł w ciele lekkie mrowienie, musiał stłumić zdumienie i zachwyty, by skupić się tylko na przekazywaniu Mabile części tej siły, którą zdobył w zetknięciu z kamienną kobietą.

— Jony, Jony, wraca mi czucie! — wykrzyknęła Maba. — Och, Jony, to prawda, że możesz to zrobić!

On z kolei poczuł, jak trzymane w jego uścisku palce Maby zaczynają się z lekka poruszać. Potem jej wiotkie ramię odrobinę się uniosło, leżąca na kamieniach głowa zaczęła się kręcić z boku na bok, jak gdyby dziewczynka sama przekonywała się, że to znowu możliwe.

Kiedy przyłączył się do nich Otik, Maba usiadła, choć nadal była tak słaba, że trzeba ją było podeprzeć. Jony nawet nie zauważył zniknięcia Otika, który stał teraz, trzymając prócz swego kija także i dzidę Jony'ego. By ją przynieść, musiał wstąpić w czerń jaskini.

— Bałam się, że może nigdy mnie nie znajdziesz — powiedziała Maba głosem ciągle jeszcze drżącym od łkania, które przed chwilą nią wstrząsało. — Myślałam, że może zostanę tam już na zawsze!

— Ale nie zostałam. — Jony starał się nadać swemu głosowi żwawe brzmienie, by tchnąć w nią w ten sposób nieco energii. — A teraz powiedz mi, czy wiesz, dokąd skierował się Gegee?

— Widzisz, to wszystko przez ten hełm — odpowiedziała i zaczęła tłumaczyć dokładniej. — Najpierw Gegee mi wierzył. Myślałam, że uda mi się go odciągnąć na tyle daleko od Ludu, że nie będzie mógł wyrządzić im krzywdy. Ale nie wiedziałam o hełmie, to znaczy wiedziałam tylko, że nie możesz się z nim kontaktować, dopóki on ten hełm nosi. Nie wiedziałam, że oni mogą.

— W jaki sposób? — odruchowa nieufność Jony'ego w stosunku do wszystkiego, czego używali ci z kosmosu sprawiła, że gotów był uwierzyć.

— Za pomocą hełmów. Naprawdę o tym nie wiedziałam, Jony. Myślałam że służą do tego te skrzynki, które oni mają w latającym pojeździe i na statku. Ale gdzieś w środku tych hełmów jest jakieś urządzenie do mówienia. I Gegee usłyszał, że Volney mówi i zorientował się jakoś, że to dobiega z innej strony. Ale z początku nic mi nie powiedział. Doszliśmy do miejsca z Czerwonymi Głowami. Gegee użył ogłuszacza. Wszystkie rośliny zeszytwniały i przestały się poruszać, mogliśmy więc przejść obok nich.

Ale kiedy przyszedliśmy tu, on nagle dostał szału. Nawrzeszczał na mnie za to, że go poprowadziłam w złą stronę. Powiedział, że mi pokaże, co to znaczy tak kłamać. Był całkiem niepodobny do siebie! To ci ludzie z kosmosu tak go odmienili. Był taki dziwny, że się przestraszyłam, Jony, i zaczęłam biec, a potem próbowałam się ukryć. Ale on mnie znalazł i użył ogłuszacza. Śmiał się, Jony; nic, tylko stał i się śmiał. Potem powiedział, że odnajdzie Volneya bez kłopotów; Volney będzie mu mówił, którądy ma iść. Tylko że najpierw chciał wrócić, żeby wziąć jeden z tamtych prętów. A gdyby już go miał, wiedziałby, jak się nim posługiwać...

Jony zamarł w napięciu. Gegee uganiający się po okolicy z jednym z tych niszczycielskich prętów. A gdyby tak jakimś sposobem odnalazł Lud i jego więźniów? Jony zaczynał teraz przypuszczać, że Gegee był pod silniejszym wpływem Volneya niż tamte nieszczęsne ludzkie istoty w laboratorium Wielkich.

— Musimy go powstrzymać — powiedział Jony bardziej do siebie niż do dziewczynki. Nie odważył się też zataić powagi sytuacji przed Otikiem. Nadal klęcząc u boku Maby, zaczął sygnalizować, starając się możliwie najdokładniej przekazać

towarzyszowi to, co zaszło.

Otik nic nie odpowiedział, odwrócił się tylko w kierunku, z którego przyszli. Raz jeszcze począł węszyć. Potem wykonał gest zaprzeczenia. Gdziekolwiek Gegee poszedł, nie zawrócił jeszcze. Teraz Otik zrobił coś, co rzadko można było u Ludu zaobserwować: stanął na czworakach z nosem tuż przy chodniku. Powłócząc nogami, odszedł od drzwi jaskini, po kilkunastu krokach zatrzymał się w miejscu i długo węszył. Potem podniósł łapę i dał znak.

Najwyraźniej odnalazł ślad. Jony wiedział wprawdzie, że powinni podążać za tropem, nie chciał jednak brać ze sobą Maby. Wróciła już trochę do siebie, ale wątpił, czy wytrzyma trudy wędrówki. Nie mógł jednak zostawić jej samej w ciemnościach.

Gdy Jony tak się wahał, zbliżył się do nich Otik. Pochylił łeb nad Mabą i węszył. Potem, nie tracąc czasu na wyjaśnienia, schylił się ociężale, podniósł dziewczynkę i posadził ją sobie na ramiona tak, że jej chude, smagłe nogi sterczały z przodu po obu stronach jego grubego karku. W ten sposób Lud nosi swoje młode na dłuższych trasach i Otik niósł teraz Mabę, tak jakby nic nie ważyła.

Problem transportu Maby był jednak tylko jednym i wielu. W jakiejś zasadzce mógł na nich czekać Gegee... Może jednak Otik potrafiłby ich ostrzec także i przed takim niebezpieczeństwem — w każdym razie nie było innego wyboru. Jony pochwylił znów dzidę, Otik miał już w rękę swój kij. Ruszyli naprzód, idąc między kamiennymi jaskiniami, Otik prowadził.

Jony był niespokojny, szedł spoglądając na boki, zaglądając do ziejących ciemnością otworów w murze. Obawiał się Gegee'a, to prawda, lecz nie tylko to budziło jego niepokój. Nocą bowiem ta kamienna siedziba jak gdyby ożywała: tuż poza zasięgiem wzroku wszystko się poruszało i miało się wrażenie niedostrzegalnego, a wyraźnego drżenia. Poza tym Jony odczuwał pewien rodzaj przygnębienia; nie był to strach, który w tym miejscu pełnym rzeczy nieoczekiwanych dawał się nieraz odczuć, a raczej uczucie ogromnego, niepojętego ciężaru gdzieś w głębi dupa, na samym dnie.

Niczego tak Jony nie pragnął, jak tego, by uciec od widoku tych jaskiń, wydostać się na otwarty teren oznaczający swobodę. Trzeba było jednak podążać w ślad za Otikiem, który skręcił teraz w lewo, w wąską szczelinę biegnącą pomiędzy wysokimi ścianami. Kierowali się na powrót ku centralnemu budynkowi, gdyż Otik skręcił po raz drugi, posuwając się z taką samą łatwością, jakby poruszał się wzdłuż dobrze oznakowanego szlaku na otwartej przestrzeni.

Przed nimi widniał wyższy od innych mur, a w nim otwór. Tam właśnie bez wahania wkroczył Otik. Światło księżyca było tu jaśniejsze. Jony widział dokładnie cały ciemniejszy masyw budowli.

Tak, był teraz całkiem pewien, że idąc dookoła, powrócili do magazynów. Podchodzili w każdym razie z innej strony, droga ich nie wiodła przez zdradziecką ścieżkę, przy której korzeniły się Czerwone Głowy.

Otik nie powiódł ich do żadnego z dużych otworów wejściowych znajdujących się na poziomie otaczającego terenu, lecz do mniejszego, który widniał w murze powyżej. Uniósł pysk na wysokość dolnej krawędzi otworu i węszył. Jony bez żadnego dodatkowego gestu pojął, że tędy właśnie szedł Gegee.

Wspinaczka tą drogą nie sprawiała Jony'emu większych trudności. Otik podał mu Mabę. Jego krępe ciało nie było przystosowane do wspinania się, a otwór był tak ciasny, że Otik niemal się zaklinował, w końcu jednak udało mu się wejść do środka.

Ciemności wewnątrz były prawie tak gęste jak w jaskini, gdzie Jony znalazł Mabę. Teraz cała trójka trzymała się za ręce — Maba trzymała za rękę Jony'ego, a jego ręka tkwiła w mocnym uścisku łapy Otika. Było oczywiste, że to Otika dar widzenia w nocy będzie teraz ich przewodnikiem.

Jony dostrzegał tylko cienie i wynurzające się z nich tu i ówdzie kamienne słupy. Odkąd wyruszyli, Maba nie odezwała się ani słowem. Mogła już iść sama, co bardzo Jony'ego ucieszyło.

Podeszli do drzwi, a ujrawszy je pod innym kątem, Jony w pierwszej chwili nie mógł rozpoznać tego otworu. Potem zorientował się, że tym właśnie wyjściem wydostał się poprzednio spod ziemi oddział klanu. Otik zatrzymał się tu i węszył zawzięcie. Postąpił nawet parę kroków do przodu, jakby pragnął się upewnić w swych odkryciach. Potem zdecydowanie zawrócił do wyjścia z podziemi.

Zbyt ciemna to była droga, by dostrzec jakieś ślady. W głębokim mroku Otik wyglądał jak jakiś czarny kolos. Znow wziął Jony'ego za rękę i pociągnął go ku otworowi. Skoro Otik był pewien, że tędy właśnie Geogee podążał za Volneyem...

Byli już prawie w murowanym podziemnym korytarzu, gdy wskroś kamieni wielkiego budynku dał się słyszeć przerażający dźwięk. Brzęczenie latającego pojazdu! Słabe, lecz narastające. Volney mógł kierować krokami Geogee'a. Czy był też w kontakcie z tymi, którzy przybywali z odsieczą? A z tą szybkością, z jaką przemieszczał się pojazd w powietrzu...

Otik też nasłuchiwał, po czym chrząknął i pociągnął Jony'ego za rękę. Najwyraźniej i on, zaalarmowany, widział potrzebę pośpiechu.

Szli teraz tak szybkim krokiem, że Jony obawiał się, Maba za nimi nadąży, ale ona dreptała obok z taką ą łatwością, z jaką zawsze wędrowała z klanem, zanim kamiennego miasta i przybycie statku nie naruszyło spokoju ich bezpiecznego życia.

Przeście, którym szli, wychodziło na otwarty teren pomiędzy grzbietami wzgórz. Jony sądził, że miejscem ich przeznaczenia była leżąca na szczycie jaskinia z klatką, a w każdym razie Otik kierował się na północny wschód. Jony nie miał pewności, czy Geogee nadal jest gdzieś przed nimi. A co z grupą członków klanu, która wycofała się ze swymi więźniami?

Jony poczuł suchość w gardle, niejasno zdał sobie sprawę z własnego głodu i pragnienia. A Maba? Nadal się nie skarżyła, ale często się potykała, aż nagle upadła. Jony pochylił się nad nią, a wtedy Otik, pochrząkując w swej własnej mowie, raz jeszcze wziął ją na ramiona.

Od czasu do czasu Jony sondował myślą. Nie odebrał jak dotąd tej martwoty, która — jak sądził — mogłaby oznaczać Geogee'a. Zetknął się natomiast ze świadomością zwiastującą obecność jednego z członków klanu.

Ten krótki kontakt dodał mu sił, zagrzał do dalszych trudów. Droga, którą podążali, wiła się od jednego skraju doliny do drugiego i była tak kręta, że Jony zwątpił, czy sam Otik jest pewien kierunku. Ten jednak nie wahał się? wcale, skręcał na prawo lub lewo z taką niewzruszoną pewnością, jak gdyby podążał dobrze oznakowanym szlakiem.

W świetle księżyca Jony dostrzegł wznoszące się stopnie. Znał tę drogę — wiodła do jaskini z klatką. Na szczycie, w świetle księżyca rysowała się niby wyniosła skała zgarbiona sylwetka Voaka. U podnóża wzniesienia Otik postawił Mabę na ziemi. Wziął nie tylko swój kij, ale i dzidę Jony'ego i uderzając ich tępymi końcami w kamienne stopnie zaczął bębnić. Jony objął Mabę za ramiona i pomagał jej się wspinać.

W jasnym świetle księżyca czekał na szczycie Voak. Nie wykonał żadnego gestu na powitanie, nie usunął się też z drogi, odwrócił się tylko i pomaszerował naprzód, dudniąc swym kijem do wtóru Otikowi. Zwolnili kroku i szli niespiesznie, z ociążałą godnością. Voak podniósł swój głęboki głos, młodszy samiec zawtórował.

— Jony — zaczęła Maba.

Uścisnął ją mocniej i uciszył krótkim szeptem:

— Sza!

I znów poczuł mrowienie. Tym razem jednak wzmożone, uderzające jak szereg drobnych wstrząsów. Nie pozwalał sobie na myślenie o tym, do czego zdolna była ta moc — należało po prostu podążać za nią aż do końca.

Otworzyła się przed nimi czerwono oświetlona jaskinia, a w niej stała klatka. Tym razem jednak mieściła nie kości, a żywe ciała. Było tam dwóch astronautów i Geogee, który przycupnął przy jednym z nich. Jego hełm zniknął, a chłopiec wyglądał, jakby wytarzał się w błocie i kurzu. Ale, o ile Jony mógł się zorientować, Geogee był cały.

Członkowie klanu uwięzili pojmanych ludzi, ale nie nałożyli im jeszcze obróż. Należące do przybyszów ogłuszacze oraz ich hełmy leżały rzędem na podłodze, nie opodal klatki. Ogłuszacze — i jeden z czerwonych prętów! Jony zacisnął dłoń. Zaprzagnął pochwycić ów pręt i cisnąć go, odrzucając tak daleko, by nikt już nigdy nie mógł się nań natknąć.

— Ty, Jony! — To odezwał się towarzysz Geogee'a. Zbliżył się do prętów klatki i chwycił je rękami.

Jony puścił dłoń Maby. Nie zwracał uwagi na wołania przybysza. Skoncentrował się natomiast na Geogee'u. Czytał w jego myślach, w pamięci, sięgając głębiej, jak się dało.

Wszystkie nowe odkrycia segregował, umieszczał niejako w swym rejestrze zgromadzonej wiedzy. Cóż jednak stało się z Geogee'em? Był obcy! Nie był mentalnie sterowany, tak jak to Jony stwierdził poprzednio, kiedy to osobowość chłopca — na stałe, bądź czasowo — została wymazana, starta i zastąpiona tylko tymi myślami, jakie chcieli tam widzieć ci, którzy go zniewolili. Nie, umysł Geogee'a był tak żywy jak zawsze; stało się po prostu tak, że przyjął zupełnie inny sposób myślenia.

Geogee żywił teraz wielką niechęć i urazę do klanu. Pochwycili go w zastawioną sieć, zniweczyli szansę uratowania przybysza, udowodnienia Volneyowi, że on, Geogee, zasługuje na jego zainteresowanie, że jest go wart.

Otóż to — wart! Przejęło to Jony'ego goryczą. Czytając w myślach Geogee'a, Jony wiedział, co ten o nim sądzi. Zaczął też rozważać swe własne uczucia w stosunku do chłopca. Chronił dzieci i troszczył się o nie, ponieważ były dziećmi Rutee. Lecz nigdy nie żywił do nich takich uczuć jak dla niej, nie czuł, by one były częścią jego istoty, a on ich częścią. Możliwe, że odstręczało go od nich to, że zrodzone były z Rutee i woli Wielkich; dzieci mentalnie sterowanego, który wziął Rutee siłą. W głębi duszy Jony nienawidził aktu, który sprowadził je na świat. I tylko dana Rutee obietnica oraz tłumienie własnych uczuć zaowocowały tym przyjaznym na zewnątrz związkiem z bliźniętami. Czy dzieci, mimo że nie mogły czytać w jego myślach, zawsze odczuwały tę rezerwę? Możliwe. A teraz Geogee znalazł w tym astronautcie kogoś, z kim poczuł się prawdziwie spokrewniony. Jego dusza otworzyła się na drugiego człowieka i chciwie, radośnie czerpał to, co tamten miał mu do ofiarowania. Geogee był mentalnie sterowany z własnego wyboru. Jedyne czego pragnął, to zostać drugim Volneyem.

Tak więc znalazłszy Volneya, Geogee był w pełni gotów, by obrócić się przeciwko Jony'emu, przyjął wartości Volneya bez żadnych pytań. Geogee, Geogee był stracony.

Czy również i Maba? Nie było jednak czasu, by o niej myśleć. Trzeba się było teraz zająć Geogee'em, Volneyem, tym trzecim. Nie mogli pozostać tu, w niewoli, w jakiej niegdyś Lud trzymał swoich więźniów; przecież latający pojazd już krążył, poszukiwał...

Ale nie można im też pozwolić, by zrealizowali swe zamiary w stosunku do Ludu, w stosunku do tego świata!

Jony dostrzegwał w umyśle Geogee'a zniekształcony obraz Ludu, zgodny z osądem ludzi: wielkie, niezgrabne, powłóczące nogami zwierzęta, z którymi należy się uporać

tak jak z jakąś przeszkodą, którą bez trudu można zmieść z drogi. Lud nie przetrwa, nie sprosta potędze, jaką mogą zgromadzić najeźdźcy.

Jony raz jeszcze przeszukał pamięć Geogee'a, chłonąc wszystko to, czego mógł chłopca nauczyć Volney, szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji, drażąc w poszukiwaniu szczegółów dotyczących sposobu komunikowania się ludzi ze statku. Trzeba było czasu, by przemyśleć to, co tam znalazł.

Geogee wstał, jego twarz wykrzywił grymas. Nie miał żadnej osłony przed wtargnięciem Jony'ego, ale walczył zapamiętałe. Jony wycofał się, a Geogee przypadł do prętów klatki i podniesionym, pełnym wyzwania głosem krzyknął:

— Wypuść nas, Jony! Każ im nas wypuścić! — Znowu był małym chłopcem, którym targał strach.

— Wiesz, on ma rację. — Volney obserwował Jony'ego przenikliwie, z powątpiewaniem. Niedbale wydał wargi, jak gdyby nie było powodów, by bać się Jony'ego, jakby to on, Volney, całkowicie panował nad sytuacją. — Nie wiem, jakim sposobem tym zwierzętom udało się wyrzucić na ciebie taki wpływ, ale...

Jony zmierzył go wzrokiem i szybko zaczął sondować umysł wroga. Mimo że Volney pozbawiony był swego ochronnego hełmu, Jony napotkał zwartą osłonę. Astronauta odchylił głowę i zaśmiał się szyderczo.

— To ci się nie uda, mój przyjacielu. I wśród nas są wrażliwi, lecz są dobrze wyszkoleni.

Mówiąc, równocześnie odparował cios. Jony odczuł ten atak, lecz choć nie wznosił żadnej bariery, tamten nie mógł swą myślą przeniknąć do wnętrza. Volney, wkładając w to całą swoją siłę, starał się dosięgnąć Jony'ego, być może z zamiarem wszczęcia mu własnych przekonań. Lecz wszelkie jego usiłowania spęły na niczym.

Niedbały grymas zniknął z jego warg. Zaciśnął ponuro usta. Jego oczy wpatrywały się wprost w oczy Jony'ego bez zmruczenia, jak gdyby siła tego wzroku mogła mu otworzyć drogę do umysłu chłopca.

— Nie możesz — powiedział Jony, wiedząc, że mówi prawdę.

Tamten odprężył się,

— A więc na dystans — powiedział.

Jony nie znał tego słowa, ale zrozumiał znaczenie.

— I tak prędzej czy później cię dostaniemy, wiesz o tym. Jony pomyślał o latającym pojeździe, który wrócił z posiłkami. Wiedział, że Volney ma rację, ale nie zamierzał kapitulować.

— Nie macie tu żadnych praw. Ten świat należy do Ludu.

— Czy to oni zbudowali miasto? — odparował Volney. — Ty wiesz, w jakiej roli oni tu występowali. To zwierzęta, udomowione zwierzęta, rzeczy, które się posiada. Przebadaliśmy twój Lud. Nie mają umysłów, których wzorce pozwoliłyby uznać ich za równych ludziom wobec praw rządzących galaktyką. To miasto to magazyn. Odkrycie, jakiego ludzkie dokonują może raz na tysiąc lat. Ten świat jest naszej rasie potrzebny.

— Potrzebujecie, więc zabieracie — odparł Jony. — Wielcy potrzebowali, Wielcy brali. To my byliśmy wówczas zwierzętami w ich laboratoriach. Byłem zamknięty w klatce. Widziałem, jakie robili doświadczenia, by poszerzyć swoją wiedzę. Zdobywali wiedzę kosztem naszej męki, krwi, śmierci. Wy robiliście to samo, badając Yaę i Voaka. Zwierzęta? Wy i Wielcy znaczącyście mniej niż zwierzęta. Nawet Czerwone Głowy nie torturują ofiar przed ich zabiciem, a zabijają tylko po to, żeby żyć. Chcielibyście posiadać ten świat, ale go nie zdobędziecie, nie będzie wasz!

To, czego dowiedział się Jony, sondując pamięć Geogee'a, co tkwiło w jego myślach jako niejasny, mglisty pomysł — teraz, połączone w jedno, przybrało kształt

zdecydowanego zamiaru. Jony układał plan przeciwdziałania. Cokolwiek można było zrobić, musiał to zrobić.

Ręka wsunęła się w jego dłoń; to Maba stanęła u jego boku, tak samo jak Geogee stał obok wyzywająco zachowującego się Volneya.

— A ty — powiedziała do Geogee'a — co oni z tobą zrobili, Geogee? Yaa, oni ją krzywdzili. Kiedy byłeś chory, nosiła cię, wszędzie szukała liści, żeby cię wyleczyć. Yaa i Voak oni nie są rzeczami, przedmiotami do użytku. Oni naprawdę są, są naszym ludem.

— Lud? — Wykrzyknął Geogee zduszonym głosem, z twarzą czerwoną ze wzburzenia. — To ludzie ze statku są naszym ludem i ty o tym wiesz. Przybyli, by zabrać nas j do domu, żebyśmy mogli żyć tak, jak powinniśmy, a nie włóczyć się jak stado zwierząt z nim, który mówi nam, co i mamy robić, wdziera się do naszych umysłów, zmusza nas do posłuchu! On tobą steruje, a ty nawet o tym nie wiesz. Ale sądzę, że mentalnie sterowani wcale o tym nie wiedzą, nie wiedzą, gdyż są zawsze i wciąż zniewaleni...

Jony nie mógł już dłużej słuchać tej gmatwaniny słów. Łagodnie wyzwolił swoją rękę z uścisku Maby. Zrobił dwa kroki w kierunku miejsca, gdzie leżała na skale broń obcych. Był tam też i hełm Geogee'a. Miał on być pomocny w tym, co Jony zamierzał.

Podniósł hełm i usiłował go włożyć na głowę, ale przeszkadzał mu gruby pędzel włosów. Niecierpliwie sięgnął po trzymaną przez Otika metalową dzidę. Jej ostrą krawędzią obciął włosy, rzucił je na ziemię. Teraz hełm pasował. Jony sięgnął po najbliższej leżący ogłuszacz i po czerwony pręt.

Voak podszedł i zadał pytanie:

— Co ty robisz?

— Ja musieć to zrobić, ja chceć Lud pozostać wolny. Wódz najwidoczniej uwierzył, bo odszedł na bok. Jony wziął ogłuszacz w jedną rękę, a pręt w drugą.

— Nic nie możesz zrobić, ty głupcze — zadziorny głos Volneya dochodził nawet do wnętrza hełmu.

— Nie bądź taki pewny — odpowiedział Jony, odwracając się do wyjścia z jaskini. Jego lichy plan mógł zawieść z wielu powodów, ale czy dlatego nie miał poddać go próbie?

XVIII

Jedna szansa na ile? Jony potrząsnął głową. Jeżeli to, czego się Geogee dowiedział od Volneya było prawdą, takie szacunki nie miały sensu. Czy to mogło być prawdą? Czy rzeczywiście szansa znalezienia tego świata przez obcych była tak niewielka? Tak uważał Volney, lecz czy można było polegać na jego ocenie?

A gdyby ich statek nigdy już się nie wzbił z tej planety, nie wrócił do bazy z ładunkiem informacji o tym świecie, wówczas szansę ponownej ekspansji zmalałyby znacznie. Jeden człowiek ma zwyciężyć statek? To by graniczyło z cudem. Jednak trzeba spróbować.

— Wzywam Przycótek. Przycótek, zgłoś się! Czy mnie słyszycie?

Jony szarpnął głową, rękę podniósł do hełmu. Czyj głos zabrzmiał mu w uszach? Trudno było skojarzyć ten metaliczny, zgrzytliwy dźwięk z normalną mową.

Po chwili zrozumiał. Odbiornik w hełmie pracował. Ci, którzy przybyli na latającym pojeździe, próbują teraz zlokalizować resztę swojego oddziału.

Głos przeszedł teraz w tak dokuczliwe brzęczenie, że Jony najchętniej zerwałby hełm z głowy. Odkrył jednak, że dźwięk nasila się lub rośnie w zależności od tego, jaką drogę on sam w danej chwili obierał między grzbietami, zdążając wśród nocy ku miastu.

Mógłby to więc być przewodnik! Śledząc natężenie głosu, Jony dostałby się do oddziału, który przybył latającym pojazdem. Ale na razie nie czas jeszcze spotykać się z tymi ludźmi. Były pilniejsze sprawy.

Jony odmalował sobie w wyobraźni rzędy zdobytych skrzyń, które astronauta przynieśli z podziemnych magazynów. Stanowiły przynętę, ale i niebezpieczeństwo. Zakołysał czerwonym prętem trzymany w dłoni. Ta obca broń ważyła znacznie mniej niż metalowa dzida, którą zostawił w rękach Voaka, ale była o wiele groźniejsza. Ile jeszcze takich prętów tam leży, zamkniętych w skrzyniach? Potrzeba tylko jednego lub dwóch, by wygrać tę bitwę z przybyszami z dalekiego świata.

Jony odsunął teraz swój plan na bok i skupił się na brzęczącym przewodniku; nie spodziewał się jednak, by ten łatwo zaprowadził go do celu. Chłopiec biegł równym truchtem, przecinając doliny na zboczu. Głodny, tak, był głody, był też i spragniony. Od kiedy jednak doznał przyływu energii z dłoni kamiennej kobiety ani głód, ani pragnienie nie mogły go zatrzymać. Nie było teraz czasu, by zaspokajać potrzeby ciała.

Skręt, nawrót, w prawo, potem w lewo, wciąż z tym dźwiękiem w uszach, to rosnącym, to zanikającym. Jony zobaczył wreszcie sylwetkę miasta, czarną, srebrzącą się w świetle księżyca bryłę. Brzęczenie kierowało go w lewo, ku odległemu krańcowi miasta. Nie był on jeszcze celem Jony'ego.

— Przycótek, zgłoś się! — Znów rozkazujące, żądające odzewu słowa.

Jony nawet gdyby chciał, nie mógłby odpowiedzieć. Astronauta rozmawiali ze sobą w sposób ustalany przed wyruszeniem ze statku. Nawet Geogee nie mógł dostarczyć klucza do tego szyfru.

Brzęczenie słabło. Wchodząc do miasta od tej strony, Jony celowo oddalał się od pojazdu. Jego obecny cel był wszakże blisko, trzeba było tylko unieść głowę, by dojrzeć wznoszącą się wysoko budowlę. Zanim jednak doszedł do kamiennej rzeki, musiał pokonać boczne kamienne drogi, przechodząc z jednej na drugą. Omijał oświetlone przestrzenie i szukając schronienia w cieniu, przemykał się chyłkiem, starając się nie tracić szybkości.

Jony przyzwyczaił się już do nieustannie rozbrzmiewającego w hełmie dźwięku. A

jednak, kiedy głos przerwał i nagle jednostajne brzęczenie, zatrzymał się jak wryty.

— Ostatni komunikat był nadany z tego centralnego budynku. Stamtąd trzeba rozpocząć poszukiwania...

A więc ludzie z pojazdu zmierzali w tym samym kierunku! Usłyszawszy to, Jony porzucił ostrożność i zaczął biec. Trzeba się tam dostać przed nimi. Jony nie miał pojęcia, jaką broń mieli ze sobą przybysze oprócz ogłuszaczy. Lecz jeśli uda im się zawładnąć prętami, jeżeli będą wiedzieli, jak ich użyć...!

Dyszząc z lekka, Jony znalazł się przy prowadzących wzdłuż występach z kamienia i spojrzał w górę, gdzie u szczytu schodów stała kamienna kobieta. Wspinając się, nie odwracał od niej wzroku. Czy nie należało zapobiec i temu, by obcy mogli skorzystać z tej mocy, która spłynęła na niego wraz z dotykem kamiennej dłoni? Trudno było na to odpowiedzieć.

Gdy stał tak znów przed kamienną kobietą, wpatrując się w jej spokojną twarz, w zwrócone na miasto oczy, trochę wbrew swojej woli, uniósł czerwony pręt. Jaki był cel istnienia kamiennej kobiety? Czy ustawiono ją tu, by czuwała nad tym, co złożone zostało w leżących poniżej podziemiach? A śpiący? Nie był to czas na domysły; rozważania te należało odłożyć na później, nie puszczając ich jednak w niepamięć.

Z łomotem przebiegł Jony obok kamiennej figury, między rzędami kamiennych kolumn, ku skrzyni ze śpiącym, ku leżącym poza nią stertom pudeł. W głębi wielkiej sali było bardzo mało światła, ale coś w przezroczystej części hełmu sprawiało, że Jony widział tak świetnie, jakby to było samo południe i słońce świeciło wysoko na niebie.

Dobiegł do krawędzi stosu skrzyń. Co kryły w sobie? Jakież zdumiewające, cudowne, trudne do wyobrażenia przedmioty należące do zaginionego Ludu? Przez chwilę ciekawość i pokusa jej zaspokojenia walczyły z celem, jaki przyświecał Jony'emu. Z pewnością nie wszystkie pojemniki zawierały niebezpieczne, zabójcze przedmioty. A może i tak. Lud przez wszystkie te lata, jakie minęły od czasu ich ucieczki z miasta, musiał wiedzieć o tych bogactwach, które mogły się okazać dlań cenne. Odwrócili się jednak od wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z ich byłymi władcami. I teraz lepiej było przyjąć ten osąd Ludu, zamiast zaspokajać własną chęć zgłębienia zakazanej wiedzy.

Jony zdecydowanym ruchem uniósł pręt, kciukiem odnalazł przycisk u nasady, wycelował w stertę skrzyń i nacisnął. Tym razem płomień wybuchu nie oślepił go, przypuszczalnie zapobiegła temu jakaś umieszczona w hełmie płytka chroniąca oczy. Pojemniki, w które celował, w jednej chwili przestały istnieć, nie zostawiając nawet pyłu, który znaczyłby ślad na miejscu, gdzie leżały. Znowu podniósł broń i nacisnął. Zniknęła druga sterta skrzyń. Jednak za trzecim naciśnięciem wybuch nie nastąpił, mimo że Jony naciskał guzik z całej siły.

Co się stało? Czy niszcząca energia zawarta w pręcie starczała tylko na dwu- lub trzykrotne użycie? Jony rozglądał się gorączkowo. Gdzie można by znaleźć następny pręt? W skrzyniach leżących z tyłu?

Skoczył do najbliższej, złapał za pokrywę i pociągnął. Bez rezultatu. Czyżby skrzynie były zamykane tak jak klatki Wielkich? Tłumiąc niecierpliwość, Jony obejrzał górne krawędzie, szukając śladów zamka. To naciskał, to pociągał, aż nagle zamknięcie ustąpiło i Jony z furią zerwał pokrywę.

Zawartość skrzyni tak lśniła, że rozjaśniała mrok. Były tam kawałki błyszczącego metalu, iskrzące się kamienie. Jony zanurzył rękę... żadnego pręta tam nie było. — To jest tutaj, tuż przed nami, kapitanie! Jony odwrócił się gwałtownie. Słowa rozbrzmiewające w hełmie przeraziły go. Było to ostrzeżenie, znak, że nie ma już czasu na dalsze poszukiwania. Pręt? Pozostawał tylko jeden, o którym wiedział — ten w rękach śpiącego. Jony pochwycił swój pręt, który przed chwilą odrzucił na bok,

szybko podniósł się i zbliżył do pojemnika, w którym zamknięty był śpiący. Po raz pierwszy odważył się dotknąć dłonią przejrzystej powierzchni. Pod dotykiem palców wydawała się gładza niż kamień. Czy można by ją skruszyć, dostać się do wnętrza? Trzymając swój bezużyteczny już pręt w obu rękach, z furią podobną do tej, z jaką Maba waliła w maszynę na statku, Jony zamierzył się i uderzył w gładką pokrywę skrzyni.

Raz, drugi. Nie było nawet śladu pęknięcia. Jony starał się za każdym razem uderzać w to samo miejsce, mając nadzieję, że w ten sposób skupiona siła poszczególnych uderzeń da w końcu jakiś efekt. Powierzchnia pozostawała jednak nienaruszona.

Kiedy wodził palcami w miejscu uderzenia, nie wyczuł żadnych rys na gładkiej powierzchni. Czyżby pojemnik ze śpiącym był zamknięty w podobny sposób jak tamte skrzynie?

Jony opadł na kolana i rozpoczął dokładne oględziny krawędzi, tam gdzie stykały się z przejrzystym wierzchem. Naciskał, pociągał, usiłował wepchnąć koniec pręta w miejsce połączenia, by podważyć jak dźwignią. Lecz nie znalazł żadnej najmniejszej szczeliny, która by na to pozwoliła. Stając na nogi, wściekły z powodu doznanego zawodu, Jony z rozpaczą spoglądał na czerwoną maskę okrytej całunem postaci, na pręt. Nie było już czasu, żeby przeszukać tamte skrzynie — nie było ani chwili!

Raz jeszcze powiodł ręką wzdłuż pojemnika. Gdyby tylko natrafić na jakieś połączenie, na ślad zamknięcia! I wtedy...

Jony zesztyniał, gwałtownie cofnął rękę. Ośłupiały wpatrywał się w skrzynię. Podobnie jak kiedyś pierwsze zetknięcie się z dłonią kamiennej kobiety dostarczyło mu nieznaną energię, tak i teraz doznał podobnego wstrząsu.

Z wahaniem pochylił się niżej, czubkami palców wodząc po powierzchni leżącej nad maską skrywającą nieznaną twarz. To, co wyczuł, nie było pęknięciem, czy rysą. Nie, palce podpowiedziały mu, że to, czego nie można było dostrzec, to pewien fragment powierzchni ukształtowany na wzór dłoni kamiennej kobiety.

W zetknięciu z zewnętrznymi krawędziami tego obszaru jego ciało reagowało mrowieniem. Oczy natomiast nie odróżniały tych zarysów. Jony wyciągnął rękę, zawiesił ją nad tą niewidzialną powierzchnią, która wydawała się promieniować energią. Czyżby to właśnie miało stanowić sposób otwierania skrzyni, tak różny od zamknięć klatek, z którymi kiedyś umiał sobie radzić?

— Rozpylać! — W hełmie znowu zabrzmiał rozkaz. — Rozpylać pod nami, najszerzej jak można.

Nie ma już czasu! Jony umieścił rękę na powierzchni, tuż nad maską.

Ładunek energii strzelił gwałtownie w jego ciało. Za późno już było, by się bać; Jony nie mógł wycofać ręki, mimo że próbował z całych sił. Miał wręcz uczucie, że została mocno pochwycona, wciągnięta w przejrzystą substancję pokrywy. Oczy upewniły go jednak, że tak się nie stało.

Jony odruchowo zaatakował, natarł, używając swej osobistej broni, swego szczególnego daru. Całą moc skupił na woli otwarcia skrzyni, uwolnienia ręki.

I oto z miejsca, gdzie spoczywała jego dłoń, rozbiegła się nagle we wszystkie strony sieć wyraźnych pęknięć. Pojawiało się ich coraz więcej i więcej, poszerzały się, łączyły; okrywa rozpadała się na kawałki, odłamki opadały na śpiącego. Jony został uwolniony, gdyż ta część okrywy, której dotykał, rozpadła się zupełnie.

Pęknięcia biegły coraz dalej, aż do krawędzi łączącej ją z kamiennymi bokami. Cała przejrzysta substancja opadła w dół, pokruszona na drobne kawałki, niektóre tak drobne jak pył. Wionęło chłodnym powietrzem, dobył się zapach żrącego płynu, który Jony niejasno skojarzył sobie z laboratorium.

Nie było jednak czasu na badania czy dociekania. Nie miał też najmniejszego

zamiaru niepokoić śpiącego, zdzierać zeń maskę. Zamiast tego, wolną już teraz ręką sięgnął po pręt, wydobywając go ze słabego uchwytu dłoni śpiącego. Żeby tylko pręt działał!

Nie patrząc dłużej na śpiącego, Jony w dwóch susach znalazł się na podłodze przestronnej sali. Nacisnął przycisk. Strzeliło ogniem, skrzynie zniknęły!

A Jony bezustannie na przemian unosił i opuszczał broń należącą do nieznanego mężczyzny, pracując w pośpiechu, by zniszczyć bez reszty skrzynie przyniesione przez obcych z magazynów. To, co leżało jeszcze w podziemiach, również musiało zostać całkowicie zniszczone, choć teraz nie było na to czasu.

— Kapitanie! Tam, przed nami! Kto tam jest?

Jony odruchowo skrył się za najbliższą kolumną. Osiągnął już sporo. Teraz trzeba było stawić czoło najeźdźcom i przeprowadzić do końca swój nieprawdopodobny plan. Energia, dzięki której zniknęły skrzynie, mogła teraz unicestwić ludzi!

Stwierdził jednak, że nie potrafi nacisnąć przycisku. Zawrzał w nim gniew na to poczucie niemożności, by obrócić w nicość ludzi, istoty należące do własnego gatunku. Zamiast użyć pręta, sięgnął po ogłuszacz.

Było ich czterech — nie, pięciu mężczyzn skradających się w cieniu, od jednej podpory do drugiej. Wszyscy trzymali broń w pogotowiu. Dwóch (trudno ich było od siebie odróżnić, gdyż głowy mieli ukryte w kulistych hełmach) miało jakąś inną broń, prawdopodobnie potężniejszą od ogłuszaczy.

Jony wycelował w jednego z nich. Postać zgięła się wolno, upadła twarzą w dół, trzymana broń wysliznęła się z bezwładnej ręki i uderzyła o podłogę. Jony zauważył, że pozostali odwrócili się na odgłos tego upadku.

Jeden z nich rzucił się w kierunku broni. Jony znów strzelił z ogłuszacza.

— Nie ruszać się! — Zabrzmiał ostry rozkaz. — Ktokolwiek to jest, kryje się tam, za słupem. Strzelaj laserem, Mofat!

Promień oślepiającego światła pomknął i objął podporę, spoza której Jony składał się do drugiego strzału. Kamienny słup zapłonął jak drzewo rażone piorunem. Żar sparzył rękę Jony'ego. Chłopiec nie wątpił teraz, że to miejsce, w którym trwał przycupnięty, przestało już być bezpieczną kryjówką.

— Ani chybi upieczony, kapitanie! — Odezwał się triumfujący głos.

Kolejnej komendy kapitana nie dało się usłyszeć. Całą kamienną salę wypełnił dźwięk; nie był to jednak ten rodzaj dźwięku, który zdolne są pochwytać uszy, a raczej przepełniająca ciało wibracja. Coś działo się z głową! Jony zerwał hełm. Jego umysł, jego mózg! Co... co się z nim działo?

Mglisto widział, jak tamci zataczając się uciekają. Oni także zrywali swe kryjące głowy hełmy, rzucali je na ziemię, jak gdyby te osłony stały się teraz torturą nie do zniesienia.

W kamiennej sali nie było już ciemno. Oprócz światła z żarzącego się słupa, rozchodziło się promieniowanie dochodzące z innej części sali, od strony skrzyni, w której leżał śpiący. Wszystkie kolorowe cętki błyszczące na bokach skrzyni teraz stały w ogniu, świecąc tak jaskrawo, że aż raziło w oczy. Spowita całunem, leżąca wewnątrz skrzyni postać, zaczęła się unosić, lecz nie tak jak śpiący wstaje z posłania. Zamaskowana głowa podnosiła się wolno na sztywnych, nieruchomych ramionach.

Śpiący stał teraz wyprostowany. Nic jednak nie wskazywało, by był żywy. Jego członki nawet nie drgnęły, nie poruszyła się też osłonięta głowa. Stojąca postać nie próbowała wyjść ze skrzyni.

Z góry zagrzmiało, rozległy się słowa, których Jony początkowo nie mógł zrozumieć. Z wolna jednak ból głowy ustępował i po chwili Jony'ego wypełniło uniesienie, poczucie potęgi wynoszące go ponad wszelkie słabości ciała, ponad zamęt myśli.

Jony podniósł się. To jest Przebudzenie, które było zapowiedziane. Przez kogo, pytała ta część jego istoty, która nadal była Jonym, lecz nie czas teraz na pytania. Trzeba się upewnić, że jest bezpiecznie. Nie czując strachu, Jony wkroczył na otwartą przestrzeń. Tam ludzie ze statku ciągle jeszcze się ślaniali, coraz słabiej się poruszając. Uniósł pręt.

Niebezpieczeństwo trzeba wymieść z miejsca Potężnego...

Nie! To nie było słuszne. Jony potrząsnął głową, starając się sobie wszystko uprzytomnić. Czuł się tak, jakby było w nim dwoje ludzi, którzy miotają się w przeciwne strony. Użyj siły. Unieść tych, co przychodzą w gniewie i chciwości. Nie — zaprotestował ten drugi Jony.

Nie potrafił jasno myśleć. Zabić! — nie! Razić! — nie! Zawładnęły nim sprzeczności, a trzeba było działać. Przy kolejnym „nie” wystrzelił z ogłuszacza.

Intruzi zgięli się w pół i upadli na ziemię. Widzisz, nie są już groźni, są spokojni. Potężny jest bezpieczny. Trzeba się zbliżyć, przygotować powrót...

Jony kilku szybkimi krokami podszedł do stojącej postaci z pozbawioną rysów metalową maską. Postać ta była równie nieruchoma jak posąg kobiety z kamienia. Kamienna Kobieta? Gulfa Chmurnej Mocy. Imię to kołatało mu gdzieś w głowie. Gulfa, która nigdy nie umrze, gdyż tkwią w niej potężne siły. Lecz to nie jest godzina Gulfy. To godzina Powrotu... Przebudzenie nadchodzące, by...

Jony wspinał się po stopniach, by stanąć twarzą w twarz z zamaskowanym. Idąc wypowiadał słowa, których ani nie znał, ani nie rozumiał. Gulfa słusznie powierzyła mu moc, by podniósł śpiącego. Teraz trzeba tej mocy użyć!

Wyciągnął rękę. Maskę! Zedrzyć maskę, by Potężny mógł oddychać, by ożył. Tylko po to zrodzono go, tylko po to uczono go — silne było to, co przelała weń Gulfa wraz z zetknięciem dłoni — połowicznie zapamiętane fragmenty, poczucie zadania, które miał spełnić.

Jednakże Jony bił się teraz myślami, odczuwał dziwne, niejasne wątpliwości, podobnie jak w chwili, kiedy nie mógł się zdecydować na użycie pręta, by zgładzić nieproszonych przybyszów, którzy wtargnęli do sanktuarium Potężnego. Była i inna obawa. Nie wolno zdejmować maski z tej głowy. Nieprawda, to właśnie jest jego wielką misją: przywrócić światu Potężnego. Nie... tak...

Nie!

Jony oprzytomniał jak ktoś, kto obudził się ze snu. Był to dawno przezeń śniony, pełen grozy koszmar. Był sobą, był Jonym. Nie był związany z tą przerażającą, martwą rzeczą powstającą z rozbitej skrzyni.

Pochwycił pręt, nacisnął przycisk.

Rozległ się odległy dźwięk, krzyk skrajnej rozpacz.

Nic już nie stało w skrzyni. Jony pochylił się, by zajrzeć do wnętrza. Nic tam już nie leżało. W jakiś sposób Jony uniknął niebezpieczeństwa, którego nie rozumiał. Czuł jednak, że było ono większe od wszelkich niebezpieczeństw zagrażających ze strony tego świata czy też ze strony przybyszów z kosmosu.

Wzdrygnął się, potem odwrócił. Ciała najeźdźców leżały pokodem na podłodze. Jony nie wiedział, jak do tego doszło, lecz ta część bitwy mimo przygniatającej przewagi obcych została przezeń wygrana.

Zszedł po stopniach, by przyjrzeć się swym więźniom. Wszyscy byli nieprzytomni. Zabrał ich broń, ułożył w stos i wystrzelił z pręta.

A teraz na statek.

Bez trudu odnalazł latający pojazd. Astronauci zostawili straż, lecz strój ze statku i hełm pozwoliły mu wejść. Raz jeszcze rozbroił ludzi i zniszczył ich broń, pozwalając strażom przyglądać się swemu dziełu. W obawie przed tym unicestwiającym promieniowaniem zawieźli go na statek.

Jony stał u stóp wznoszącego się, skierowanego ku gwiazdom kadłuba, przenosząc wzrok ze statku ku niebiosom, gdzie rozbłysła jutrzenka. Statek, który nigdy nie powróci — nie byłby to pierwszy statek zaginiony w wyprawie badawczej. Jedyny zapis tego, co ci ludzie tu odkryli, znajdował się na pokładzie. Nigdy nie dotrze on do tych, którzy rządząc gdzieś tam daleko, chcieliby zawładnąć i tym światem.

Może kiedyś znowu przybędzie przypadkiem inny statek. Lecz Lud będzie już wtedy ostrzeżony, gotów na jego przyjęcie. Ta opowieść pozostanie żywa w ich pamięci, by wiedzieli, jak postąpić, gdy historia się powtórzy.

Ludzie jego własnego rodzaju — myślał Jony — zbudowali ten statek, mieli odwagę zapuszczać się na nim na odległe krańce kosmosu. Gdy tak patrzył na statek, potrafił zrozumieć tę ich dumę z własnych osiągnięć. Tylko że naprawdę nie osiągnęli zbyt wiele. Umieli tworzyć przedmioty, maszyny, które ich słuchały, niosły wśród gwiazd ku nowym światom, by mogli tam żyć. Lecz mieli też i inne maszyny, z których byli dumni. Twarz Jony'ego skrzywiła się na wspomnienie widoku Yai w więzach urządzenia, które miało z niej wydrzeć tajemnice jej życia.

Być może ludzie, którzy pozostaną tu do końca swoich dni, nie pojmą, dlaczego tak się stało. Nie pojmą aktu, którego Jony musiał dokonać. Może z czasem niektórzy to zrozumieją. Jony nie dbał o to.

Ludzie nie byli „rzeczami”. Rzeczami nie były też „zwierzęta”, nie mogły służyć do doświadczeń. Siła życiowa jest wspólnym, cennym darem wszystkich żywych istot. Nie człowiek ją tworzy. Jeśli niszczy on maszynę, tak jak Maba niszczyła urządzenia w laboratorium, można taką maszynę odbudować. Lecz jeśli najeźdźcy „uszkodziliby” Yae w swym bezlitosnym dążeniu do zdobycia wiedzy, któż przywróciłby jej życie?

Ludzie, Wielcy — wszystkie te aroganckie gatunki, które sądzą, że powinny panować nad innymi...

Z wolna Jony począł okrążyć statek. Mimo że uzyskane od Geogee'a informacje były bardzo ogólnikowe, starszy chłopiec dość się dowiedział, by zrobić to, co było trzeba. Zanim wysiadł z latającego pojazdu, ogłuszył pilota, a potem zniszczył silnik. Teraz kolej na większy statek, czas, by i on szeeł.

Prętem Potężnego Jony wycelował starannie w miejsce znajdujące się ponad łapami, na których statek się wspierał. Nie był pewien, na jakim poziomie umieszczony był napędzający motor. Miał jednak zamiar tak długo trzymać pręt nastawiony na ten cel, dopóki nie dokona widocznych zniszczeń.

W blasku promienia na gładkiej powierzchni kadłuba pojawił się wyszczerbiony otwór. I przez ten otwór Jony słał w głąb energię, której natury nie pojmował. Odczuwał dobywające się z pręta pulsowanie. Ze zniszczenia, które posiał pręt, statek już się nie podniesie. Szkody były nie do naprawienia. Jony wykonał półobrót, by odciąć łapy. Statek runął, uderzył o ziemię, połamany, martwy i niegroźny.

Jony wyczuwał życie wewnątrz statku — to ludzie zaskoczeni jego atakiem. Lecz skończyły się już spory z nimi. Pozbawieni broni, bezradni, nie będą mogli dominować, lecz będą musieli przystać na warunki tego świata.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się pogiętemu, skręconemu kolosowi. Teraz zniszczył z kolei swój ogłuszacz — rzucił go na ziemię i strzelił z pręta. Pręt — Jony musiał jeszcze zatrzymać go przez jakiś czas. Tak długo, dopóki nie będzie pewności, że nic już ze strony najeźdźców nie zagraża.

To, co się stanie z ludźmi, zależało od nich samych. Jeżeli zaakceptują Lud, mogą z czasem stać się częścią tego świata. Jeżeli — nie, muszą sobie jakoś radzić.

Jony zdjął hełm, cisnął go z impetem. Zerwał zapięcia swego stroju, zrzucił go z siebie. Poczuł na ciele świeży, czysty wiatr. Chłopiec dotknął szyi, przypomniawszy sobie obrożę. On, Jony, nie był „rzeczą”, był człowiekiem. Tak jak Voak, Otik i

wszyscy inni są i pozostaną ludźmi.

Odwracając się od powalonego statku, Jony ruszył na północ, wkraczając w nową przyszłość.

Epilog

— Ty, patrz! Rozwalone pudło. O rany, Johnny, w środku jest zdechły kociak!

— Pokaż mi. No zobacz, ktoś ci wyrzucił kociaka jak jakiś stary śmieć.

Na dźwięk głosów kotka uniosła głowę. Nie była jeszcze dość przezorna, bo nie zaznała dość okrucieństwa, by bać się tych dźwięków. Ludzkie głosy znaczyły jeszcze jedzenie, ciepło, wygodę. Zamiauczała.

— No nie, nie mogę! Zobacz no tu, w tej starej lodówce! Kotka i jeden... dwa... Trzy kociaki! Założę się, że były w tamtym starym pudle! Co robisz, Johnny?

— Co robię? Zabieram je do domu. Wywal wszystko z tego większego pudła. Daj tu te szmaty. Uważaj głupku, nie kładź na wierzch tych mokrych, tylko suche. Powinny być jeszcze jakieś pod spodem.

— Twoja mama dostanie szału, jak zwalisz się z kotką i trójką kociaków. Pamiętasz, jaka była wściekła o tego starego psa?

— Jasne. Ale jak go odkarmiliśmy, wykapaliśmy i w ogóle, to wzięli go Wilsonowie i ma tam u nich dobrze. To fajna kotka. Zobacz, lubi mnie. Widzisz, jak się ociera o moją rękę? Tak czy tak, nie zostawię jej tu, nie mógłbym tu zostawić żadnego zwierzaka, żeby zdechł, nic z tych rzeczy. Ludzie czasem są okropni. Nic ich zwierzęta nie obchodzą. Wyrzucają je jak jakieś stare, zepsute graty czy coś w tym stylu. Wyrzucają i z głowy!

— Dobra, ale nie stworzysz jednoosobowej armii, żeby ratować wszystkie zwierzaki...

— Może i nie, ale mówię ci, jeżeli ktoś nie zacznie coś robić, to któregoś dnia...

— To co któregoś dnia? Zwierzęta się na nas rzucą? Wyrzucą nas na śmietnisko? To masz na myśli?

— Nie wiem. Tylko myślę, że musimy się nauczyć tak żyć, żeby dać żyć innym. Kiedyś, jak pisałem wypracowanie, to przeczytałem coś takiego: „Zwierzęta nie braćmi nam są i nie poddanymi; są to współwięźniowie nasi, wspólni z nami pochwyceni w sieć życia i czasu, w ten ziemski wspomniały mózól”.

— Co? Co to w ogóle znaczy, powiedz po ludzku.

— Że jesteśmy razem z nimi częścią tego świata i że, no rozumiesz, musimy się nauczyć inaczej z nimi współżyć. Jeśli nie, to wszyscy zginiemy.

— Ty i te twoje książki! Chodź już, daj, pomogę ci nieść to pudło...

Tysiąc lat później, o pół galaktyki stąd Jony znów potarł szyję. Poczł zapach obozowiska Ludu. Nie nosił już obroży, oni również ich nie nosili. Ani na jednych, ani na drugich nie czekały żadne żelazne klatki, choć może i byli sobie obcy. Jony rozpostarł szeroko ramiona, a uczucie wolności przyprawiło go niemal o zawrót głowy.